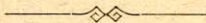


DZIEŁA

J. U. NIEMCEWICZA.



J. U. NIEMCEWICZ.

POWIEŚCI POETYCZNE
i drobne wiersze.



KRAKÓW 1884.

NAKŁADEM K. BARTOSZEWICZA.

W Drukarni W. Korneckiego.

D84/84



opr.

85934



POWIEŚCI POETYCZNE.

POWIEŚCI.



Sułtan i Wezyr.

Niegdyś Muchamed berłem Perskiem władał;
Ten nieustanne krwawe wiodąc boje,
Nad szczęście ludu chwałę swą przekładał,
Tak, że krainy sąsiedzkie i swoje
W głucho pustynie obrócił,
I że kędyś okiem rzucił,
Świadczyły wszędzie barbarzyńskie czyny,
Smutne ruiny.
Szczęściem, miał on Wezyra, prac swych towarzysza,
Ten powiadał, że z dziecięcia,
Od jakiegoś tam Derwisza,
Nauczył się języka każdego zwierzęcia,
I że ptak zaden nie otworzył dzioba,
Zeby Wezyr wraz nie wiedział
Słowo do słowa, co ptak ten powiedział.
Raz gdy wieczorna nadchodziła doba,
Sułtan z łowów wracający,
Tam gdzie wśród gruzów sterczał mur chwiejący,
Ujrzał dwie sowy.... — „Dobry mój Wezyrze,

Rzecz Muchamed, — przyznam ci się szczerze,

Żebym zapłacił dość drogo,

By wiedzieć, co te sowy gadać mogą.

Pójdź i posłuchaj..... Wezyr głowę zniża,

Cicho, na palcach do muru się zbliża

I słucha pilnie: po niejakiem czasie,

„Panie, zawoła, daruj moją trwogę,

Ale dali-Bóg powiedziec nie mogę

Co gadały głupie sowy.

Bobym już może więcej nie ujrzał mej głowy.“

Sułtan mu rzecze: „możesz mówić snadnie,

I włos ci z głowy nie spadnie.“

Ośmielon Wezyr tak powieść zaczyna:

„Wiedzieć należy Miłościwy Panie,

Że jedna z sów tych ma syna,

Druga ma córkę, idzie o pobranie

Tych pięknych dzieci: matka oblubieńca

Do matki panny w ten sposób mówiła:

Jabym się łatwo zgodziła,

I intercyzę podpiszę,

Jeżli z ust twoich usłyszę,

Że w posagu z twą córką weźmie syn mój młody,

Pięćdziesiąt wsi spalonych, i dwa puste grody.

Wraz pięćset daje, druga jej odpowie,

Niech Bóg da tylko Sułtanowi zdrowie;

Póki on potrwa w Panujących rzędzie,

Na pustych murach zbywać nam nie będzie.“

Kronika z której ta powieść wybrana,

To nam jeszcze zostawiła,

Że ta odpowiedź sowy, dopiero słyszana,

W sercu Machmuda tak żywo utkwiała,

Iż odtąd krwawe powściągnął zawody,

Pobudował spalone i wioski i grody,

I że we wszystkich dziełach przedsiębranych,

Miał za cel szczęście poddanych.

1813.

Rząd suty.

Był koń waleczny, dziarski, okazały,

Sławny przez świetne gonitwy,

Z rozwianą grzywą, gorący i śmiały,

Zbrojne szeregi ścierał w pośród bitwy;

Ale nieszczęściem o wolność zazdrośny,

Latał samopas, lub po stepach błdził,

Zrzucał wędzidło jak przymus niecznośny,

I nie nim jeździec, lecz on jeźdźcem rządził.

Tak więc gdy długo bujał wyuzdany,

I przez swywołę sił dawnych postradał,

Woźnica z brodą, Niemieckie furmany,

Bóg wie kto go nie dosiadał,

Każdy nowemi jukami uciskał.

Z rumaka szałapak zaledwie się chwieje,

Alie pomimo nadzieję,

Pierwotny pan go odzyskał;

Z wielkiej radości, czyli też dla mody,

Choć wiele z dawnej koń stracił urody,

Pan na rząd suty patrząc u sąsiada,

Bo rumak jego był silnym i rośtym,

On rząd podobny na podjezdka wkłada,

Siodłem go zdobi wyniosłym;

Na siodle czaprak z srebrnemi galony,

Pyszny nagtówek, podogonie sute,

Cały napiersnik turkusem sadzony,

I wszystko srebrem lub złotem okute.
 Podjezdek dawną przypomniawszy dobę,
 Zarzął wesoło, strzygł uszkiem powoli,
 Ale nie długo nosił tę ozdobę:
 Zbyt dla wzrostu i doli,
 Było rzędu tego brzemie,
 Dźwigał go przez małą chwilę,
 Wreszcie zemdlony na sile,
 Zachwiał się i padł na ziemię.
 Niech rząd dla konia jako też dla kraju,
 Stosowny będzie do sił i zwyczaju.

1808.

Panna Guzdralska.

Kronika dawna podarta i licha,
 W której niejednej kartki niedostaje,
 Za Kazimierza napisana Mnicha,
 Ale ja wnoszę z postrzeżeń pomniejszych,
 Że nieskończenie za czasów późniejszych,
 Następującą powieść nam podaje:
 Pod Zieloną Dąbrową i blisko Łęczycey,
 Mieszkał szlachcie w przyjemnej bardzo okolicy,
 Jak zwano miejsce, nadaremnie pytać,
 Ciężko bowiem było czytać
 W rękopiśmie, co długo gdy leżał w szkatule,
 Strasznie pojadły go môle:
 Jedynie ciągiem ślepień, i ciężkiej roboty,
 Przez te szkła, co stokrotnie zwiększają przedmioty,
 Śledząc książeczkę zbutwiałą,
 Odkryłem, i wyznaję z rozkoszą niemałą,
 Że ów szlachciec był Cześnikiem,

I miał nawet nadzieję być wkrótce Stolnikiem,
 Że niezmiernie był bogaty,
 Miał liczne włości i kosztowne szaty.

Lecz mniejsza o to, bo największą chlubą
 Było dla niego, że miał piękną córę,
 Obdarzoną w to wszystko przez hojną naturę,
 Co nam niewiaścę czyni powabną i lubą:
 Była razem i wdzięczną i piękną i miłą,
 Wszystko w niej serca wabiło
 Tak, że nietylko z Łęczycey,
 Ale z całej okolicy,
 Co mówię, z kraju całego
 Na odgłos cudu takiego,
 Zlatywała się młodzież: na pierwsze spojrzenie,
 Wraz się każdy zakochał, zakochał szalenie:
 Nie dziw, mówi kronika, rzecz wcale nie rzadka,
 Bo panna była równie rozsądna jak gładka.
 Lecz choć piękniemi zbogaćona dary,
 Że nie masz pono człeka bez przywary,
 Miała i ona błądek tak nie duży,
 Iż rzekłbyś, że to pyłek na szkartacie róży.
 Mamże powiedzieć nawiasem,
 Jaka to wada? oto skłóciła się z czasem,
 Nie mogła pojąć z jakiej to przyczyny,
 Były dnie, noce, i były godziny;
 Owszem mniemała, że ów czas odwieczny,
 Był tak dobry i tak grzeczny,
 Iż przez wzgląd dla niej w dzień ucztę lub rodzin,
 Mógł się zatrzymać kilkanaście godzin,
 I stać na miejscu kamieniem.
 Z tak wybornem uprzedzeniem,
 W przewrotnym trybie pędziła swe życie,

Świt był u niej w południe, a północ o świcie,
Choć ją wszędzie proszoną sadzano na przedzie,
Zwykła zawsze na obiad zjeżdżać po obiedzie,
Na scenę i na sztukę co pierwszy raz grano,
Zawsze przybyła kiedy zasłonę spuszczano,
Na mszę nawet (choć wiemy, że w tem grzech śmiertelny),
Nigdy nie przyszła, aż drzwi zamknął dziad kościelny.
Ale, że ją rodzice niezmiernie lubili,

Nic nie mówili.

Przecież mówi kronika, to wieczne guzdranie
Musi być bardzo miłym wdzięcznem niesłychanie;
Nie zmniejszali się ezciele,
Było ich zawsze i hożych i wiele.
Większe nad innych umiał zjednać łaski,
Pan Wojewodzie Kujawski,
Herbu Gozdowa, a herbów tych ludzie,
Mówi Paprocki, mają duże nosy,
Oczy wypukłe, kręcące się włosy,
Są wytrwali w każdym trudzie,
Bitni na wojnach, trochę zabobonni,
A nadewszystko do miłości skłonni.
Przymiotami i postawą,
Był Wojewodzie prawdziwym Gozdawą;
Wielkich talentów, w nieczem nie naganny.
Po dość długich konkurach w zbyt szczęśliwej chwili,
Otrzymał słowo od panny,
I rodzice zezwolili.
Pełen szczęścia i radości,
Pełen najczulszej miłości,
Przed zapustami na cztery niedziele,
Jechał przygotowania czynić na wesele.
Uteśnionemu do swojej Maryny,

Wiekami były i dni i godziny,
Skracał je czasem wzdychaniem,
Albo rozpamiętywaniem
Nad jej dowcipem, nad jej słodką mową,
Nad tysięcznemi jej wdzięki,
A nadewszystko nad białością ręki,
Przechodzącą kość słoniową.
Tysiąc i tysiąc zwykł powtarzać razy:
Piękna jest, śliczna nad wszystkie wyrazy;
Nieraz atoli przydał, z miną zasepioną:
Szkoda, że czasem raczy bywać roztargnioną.

Lecz to nie Maryny wina,
Nie ona, lecz czas nie wie która jest godzina:
Wraz po weselu, wszystko inaczej się stanie,
Gdyż w każdym kącie i na każdej ścianie,
By zapomnienia ustrzedz się przywary,
Postawiam, pozawieszam zegarki, zegary,
W tych młoteczek bić będzie w dzwonek z srebra kuty,
Godziny i kwadranse, sekundy, minuty:
Nie sposób, by Maryna w takowym hałasie,
Mogła zapomnieć o czasie.
Ta myśl nadzieje szczęścia bardziej powiększyła,
Już się też i wyprawa weselna skończyła,
A gdy wszystko gotowem było należycie,
Na senatorskie jak przystoi dziecię,
W pięknej, licznej komitywie,
Dworskich przyjaciół, blizkich koligatów:
A wszysej od soboli, złota i bławatów:
Pan młody z zamku wyruszył szczęśliwie.
Porządek kalwakaty tak kronika znaczy:
Naprzód dwunastu jechało trębaczy,
Flamandzką okrytych szatą,

Juczno, suto i bogato.
 Że Wojewodzie wśród ojczystych szyków,
 Został rotmistrzem husarskiego znaku,
 Przeto na czele całego orszaku,
 Szła chorągiew kopijników:
 Sterczące z barków skrzydła, niecąc jasne strzały,
 Z każdym krokiem srebrzyste dźwięki wydawały,
 Zawieszone na plecach lampartowe skóry,
 U paszcz ich białe zęby, i ostre pazury,
 Na piersiach były zagięte;
 Drżały w powietrzach proporce rozpięte:
 U każdego koń dzielny, bogate siedzenie,
 Wąs zawieszisty i Marsa spojrzenie;
 Za nimi dosyć pozorny,
 Hufiec Tatarów nadworny,
 U wszystkich, na szerokich ramionach zwieszone,
 Łuk i w kołczanie strzały nastrzępione:
 Każdy w buchastej szacie
 Jechał schylony na dzielnym bachmacie:
 Za tymi do trzydziestu pachołków dorodnych,
 Tyleż wiodło na rękę rumaków powodnych,
 Zrodzone w Polsce albo znane światu
 Z ziemi Arabskiej, lub nizin Eufratu,
 Dziarskie, ledwie ich żywość rozhukaną
 Mógł jeździec wstrzymać ręką zmordowaną:
 Na powietrzu kopyta, żując wędzidła złociste,
 Rozdętem nozdrzem iskry parzczały ogniste.
 Ubranie równie pyszne jak same rumaki,
 Lśknęły się turkusami sadzone kulbaki,
 Tyftyk zwieszony do ziemi,
 Szyty był w liczne wzory perłami drogiemi;
 Obok siedzenia tarcza umieszczona,

Na niej piękny buzdygan, i szabla skrzywiona;
 W rzędach drogie kamienie bez najmniejszej skazy:
 Rubiny i szafiry, szmaragi, topazy,
 Blaskiem raziły oczy!
 Dalej hufiec przyjaciół poważny, ochoczy,
 W jedwabiach, aksamitach, wszystko znaczne pany,
 W rękę trzymały czekany;
 Nakoniec sześć rumaków ciemno jabłkowatych,
 W szorach złocisto bogatych,
 Pańską kolebkę ciągnęło.
 Było to chędogie dzieło:
 Ośm złotych słupków w obszernej przestrzenie,
 Wspierały aksamitne u góry sklepienie.
 Siedział w pośrodku, przedudnej urody
 Jaśnie wielmożny pan młody.
 Miał on na sobie szatę złotogłową,
 I aksamitną ferezją ponsową,
 Na boku guzy roboty misternej,
 Z szafirów i rubinów wielkości niezmiernej,
 Lecz przechodziło pojęcie,
 Samo ferezy spięcie:
 Był to karbunkuł jak gołębie jajo,
 Jakiego dzisiaj królowie nie mają;
 Ten takie rzuceł płomienie,
 Taki blask silny, że ludzkie spojrzenie,
 Znieść go nie mogło, każdy oczy zmruża,
 Na głowie kołpak, przy nim kita duża.
 Dwaj pokojowi, obadwa panicze,
 Oba syny urzędnicze:
 Jeden pan sędzie Grodzki,
 Drugi chorążyc pono Wyszogrodzki,
 Wesofej miny i bystrego wzroku,

Z odkrytymi łebkami siedziały na boku;
 Dworzenie, giermki i sługi,
 Czynili za kolebką poczet dosyć długi,
 Wszyscy w bogatych pasach,
 Falendyszach lub atłasach.
 Konczyły orszak poszustne rydwany,
 Każdy ciężko ładowany,
 Wioząc dla panny dary wcale pańskie:
 Śliczne perły Uryańskie,
 I łudzące oczy mile,
 Zausznice, kanaki¹⁾, i drogie manile,
 Widziano nadto między tyłu dary,
 Różnej wielkości zegary.
 Kiedy tak Wojewodzie jedzie otoczony,
 I pan Cześnik z swojej strony
 Krząta się i z wielkimi gotuje zachody
 Wszystko, co trzeba na blizkie już gody:
 Wystawiają na kredens ogromne puhary,
 Rostruchany, konewki i złociste czary,
 Rznięte miednice i nalewki ryte,
 Drogiemi numizmami naokoło kryte,
 Co mówię, cebry i wanny srebrzyste,
 Wszystko chędogie i czyste.
 Z dalekich włości sprowadzały bryki
 Cietrzewie, sarny i dziki,
 Sześciu kucharzy w szlafmnicach na czele,
 Siekli tłuste pulpety, drobne figatele,
 Z wybornemi kondymenty,
 Bobkowych liści i mięty.

¹⁾ Jeżeli modny czytelnik nie zrozumie dawnych jakich
 wyrazów, niech się raczy udać do słownika P. Linde.

Ale najwięcej było i pracy i biedy,
 Około wystawienia wielkiej piramidy:
 Ta cała lana z masy migdałowej,
 Cała w skorupie cukrowej,
 Na marecpanie rys cudnej roboty
 Wystawiał nowożeńców herbowne klejnoty,
 Jeden herb był Gozdawa, a drugi Rogala,
 Obadwa Kupid pochodnią zapala.
 Ciągami stołu rozliczne kołaczki, andruty,
 I konfektów szereg suty.
 Już okólnemi listy sproszczone sąsiady,
 Prałaci z kapituły i panowie rady,
 A że pan Cześnik pragnął, by akt ten szczęśliwy,
 Mógł się odprawić w sposób jak można uczciwy,
 Pojechał do Skierniewic dość liczno i dwornie
 Księcia Prymasa upraszać pokornie,
 By się raczył w dom jego na wesele stawić,
 I młodą parę sam pobłogosławić.
 Już się wszyscy zjechali: lecz panowie mili,
 Wiecież jak się tam wszyscy pomieścili,
 Bo choć na wiek ów, Cześnik mieszkał dość wspaniale,
 Miał cztery komnaty i do tańców salę,
 Przecież dla tyle gości zbyt zda się to mało.
 Powiem więc jak się to w owych czasach działo:
 Nam się to widzi rzeczą niepodobną,
 Oto wtenczas sam Prymas miał izbę osobną,
 Dla innych gdzie się mieścić nie było kłopotem,
 Wszyscy leżeli pokotem,
 A co lepszego przewybornie spali.
 Nakoniec szczęsnej chwili doczekali
 Kochankowie nadobni: już para dobrana
 Nazajutrz o godzinie jedynastej z rana,

Stanąć miała do ślubu przed ołtarze święte.
Słodkimi uczuciami rodzice przejęte,
Sproszeni goście, krewni, przyjaciele,

Ławki zasiedli w kościele,

Sędziwy Prymas z duchowieństwem całym,

Z mitrą na głowie, w rękę z pastorałem

Zasiadł na tronie: zapalono świece,

Czekając wszyscy na oblubienice.

A gdy czekają już blisko godzinę,

Posłał ojciec zapytać o zwłoki przyczynę,

Powrócił goniec z prośbą, by zaczekać trochę,

Że panna jedną włożyła pończochę,

I jest nadzieja, że w chwilę niedługo

Włoży i drugą.

Tymczasem młotek trzecią na zegarze głosi,

Gdy człek wysłany odpowiedź przynosi,

Że Panna zapomniała która jest godzina,

Ale że włosy już trefić zaczyna.

O piątę znowu goniec od hożej dziewicy,

Że tylko chce fałbanę przyszyć do spódnicy,

Że potem przyjdzie. Gdy latają gońce,

Już się też do zachodu nachyliło słońce,

Burzą się w panu młodym chucie niecierpliwe,

Już cześć wielką żołądka i zwijanie ekliwe

Czują zebrani goście, gdyż każdy od rana

Wiedząc jaka biesiada była zgotowana,

Że go wkrótce czekały pulpety, bekasy,

Nie zjadł kawałka chleba, ni nawet kiełbasy;

Poziewały kobiety i panowie rady,

A nawet uważano, że ksiądz Prymas błądzi.

Leci sam Wojewodzie pada na kolana,

Zaklina, żeby przyszła choć i nieubrana,

„Pozwól, odpowie panna, niech tylko kadryle,
Przykróć trochę, a przyjdę za chwilę.“

Niespokojny pan młody napowrót przybiega,

Słucha, aż strasznym wrzaskiem kościół się rozlega:

Ksiądz Prymas zemdłał, gdy go trzeźwią kanonicy,

Poziera Wojewodzie, aż blisko kaplicy

Leży zemdlonych kilku radnych panów:

Dwóch Wojewodów i trzech Kasztelanów!

We łzach rodzice oboje.

Wtenczas jak gdyby w zimne zanurzony zdroje,

Czuje, że miłość zgasała, tak szerzy swą żalność:

„Kiedy widzę do ślubu taką opieszałość,

Kiedys tak mało dbała na mą niecierpliwość,

Jakażby była nasza w poźyciu szczęśliwość,

Jaki rząd w gospodarstwie i przykład dla dzieci?

Napróżno tysiąc penet w tobie świeci,

Niech je inny posiada, łatwo go wybierzesz:

Ja się wprzód zestarzeję, nim ty się ubierzesz“ —

To kończąc, słowa nie mówiąc nikomu,

Usiadł w kolebkę i wrócił do domu.

Tego pośpiechu, tej niecierpliwości,

Nie można chwalić w młodym jegomości,

Prędkość dobrze nie usłuży,

Gdyby cokolwiek chciał poczekać dłużej,

Czasu tak drogo nie cenił,

Byłby się pewnie ożenił;

Gdyż o trzeciej z północy z suknią atlasową,

Panna do ślubu już była gotową.

Nadzieja karmiąca chimere.

Pewien wędrownik idąc po gestwinie,
 Napotkał trafem nadziei boginię,
 Ta trzymając w ręku czarę,
 Karmiła małą poczwarę:
 Zdziwiony pyta. „O ty rodzie boski,
 Co nam słodzisz z życia troski,
 Powiedz, przez jakie nieznane zdarzenie,
 Karmisz dzikie urojenie?
 Jestże poczwara wyrodna,
 Tych tak czułych starań godna?“...
 Nadzieja z smutkiem mu rzecze:
 „Nie dziw się błędny człowiecze,
 Tą hojną ręką i tem śnieżnym łonem,
 Niejedno na wzór stworzenie nadobne,
 Wszystkiemi wdzięki ozdobne,
 Z tkliwością było przezemnie karmionem,
 Jakąż ztąd dla mnie zapłata:
 Umartwienie albo strata;
 Karmiłam miłość, raczej miłość mnie karmiła,
 Przywiązałem się do dziecka,
 Jam jedynie dla niej żyła,
 Ona niestała, zdradziecka,
 Nabawiwszy mnie kłopotem,
 Uleciała szparkim lotem:
 Opłakując jej dziwactwo,
 Wzięłam dostojność, bogactwo,
 To niedoszedłszy lat jeszcze połowy,
 Jedno sytość wznieciło drugie zawrót głowy,
 Zrażona tyłą zawody,
 Biorę otuchę co cieszy narody,

I ta w ciosach powtarzanych,
 Nie dotrzymała obietnic dawanych.
 Nakoniec w późną życia mego porę,
 Niezawodną przyjaźń biorę,
 Chcąc by się na niej starość moja wsparła,
 Niestety! przyjaźń umarła.
 Dzisiaj widząc, że szczęście jest to rzeczy próżna
 I że na niczem polegać nie można,
 Czego niema przyrodzenie,
 Wzięłam chimere czyli urojenie,
 To chociaż szczęścia tylko zwodnym cieniem,
 Oddała smutek lubem omamieniem,
 Tem gdy się trudni serec i myśl żywa,
 Nieznacznie życie upływa.“

1810.

Kupidyn i Szaleństwo.

Kiedy Kupidyn będąc chłopcem małym,
 Na dworze pięknej Cytery się chował,
 Gdy pod swej matki dozorem niedbałym,
 Rój pochlebników już go wcześniej psował,
 A z Nimf niejedna wróżyła załośnię,
 Że nie dobrego z chłopca nie wyrośnie;
 Mówią, i na to dowody są pewne,
 Że równe wiekiem, a nawet pokrewne,
 Szaleństwo co tam w sąsiedztwie mieszkało,
 Kuzynka swego często odwiedzało.
 Ilekroć dzieci z sobą się spotkały,
 Nie było figlów, pustoty,
 Ni swawoli, ani psoty,
 Którychby oni, chłopców obyczajem,

Nie wyrządzały jeden drugiemu nawzajem.
Dosyć, w krótkich powiem słowach,
Dzikie stworzenia chodziły na głowach:
I nie dziw, Wenus z gachami swojemi,
Zajęta coraz miłości nowemi,
Tym poświęcała czas swój i spoczynek.
Ani wiedziała, co wyrabiał synek.
Razu jednego gdy płóche chłopczyzny,
To jest Szaleństwo i Kupidyn mały,
Jak zwykle z sobą igrały,
Nie wiem z jakowej przyczyny,
Wśród swawoli i gonitwy,
Od żartów przyszło do bitwy:
Od Kupidyna, jak wieść opowiada,
Sroga zaczęła się zwada.
Bo ten za słowo, płócho wyrzeczone,
Czy za jakieś przeciwieństwo,
Wziąwszy strzałę zaostrzoną,
Aż do krwi zranił Szaleństwo.
Zbroczone dziecię bez żadnego względu,
W chwili pierwszego zapędu,
Grzechotką swoją na kuzynka zmierza,
I tak potężnie uderza,
Przez czoło, oczy, powieki,
Że go zaślepia na wieki.
Na ten raz, na ból niezmówny,
Krzyk Kupida, i płacz głośny,
Naokoło się rozlega,
Wenus tym srogim jękiem przerażona,
Raptownie z Marsa porywa się łona,
I na plac kłótni przybiega;
Ach! co za rozpacz, i załości jaka!

Widzi syna jedynaka,
Dziecię swoje ulubione,
Ślepe, i we krwi zbroczone.
Jęczy, oblewa go łzami,
I sprawcę srogiego dzieła,
Jużby właśnie rękami
Na tymże miejscu ubija,
Gdyby niepamięć, że to Szaleństwo bezczelne,
Jak ona sama było nieśmiertelne,
I że za tą niegodziwość,
Chcąc otrzymać sprawiedliwość,
Konieczna była potrzeba
Na skargę jechać do nieba.
Leczbie amorków, co jęj wiernie służy,
Rozkaz daje do podróży;
Oni z wielkim czoła potem,
Faeton lśnący się złotem,
Wytaczają z wozowni, i na bliskim dębie,
Biorą dwa śnieżne gołębie,
Piersi, szyje, licznemi lśnące się kolory,
W srebrem tkane wprzęgły szory:
Nieodstępny w każdym razie
Poczet zefirów mały,
Jak gdyby maleńkie pазie
W koło kolaski latały.
Bogini lejące różowe,
I zamiast biecza chwytą gałązkę myrtową,
Siada, i syna obok siebie bierze.
Powolne pięknej Cyterze,
Już się wzbijały w górę ptaki białe,
Kiedy Szaleństwo struchlałe,
Tak samo mowi do siebie:

„Jeżli przed Jowiszem w niebie,
„Matka i synek pieśczoney,
„Zaczną swe prawić plotki i androny,
„I niebian na mnie wzniecać zagniewanie,
„Bóg wie co się zemną stanie?
„Trzeba, ażebym na swą całość pomny,
„Sam téj sprawie był przytomny“.
To mówiąc z cicha, że go nikt nie zoczył,
Za faeton z tyłu wskoczył.
Lubo od wyspy Cytery,
Dość oddalone są niebieskie sfery,
I pałac Boga piorunów,
Szparkosć atoli skrzydlatych biegunów,
Roznosząc wonie torem całej drogi,
Bez żadnych trudów i znojów,
Wenus i dwa małe Bogi,
Stawi wśród świętych Olimpu podwojów.
Na widok pięknej Bogini,
Lubość, i wdzięki roniącej w około,
Szmer się przyjemny po Olimpie czyni,
Juno tylko marszczy czoło,
I wzrok jój dawne zazdrości oznaczył,
Lecz gdy Apollo, Mars, i Bogi młode,
Pożerały oczyma Wenery urodę,
I sam Jowisz łaskawie uśmiechnąć się raczył;
Młode Boginie, co mniej o to dbały,
Na ranę Kupidynka żałośnie patrzyły,
Szepecząc do siebie: patrz we krwi się broczy,
„Szkoda chłopczyzny biednego,
„Bo choć całe nic dobrego,
„Przedziwnie piękne miał oczy“...
W pośród tych szeptów do sprawy gotowa,

Już induktę zaczyna Cytery królowa,
Mówi z przytomnością rzadką.
Dokładnie, czule, i gładko.
Gdy z piękną twarzą, kiedy z białem łonem
Kobieta własnej sprawy jest patronem,
Wygrana rzadko wątpliwa...
Perora równie wymowna jak tkliwa
Już się skończyła, kiedy Wenera
Ze łzami w oczach, nawet trochę błada
Na około się obziera.
Patrzy, widmo niepojęte,
Ni ztąd, ni z owąd wzięte,
Płochę Szaleństwo wypada.
Staje po między Bogami,
I zdjawszy małą czapkę z dzwonkami,
Mówić w obronie zaczyna.
Niemogło przeczyć, bo widoczna wina,
Lecz tonem głośnym i śmiałym,
Kłęło się z duszą i z ciałem,
Twierdząc, że wyspa cała tego świadkiem,
Jak się rzecz cała zdarzyła przypadkiem:
Pierwszy się zatargł wszczął od Kupidyna,
On zawsze ze mną zaczyna.
Jowisz widząc, że by się na nic nie przydało,
By głupstwo dłużej gadało.
Nakazuje milczenie, i na berle wsparty
Tak tręś swojego ogłasza wyroku:
„Szaleństwo, kiedy przez twe głupie zarty,
„Biedny Kupidyn pozbawiony wzroku,
„Że dziś jak żebrak ubogi,
„Niemozę nawet sam rozemnać drogi,
„Ni w niczem sobie zaradzić,

*

„Ty co niechęący, czyli własną winą,
„Nieszczęścia jego stałeś się przyczyną,
„Będziesz go odtąd prowadzić,
„Czy to dla ludzi dobrem, czyli stratą,
„Mniej Bogowie dbają na to“.

Odstąpił Jowisz kochany,
Dekretu swego nie przeglądał skutków:
Tłum kochanków nieprzebrany,
Wkrótce wśród cierpień i smutków,
Często w skłonnościach zawodnych,
Nieraz w małżeństwach niezgodnych,
Doznał w niewczesnym i żalu i biedzie,
Że miłość szaleństwo wie dzie.

1807.

Miłość i Rozum.

(Z angielskiego).

Było to rankiem pogodnego lata,
Gdy się kwiaty i serca otwierają tłumem
Gdy niespodzianie ze dwóch końców świata,
Miłość się zeszyła z Rozumem.

Kupidyn gadał o śnie, co miał wczora,
Rozum rozmawiał o pięknej pogodzie,
Czas był tak słodki, tak piękna dnia pora,
Że poszli razem chodzić po ogrodzie.

Chłopeżyna biegał, latał z mocy całej,
Rozum poważnym postępował krokiem,
A idąc z swojej postaci wspaniałej,
Cień długi rzucał, tym i owym bokiem.

Niedziw, że Kupid zinnem zdjęty tkliwym,
Zwijał skrzydełka, i kulił się z drzeniem,
Bo cień Rozumu ogromem straszliwym,
Stawał między nim, i słońca promieniem.

„Być to niemoże, rzecze Kupid mały,
Nie dla ciebie jednego to słońce stworzone,
Jeżeliś tylko sam o siebie dbały,
Ja pójdę chodzić w te myrty zielone“.

Odchodzi, z głośnym i krzykiem i śmiechem
Skacze, za każdym motylem się goni,
Cieszy się wdzięcznym zefirów oddechem,
I pije rozkosz w słodkiej kwiatów woni.

Wśród drzew rodzajnych, i jasnych granatów,
Wszystko obrywał co znalazł na krzaku,
Tyle jadł fruktów, tyle wachał kwiatów,
Że aż sytości doświadczył niesmaku.

Lecz gdy w południe słońce wyniesione,
Płomień skwarne go rozlało upału,
Chłopeżyna czując siły swe zemdlone
Z zwieszoną główką czołgał się pomału.

Czarne kędziorki pot mu oblał hojny,
Częstem się piersi wznoszą odetchnieniem...
Ach! gdzież naówczas był Rozum spokojny,
Żeby go swoim mógł ochłodzić cieniem.

Tam gdzie dąb ziemię krył wierzchem szerokim,
Gdy zmierza kroki mdlejące,
Znajduje Bóztwo w zamyśle głębokim,
Spokojnie w cieniu leżące.

„Przyjmij mię, rzeczce, na twe zimne łono,
Jeżeli nie chcesz bym z upału zginął“.
Rozum swą szatę otworzył przestrono
I tą Kupida w około obwinął.

Jak gdyby zimnym wskrós przejęty lodem,
Puls w nim bić przestał, krew się zatrzymała,
Niestety! zbytnim ostudzona chłodem,
Miłość na łonie Rozumu skonała.

1807.

Olimp i Ziemia.

Pogański Jowisz, co świata całemu
Nadawał prawa, Bóg wie po jakiemu,
Co ślepo zsyłał czas piękny i chmury,
Bozkie i ludzkie jednoczył natury,
I kiedy nieraz z powodów dość marnych
Rozgniewał się i rozdasał,
Jednem zmarszczeniem brwi *gęstych i czarnych,
Ziemie w posadach swych wstrząsał;
Lecz wpośród gniewu, niech jaka Dryada,
Nimfa, co mówię, niech pasterka lada,
Piękne na niego zwróciła wejrzenie,
Jak młody chłopiec kochał się szalenie,
I był kochanym, miał bowiem zalety,
Które okrutnie szanują kobiety.
Z tych więc zalotów na niebie i ziemi,
To z Boginiami, to znów z śmiertelnymi,
Nazbierał sobie córeczek i synów,
Kilka tuzinów.
Choć Bóg, miał błędy właściwe młodzieży,
Ale tę słuszość oddać mu należy,

Że się z zalotów swych nigdy nie chlubił,
Był dobrym ojcem, i dzieci swe lubił;
Ilekroć Juno wierna jego żona,
Zawsze zazdrosna, często zakwaszona,
Chcąc sobie użyć wieczornego chłodu,
Wyjechała na spacer do Samos lub Rodu,
Natychmiast Jowisz znak dając wesoło,
Pochowane po kątach dzieci zbierał w koło,
Rządy nad światem losowi zostawił,
I z dziećmi tylko i śmiał się i bawił.
Razu jednego gromada kochana,
Kiedy igrała u tronu podnózków,
Jowisz jednego z półbożków,

Posadził na swe kolana.

Ale przebóg! co za śmiałość,

A raczej co za zuchwałość!

Białą swą rączką zaczął bożek młody,
Igrać w kędziorach nieśmiertelnej brody;
Przejęty Jowisz temi pieścizotami,
Okrągłej twarzy i czoła ustami
Dotknął się z lekka: dziecię się ośmiela,
I władogromcy pieścizot swych udziela,
Rzuca na szyję rączęta oboje.
A wtem widząc przed sobą złociste podwoje,
Podwoje, pyszne nad wszystkie wyrazy,
Bo odrzwi u nich z dyamentu głązy:
A ciemny szafir, i hyacynt drogi

Składały progi.

„Cóż jest ta brama, blizka rannej zorzy?

„Ojcie, zawoła, każ niech się otworzy,

„Niech ujrzę co się za Olimpem dzieje“.

Na to król Bogów słodko się rozśmiej,

A nieumiejąc nie odmówić synom,
 Rozkazał bramę otworzyć godzinom:
 Samem ruszeniem złocistych podwojów,
 Jak słodkie granie fletni i obojów
 Słyszeć się dało: ale jaka trwoga
 Objęła umysł maleńkiego Boga,
 Kiedy poniżej ognistego słońca,
 Przepaść bezdenną bez granic i końca
 Ujrzał pod sobą, ujrzał w czczym przestworze
 Krążące światy w kul maleńkich wzorze!
 Przeleknion, krył się na łonie Jowisza,
 Gdy ten go krzepi i postrach ucisza,
 On patrzy znówu, i gdy się wpatruje,
 Powoli trwoga z serca ustępuje.
 Co więcej mały chłopczyzna,
 Tym likiem światów bawić się zaczyna,
 Jakoż te cacka dość były przyjemne:
 Pomiedzy niemi widzi kulkę ciemną,
 Na niej ciekawe dosyć widowisko,
 Rzekłbyś, że jakie mrowisko,
 A w niem zdaleka, z pierwszego spojrzenia,
 Jak mrowki małe stworzenia,
 Mnóstwo ich wielkie, tysiące i krocie,
 W okrutnym były ruchu i obrocie.
 Z wielką szybkością galopem, zawodem,
 Biegały w poprzek, wzdłuż, na tył i przodem,
 „I cóż jest rzecze, chłopczyzna ciekawy:
 „Ten maleńki robaczek tak dumny i żwawy
 „Jakbym rad widzieć to stworzenie marne,
 „I tę co na niej łązi kulkę czarną“
 Rozśmiał się Jowisz nad błędem dziecięcia,
 Niechając płochego zbijać przedsięwzięcia,

„Możesz to, rzecze, oglądać bezpieczny,
 „Usiądź na promień słoneczny,
 „I spuść się na dół, tam przed porą nocną,
 „Zobaczysz co cię zadziwia tak mocno“.
 Pół bożek dalej nie bada,
 Ale na czysty promień, oklep wsiada;
 Dla bezpieczeństwa czyli też dla rady,
 Może tylko dla porady,
 Jowisz wśród gieniuszów jednego wybiera,
 I daje chłopcu zamiast guwernera.
 Już na promieniu błyszczącym się złotem,
 Suną się światła polotem,
 Naprzód przez błonia gwiazdziste,
 Potem przez Eter i przez pola czyste;
 Pędzą nieściagli, a sunąc się dalej,
 Kiedy powietrza gęste przecinali,
 Kula co z góry tak małą się zdała,
 Stopniami w całym ogromie stawiała:
 Wkrótce z zdziwieniem przez wilgotne chmury,
 Odkryli lasem zaczernione góry,
 Później doliny i morze spienione,
 Wesołe łąki, gaje umajone.
 A tu i owdzie ruchome i cienie,
 Łączące po nich stworzenia maleńkie.
 W niepojętej wieczności nieprzerwanym wątku,
 Niema czasu, bo niema końca, ni początku,
 Już Bożek lat tysiące siedział na promieniu,
 A rzekłbyś w jednej chwili, w jednym oka mgnieniu
 Wielkie narodów zmiany, zburzenia i gromy,
 Snuły się w oczach jego, jakby sen znikomy!
 Ujrzał naprzód ród ludzki pod skromnym szafasem,
 Wędrujący po puszczech, osiadły nawiasem,

Ten zaledwie jał jakiś porządek wprowadzać,
 Stawić miasta, siać niwy, i drzewa zasadzać,
 Kiedy z otwartych niebios upuszczone wody,
 Zalały plemię całe i prae ich zarody,
 Jeden tylko człek z dziećmi, z kilku zwierzętami
 Pływając na berlince ponad powodzią,
 W towarzystwie kur, kaczek, kiernosów drapieżnych,
 Plugawych niedoperzy, i gołębi śnieżnych,
 Uratował się cudem; wkrótce, małeńka drużyna,
 Znowu świat ten da capo rozmnażać zaczyna,
 I tak się prędko mnoży i dziwnie rozplenia,
 Iż ziemię całą tłumem wnuków swych zaciaenia;
 Ci z pasterstwa, z swobody przechodząc w poddaństwo,
 Ku wschodowi ogromne otworzyli państwo.
 Tam jeden człowiek włada niezliczonem mnóstwem,
 A gdy nadęty dumą rozumie się bóstwem,
 Gdy mniema, że szeroko całym władnie światem,
 Drugi człeczek wypada i ostrym bułatem,
 Co wzniosły wieków tyle, i przemysł i praca,
 Ćwiertuje na trzy części, burzy i wywraca.
 Dalej bożek w Atenach widzi ludzie czynne,
 Umiejętnością, światłem przechodzących inne,
 Widok ten Bożka zachwyca:

„Jak pięknie słońce przyświeca,
 „Lubój krainie, rzekł do guwernera,
 „Patrz ile cudów ten kątek zawiera,
 „Jakie w boju szyki dzielne,
 „Czy słyszysz wieszczków pienia nieśmiertelne?
 „Co za gmachy, posągi tłumami się wznoszą,
 „Wszystko błyszczy dowiecipem, albo technie rozkoszą,
 „Wszędzie wolność, w którą się te narody wzbiliły,
 „Podnosi człeka Gieniusz, zdolności i siły!“

Ledwie się bożek świetnym ucieszył widokiem,
 Kiedy chytry król Filip spiesznym dąży krokiem,
 I na plemię Milciada,
 Pozłoczone jarzmo wkłada,
 Za nim leci szalenie, lotem błyskawice,
 Wywraca państwa, pali pyszne ich stolice,
 Napętniwszy świat w szrankach dotąd nieziedzonych,
 Odgłosem sławy swojej i płaczem zwalczonych,
 Nabawiwszy się światem przez lat kilka zycia,
 Poległ, na rozszarpanie niezmierne podbicia
 Zostawując swym wodzom: dalej bożek mały
 Kraj na zachodzie, co go dwa morza oblały
 Spostrzega, tam nad Tybrem, lud prostych pasterzy,
 Zmienia się w świetnych wieszczków i dzielnych rycerzy.
 Co tylko miłość kraju, i cnoty i sławy,
 Co duma, chciwość, zemsta, zbrodni poczet krwawy,
 Piękności lub szkarady w dziejach wyobraził,
 Tem się lud ten obrzymi, uświetnił lub skaził;
 Lecz wkrótce za swe zbrodnie ciężkie poniósł kary,
 Niegodnego wolności, wyniosłe Cezary
 Twardem berłem ujęły. Już wieki mijały,
 Już się przed ich obliczem ucieszył świat cały,
 Alie od gór Uralu, z łona ciemnej nocy,
 Chmury nieznanych ludów wznoszą się z północy.
 Jakby pod groźną falą uchodzące wody
 Cisnąc się gęstym tłumem naród na narody,
 Dziedzictwa panów świata zalały ze szczętem
 Znowu się ziemia burzy okropnym odmetem,
 Pękł łańcuch, który świata powiązał narody,
 I wszystko w barbarzyństwie osiadło jak wrzody,
 Znow ród ludzki z trudnością, przez podstęp nieskory
 Od dzieciństwa do mężkiej przybliżał się pory,

Jął ostrość obyczajów oświatą łagodzić,
 Nieraz zbliżać się dawnych, czasem ich przechodzić,
 Budził się i zasypiał, znów gdy się ocucił,
 Zamiast co złe naprawić, to dobre wywrócił.
 Umiął z tego korzystać Macedończyk drugi,
 Lecz i ten przyniósł klęski na miejsce usługi,
 Zatrząsa światem, i upadł: po takim wstrząśnieniu
 Po tak wielkiej nauce, ciężkiem doświadczeniu,
 Pewien maleńki Bożek, że Książęta możni,
 Więcej będą niż dotąd mądrzy i ostrożni,
 Ciekawy widzieć jak się to wszystko odmieni,
 Maleńką perspektywę dobywa z kieszeni,
 I patrzy pilnie, alić na miejsce poprawy,
 Widzi dawne zazdrości i cheiwość i wrzawy,
 I niechęć szczerą złemu położyć już tamę,
 Lecz znowu dawne głupstwa, szaleństwa też same.
 Zmęczony tym widokiem, „ach, jakież to plemię,
 „Zawołał, obarczyło tę nieszczęsną ziemię!
 „Nigdzie zdrowego sensu, kawałka rozsądku,
 „Zaledwie z barbarzyństwa przyjdą do porządku,
 „Wzniosą się jak przystoi na mądre stworzenia,
 „Wnet szał jakiś nieszczęsny, dzikie zaślepienia,
 „Burzą je, i gdy krwawe ukończą zapędy,
 „Znowu też same passye i też same błędy.
 „Ludy chociaż prawd wielkich nie przestają głosić,
 „Łatwiej jarzmo, niż wolność umięją ponosić.
 „Względem poddanych, książąt te jedynie cele,
 „Nie żeby mieć szczęśliwych, lecz żeby mieć wiele,
 „Nie masz widzę nadziei, by liche stworzenia
 „Były kiedy godnemi swego przeznaczenia;
 „Z początku mię bawiły, lecz już teraz nudzą,
 „Niechaj się rzną, niech duszą, niech napróżno trzują

„Czas powrócić do nieba“. Te słowa gdy skończy,
 Znów na tymże promieniu i jak wprzód rączy
 Stawa u nóg Jowisza, a gdy opowiada
 Co widział, cały Olimp z śmiechu się pokłada;
 Rzekł mu Jowisz: „Szczególnie widział waryaty,
 „Szczęście, że nie tak wszędzie między temi światy,
 „Co w około nas krąży rozlicznemi tory.
 „Są lepsze, rozsądniejsze, doskonalsze twory,
 „Co przedwiecznej mądrości rządzą się ustawy,
 „Ta ziemia służy tylko dla naszej zabawy.

1815.

Trzewiki.

Był szlachcie słuszny i dosyć majątny,
 Miał córkę wcale przystojną,
 Ojciec na przyszłe szczęście jej pamiętny,
 Łożył na nią ręką hojną:
 Wyborny dając rodzaj wychowania,
 Nie szczędził kosztu, ani też starania.
 Umiiała ona walcować,
 I haftować i malować,
 Wśród świetnego balu,
 Uchwyciwszy kawał szalu,
 Wzbudzała okłask przez cudne obroty:
 Nikt nad nią lepiej nie tańczył gawoty.
 Nie dziw, że przymiotów tyle
 Roje kochanków ściągały bez miary,
 Lecz Panna wcale niemile,
 Przyjmowała ich ofiary.
 Każdemu miała coś do zarzucenia:
 Ten był niedosyć wielkiego imienia,

Ów nie bogaty, nie piękny, lub stary,
W każdym znalazła przywarę.
Troskliwy ojciec, że gdy tak dłużej pobędzie,
Panna na koszu osiedzie,
Woła swej córki i tak się odzywa:
„Kochana Basiu: czas szybko upływa,
„W dojrzałego wieku porze,
„Martwią mnie twoje trudności w wyborze.
„Pierwsze jest każdej panny powołanie,
„Myśleć o małżeńskim stanie:
„Lecz wybredzać nie należy,
„Masz tyle wkoło dorosłej młodzieży,
„Upatruj męża, nie z powierzchownych rzeczy,
„Lecz z tego co ci szczęście zabezpieczy.
„Może ci to śmiesznym zda się,
„Lecz względem męża w liczbie zalotników,
„Rozsądna panna tych reguł trzyma się,
„Co względem swoich trzewików:
„Gdy jedziesz na bal, wszak jak można małe
„Bierzesz trzewiki ałasowe białe:
„By tylko pyłek na podłodze zmiatać,
„Nie tykać ziemi, ale prawie latać.
„Takie trzewiki dobre do tańczenia. —
„Do codziennego chodzenia,
„Innych potrzeba, nie tak bardzo modnych,
„Lecz za to mocnych, wygodnych,
„Takich, w którychbyś mogła w każdej porze,
„Czy to pogoda, czy słońce na dworze,
„Czyli to suche czyli mokre drogi,
„Bezpiecznie chodzić niezmoczywszy nogi.
„Toż samo z mężem: inna rzecz jest wcale,
„Pośmiać się trochę lub jechać na bale,

„A inna w dobrym, albowi w złym bycie:
„Ciągłe pędzić całe życie“.
Basia niecałkiem rozumiała radę,
I na pół tylko sprostowała wadę,
Dwie par trzewików wzięła do zmienienia,
Jedną do balu, drugą do chodzenia.

Czym źle czy dobrze te bajkę powiadał,
Chwały lub wstydu mnie to nie uczyni,
Jam tylko rymy do kupy poskładał,
Myśl podał grzeczny Badyńi.

Miłość i Wabność.

Lubo przyjętem na świecie mniemaniem,
Że wyspa Pafos jest bardzo zabawną,
Że technie woniami, brzmi wdzięcznem śpiewaniem,
I z samych rozkosz jest sławną:
Mnie jednak wieści doszły o tem sprzeczne,
To jest, że Kupid, Nimfy nawet płocze,
Czasami nudzą się trochę.
Kto to powiedział, niechaj damy grzeczne,
Nie chcą się pytać: mimo ich oporu
Nie powiem, bom dał me słowo honoru:
Czemuż koniecznie, zkąd to wyszło, śledzić
Niedośże rzecz samą wiedzieć?
Na wyspie Pafos między ciemnym gajem,
Jużem to wprzód powiedział,
Jak sułtan swoim otoczony serajem,
Wśród Ninf nadobnych Kupidynek siedział.
Hoże dziewice ozdobnie ubrane,
Szczerze do swego Bożka przywiązane,

Na to swe myśli jedynie siliły,
 Jakby zepsutą chłopczyzną bawiły.
 Lecz próżno w tańcach ruchem pełnym wdzięku,
 Zmiały trawkę nóżkami drobnemi,
 Próżno do lutni jęczącego dźwięku,
 Łączyły pienia chóry dobranemi,
 Napróżno dowcip, wesołość szczęśliwa
 I hoża piękność, płochosć szczerbueliwa,
 Szukały, coby Bóžka rozerwało,
 Rzadko się kiedy której z nich udało,
 Równie dla Bogiń, jako też dla ludzi,
 Trudno jest bawić tego co się nudzi.
 Nieraz gdy Echa śmiechy powtarzały,
 Któżby się tego spodziewał,
 On na to wszystko niedbały,
 Zadartszy główkę poziewał.
 W tak smutnej rzeczy postaci,
 Wabność co razem jest piękna i ładna,
 Zawsze ponętna, często bardzo zdradna,
 I nigdy głowy nie traci
 Niby to nową wymyśla zabawę,
 „Idźmy, rzeczce, na murawę,
 „Tam lepiej niżli w tej sali,
 „W ślepą babkę będziem grali“.
 Komu sytości choroba,
 Wykwintną rozkosz obojętną czyni,
 Temu się czasem i fraszka podoba:
 Kupidyn na myśl Bogini
 Chętnie zezwala, i wraz z całym gronem
 Zaczyna pisać na smugu zielonem.
 Bardziej niż kiedy wesół i ochoczy;
 Nie trzeba było zawiązywać oczy,

Bo miał związane: już Boginie hoże
 Rozproszyły się między jasmyny i róże,
 Każda z nich suwa jak łania
 On się za niemi ugania.
 Kręci się w koło, a w każdym ruszeniu,
 Trzęsie się kołozan na małym ramieniu,
 Znużony biegiem, skrzydełka rozwija,
 Miga się szparko na powietrzach czystych,
 Tę skrzydłem dotknie, tę niezręcznie mija,
 Niesłychać jak krzyk i śmiechy!
 Wśród tych gonitw i uciechy,
 Zważano z boku, że czułość lekliwa,
 Kiedy się za krzak myrtowy ukrywa,
 Przeciwnie wabność płocha i łudząca
 Wysuwa się i sama Bóžkowi natrąca.
 Niedziw więc, że ją Kupid złapał snadnie,
 I gdy się Nimfa wstydem niby kryje,
 Inne Kupida pytają wesoło,
 Którą z nich złapał, czyli imię zgadnie.
 On, niesłuchając uczepion za szyję,
 Całuje usta, i piersi i czoło:
 Lecz nie nie mówi, aż wabność zdradliwa,
 „Nie znasz mię, woła: jam jest czułość tkliwa“.
 Chłopczyzna na to rzeczce jej z uśmiechem:
 „Dla ciebie zwodzić nie jest więcej grzechem.
 „Wiem ja kto jesteś, masz pewne znamiona,
 „Choć ślepy znam cię i z twarzy i z łona,
 „Szczerém westchnieniem pierś się twa nie wznosi,
 „Ani łza rzewna jagody twej zrosi,
 „A zimne serce z skłonnościami zgodnie,
 „Nie bije silnie, lecz chodzi wygodnie,

„Można się z tobą pośmiać i zabawić,
„Ale z czułością lepiej życie trawić“.

1808.

Wyrok Jowisza.

(Ucinek z Juwenalisa Satyry VIII.)

*Nam quid rancidius quam quod se non putet ulla,
Formosam, nisi quae de Ihusca Groecula facta est;
De Sulmonensi mera Cecropis omnia Graece,
Cum sit turpe magis nescire Latine,
Hoc sermone pavent, hoc iras, gaudia curas;
Hoc cuncta effundunt animi secreta.*

Toż po polsku:

Cóż przykrzejszego jak gdy żadna się nie miała,
Piękną, jeżeli Francuzką z Polki się nie stała,
Z Kaszubki Paryżanką, wszystko francuzczyzną,
Choć to szpetniej dla naszych, złą mówić Polszczyzną,
Tym się językiem lęka, troszcze, cieszy, gniewa,
Tym wszystkie duszy swojej uczucia wylewa.

Karpiński.

Gdy moznym Rzymem władali Cezary,
Kiedy dawne obyczaje
Psuę się zaczęły, a zbytek bez miary,
I wszelkich przywar rodzaje,
Rzym ogarnęły i Rzymskie matrony, —
Wtenczas przez zawrót szalony,
Co tylko było ojczystem prawdziwie,
Wyśmiewano uszczypliwie,
Chwalono obce: błahe wynalazki,
Skoro nie swoje ściągaly oklaski:
A co najgorzej płęć piękna, płęć miła,
Tej się zdrożności chwyciła

Tak, że gdy młodzian wśród wonnych zapachów,

Przyszedł do prawnuczki Grachów,

Nie tam nie znalazł Rzymskiego:

Wazy, naczynia, cały sprzęt bogaty,

Obuwia, księgi i szaty,

Wszystko to z kraju obcego.

Całe tych kobiet rozmowy,

Jaki w Atenach wyszedł ubiór nowy;

Zyjącym w Rzymie, Ateny się śniły,

Do tego wszystkie zabiegi dążyły,

Żeby zebrawszy co można pieniędzy,

Lecieć do Aten czempredzej.

Ta lekkość chuci, aczkolwiek jest zdrożna,

Przecież darować ją można,

Miło się w kunsztach pięknych trzymać wzorów;

Lecz obruszyło Cenzorów,

To co narodowość tyka:

Wzgarda Rzymskiego języka.

Pierwsze matrony i zaene i lube,

Miały to sobie za chlubę,

Ojczystej mowy mało co rozumieć,

A często wcale nie umieć.

Do tego stopnia przyszło już zgorzenie,

Ze obce mistrze, przyszłe pokolenie

Ucząc, wlewały w umysły ich z młodu,

Niechęć do własnego rodu.

Wszystko co tylko młódz tę otaczało,

Mową Homera gadało;

Nie dosyć — mamka maleńkiemu dziecku

Piersi dawała po Greeku!

Za tym przykładem młódz cheiwa zalety,

Z tego co lubią kobiety,

Chociaż często niegodziwie,
Jęła po grecku paplać szczebietliwie,
A nawet głosić przed sprawionym szykiem,
Rozkazy obcym językiem!
Gdy ostre prawa, surowe zakazy,
Nie powściągały tej skazy,
I tak dzikiego zmysłów obłąkania,
Senat wśród klęsek, zwykłych użył kroków,
Ogłosił posty i święte błagania,
I szedł Jowisza radzić się wyroków.
Po pysznych stopniach, kapitołskiej skały,
Poważnym krokiem dostojni ojcowie,
Szli do świątyni: lud czekał zdumiały,
Co raczą wyrzec bogowie;
Już konsul stawia przed tronem Jowisza,
Krew się błagalnej ofiary rozléwa,
Senat, kapłani i lud się ucisza,
Gdy tak się *Curius Dentatus* odzywa:
„Królu Niebianów i władco wszech rzeczy,
„Ty co dzielne Marsa plemię,
„Mieć raczyłeś w twojej pieczy,
„I pod moc jego podałeś tę ziemię,
„Srogie nieszczęścia smutek niestychany,
„Obarcza twoje Rzymiany.
„Oto przez ciężkie losów ukaranie,
„Czy przez zmysłów pomieszanie,
„Niepomne przodków zaszczytów,
„I własnego rodu chwały,
„Żony i matki Kwirytów,
„W ojczystej mowie raptem oniemiały;
„Żadna swym mówić językiem nie raczy,
„Obcym się tylko tłumaczy:

„Ach! widzę jakie klęski, za tak ślepym błędem,
„Na państwo rzymskie szybkim runą pędem,
„Przez wspólny język z narody obcemi,
„Zgaśnie miłość własnej ziemi,
„Oddzielność mowy i szat i zwyczajów,
„Te jedne czynią niepodległość krajów:
„Gdy wszystkie ludy w jednym staną rzędzie,
„Nikt ojczyzny mieć nie będzie.
„Ja drzę, bym choć już w starości sędziwej,
„Nie doczekał się tej hańby wstydlivej,
„Chejcie panie na Rzym wzrok łaskawy rzucić,
„Powiedz jak klęskę tak ciężką odwrócić“.
Żyż rzewne mowę konsula przerwały,
Tu Jowisz zmarszczył czoło zasepione,
Świętego gmachu przystępy zadrżały,
Tyber swe wody zmęczone,
Wstecz biegu cofnął: Jowisz grzmiącym głosem
Tak swe rozgłasza rozkazy:
„Surowych lekarstw dla ciężkiej zarazy
„Użyję, jednym złe wyglądę ciosem,
„Nad względy dla pći, w sereu mem przemaga
„Ludu Rzymskiego zniewaga,
„Na piekła, z Styxu potrójne zatoki,
„Przysięgam, że dziś przekłętwa wyroki,
„Dopełnię wiernie: jeźli odtąd która,
„Z Rzymianek matka, żona albo córa,
„Do Rzymianina po grecku zagada,
„Niech na jój lice padnie niemoc błada,
„Niechaj gdy kogo tą mową zagadnie,
„Za każdym słowem dwa wdzięki opadnie;
„Straszniejsze nad te ustanowią kary:
„Tej co się zdrożnej nie zrzecze przywary,

„I trwać w nałogu zechce uporeczywo,
 „Czépék na głowie leżeć będzie krzywo,
 „Pomięte wstążki, co włożyć się zdarzy,
 „Wszystko nie będzie do twarzy;
 „Nakoniec jako odrodna Rzymianka,
 „Nie znajdzie męża ani też kochanka.
 „A wy Rzymianie, pomni na prapradziadów,
 „Zrzeciecie się zdrożnych przykładów,
 „W czem sławni, można Greków naśladować,
 „Lecz trzeba mowę ojczystą zachować.
 „Kto się jej zaprze, na tem wieczne znamie
 Ostrej śmieszności wycisnie me ramie,
 „Choć by go pyszna okryła ozdoba,
 „Nigdy się pięknym oczom nie podoba,
 „Nie zyska sławy, walcząc z przeciwnikiem,
 „I całe życie będzie porucznikiem“.
 Rzekł i przedwieczną na dół chyląc głowę,
 Przestraszył świata połowę.
 Surowy wyrok rozgłoszon po mieście,
 Zatrwożył młodzieź i plemię niewieście.
 Na myśl przekłęstwa matrony struchlały,
 I odtąd tylko po Rzymsku mawiały.

1810.

Miłość przebrana.

Synek kochanej Cytery,
 Będzie temu wieków cztery,
 Z wrodzonej sobie do złego ochoty,
 Tyle porobił już psoty,
 Tyle męki w sercach sprawił,
 Ze się szkaradnie osławił;

Jak zły szeląg wszędzie znany,
 Podobny szalbierzowi co się kłamstwy zmazał,
 Był od wszystkich unikany.
 Kiedy się tylko pokazał,
 Kędy ujrano lube straszyletko,
 Płoszczyk od strzały, albo też skrzydełko,
 Natychmiast panny, młodzieńcy,
 Uciekały o milę albo też i więcej.
 Przyszło do tego, że Kupida razy,
 Nikogo w świecie nie tknęły,
 Lecz przebóg! cięższe zarazy
 Pomiędzy ludźmi się wszczęły:
 Bo gdy cztowiek ani trocha,
 Dla pięknych oczu nie czuje,
 Kiedy się sobą zajmuje,
 I sam siebie tylko kocha,
 Nastały nudy i smutki...
 Szkaradnego samolubstwa skutki,
 Więcej poczyniły zbrodni,
 Niż wszystkie błędy kochania.
 Szczęściem, że Bożek pochodni,
 Zaradził temu przez swoje starania.
 Bo gdy go pogarda drażni,
 Postanowił zemścić się w sposób niegodziwy:
 Wziął na się postać przyjaźni,
 Jej układ nawet, jej ubiór właściwy,
 Leciuchną suknię z muślinu odziewa,
 Tureckim szalem skrzydełka zakrywa,
 Czarne kędziorki, wzrok bystrooki,
 Przyćmił kapelusz głęboki,
 Nic na nim próżnym blaskiem nie jaśniało,
 Rózu nie wcale, albo bardzo mało.

Skromny w ruszeniu, z powłoczystym wzrokiem
Na publicznej przechadzce chodził sobie bokiem,
Lecz powie Zoil: jakże Kupid mały
Mógł przybrać postać kobiety dojrzałej?
Śmieszne pytanie? chociaż trochę cieńki,

Nie jest on bardzo maleńki,
Z tej strony wielu jest w błędzie.
Lat temu zgórą już trzydzieści będzie
Gdym poznał zbliżka Bożyszeze zdradliwie,
I śmiem zapewnić na słowo uczciwe,
(Choćby kto temu nie wierzył z przekory:)

Że to chłopcziec wcale spory,
A nadto u trzewików miał wysokie korki,
Lecz mniejsza o to; zbierać ze mnie wzorki,
To rzecz nie nowa; Ja mimo tę zrzędę,
Dalej mą bajkę opowiadać będę.
Gdy więc tak chodzi, zwolna zamysłony,
Alie Damon postacią przyjaźni zwiedzony,
Zbliża się, a że ciężkie miał w duszy zmartwienia,
Chcąc je pocieszyć przez ufne zwierzenia,
Nie postrzegając by najmniejszej zdrady,
Zasięga od miłości, przyjaźni, porady.
Tu zaraz Kupid przez lepsze nadzieje,
Słodką pociechę w serce jego leje,
I smutki koi; tak gdy się ukrywa,
Wkrótce z pod szalu strzałeczki dobywa,
I niepostrzeżenie jakby śpilką właśnie,
Trochę go w serce zadraśnie,
Natychmiast Damon wzruszenia nie znane,
I jakąś w sobie postrzega odmianę,
Już nie pyta o rady, chwali tylko wdzięki.
Przyjaźni i na własne użala się męki;

Im dłużej mówi, więcej się wpatruje
Tem żywszy zapał w sercu swoim czuje,
I gdy mniema przez słodkie nader omamienie,
Że tylko przyjaźń wielbi, już kocha szalenie.
Cieszy się zdradny Kupid, a co chwila bokiem
Z pod kapelusza bystrem rzuca okiem.
Postrzega to w bliskości młodzież przechodzącą,
Rzecz jeden drugiemu, gdy go bokiem trąca:
„Wyznaj, że jest w przyjaźni coś bardzo miłego,
„Coś, co duszę pociąga, coś ujmującego,
„Patrz, jak Damon w jej rady chce się przysposobić,
„Pójdźmy i my: bez tego nie mamy co robić“.
Poszli, i zaraz Boiomir odważny,
Zalotny Zdzisław, i Erast poważny,
I Filon w leciech niewinnych,
Damis i Kleant, wielu jeszcze innych,
Mniemaną przyjaźń otaczają w koło,
Mówią dowcipnie, śmieją się wesoło.
A nasz Kupidyn z nieśmiałem wejrzeniem,
Z skromną postacią, ze słodkiem mówieniem,
Odpowiada każdemu, wnet sam się rozwodzi,
Że jedna tylko przyjaźń życie stodzi,
Że największa pociecha w wzajemnej ufności,
A niech Bóg broni słowa o miłości:
Zachęceni młodzieńcy bez bojaźni żadnej,
Tulą się wszyscy do Bogini zdradnej,
A gdy się tłoczą na swoją niedolę,
Ona każdego strzałeczką ukole;
Znikły rozmowy i wesołość żywa,
Każdy swój płomień przed drugim ukrywa,
Jeden uśmiech lub słowo co z wiatrem uleci
W sercach niegdyś przyjaznych czarną zazdrość nieci:

Nie widać — jak miłosne ukradkiem spojżenia,
Nie słysząc — jak głębokie i ciężkie westchnienia,
Wciąż się szerzy zaraza, dalecy czy blizy,
Jak jakie waryaty kochają się wszyscy.
Słowem, jawny Kupidyn wprzód w całej swej sile,
Nie odniósł tyle zwycięstw, nie zranił sere tyle.
Kontent z swego fortelu, pełen uniesienia
Postrzegł, że ten najlepszy sposób uwodzenia,
I odtąd czy to na wsi, w mieście, czy na dworze,
Zawsze się pokazuje w przyjaźni ubiorze.

1811.

Samice Ptasząt w poselstwie do Jowisza.

(Naśl. z J. B. Roberti).

Płci luba, godna wszystkich uwielbienia,
Ty, co kiedy byłem młody,
Słodką twą mową, pięknością urody,
Wzbudzałaś we mnie żywe uniesienia,
Którą ja głosił i prozą i rymy,
Nie chcę, bym w chwilach mej zimy,
Miał wyrzec na cię choć słówko wątpliwe,
Lub rzucić pocisk co rani.
Niech kto chce bazgrze wiersze uszczypliwe,
Lepsze jesteście jak ten co was gani.
Pozwólcie jednak dać wam radę szczerą,
Co nie krzywdzi ani drażni,
Wszak to dowodem przyjaźni,
Wszak bajka nie jest Satyrą;
Powiem więc bajkę i tą nie urażę,
A ta wam wiernie ukaże,
Jakie natura w odwiecznej mądrości,
Wkłada na was powinności,

Prawa, co w stanie zamięścia
Źródłem są rozkosz i szczęścia.

Wśród ptasząt nie tak, jak między kobiety,

I świetne dary i piękne zalety

Rozdały Nieba wspaniałe.

Prawda, kobiety nieśmiałe,

Źyskały słabość w udziale,

Lecz za to jak skarbów wiele:

Blask piękności, gładkość lica,

Ten głos co nas tak zachwyca,

Tak silnem na sereu naszym, —

Inaczej w rodzaju ptaszym:

U nich, acz przykro powiedzieć, jednakże

Ten co jest mocnym, najpiękniejszym także,

Nie dosyć natem, gdy samiec wspaniały,

Małżonkę swoją przyzywa,

I głośnym pieniem napełnia gaj cały,

Wtenczas żona nieszczęśliwa,

Zaledwie trzema odpowie sylaby,

Tak głos jej bardzo jest słaby.

Czułe na to pokrzywdzenie,

Dalekie mężów, upatrzysz pórę,

Damy nasze ciemnopiore,

Zwołały do ogrodu walne zgromadzenie.

Wiele tam było świergotu,

Koło wspólnego kłopotu,

Uradziły nakoniec poważne samice,

By niezwłocznie czeczotkę, ziembę i szczyglicę,

Ze skargami w poselstwie wysłać do Jowisza.

Wlot stawają posłowie, Olimp się ucisza,

Zaczyna ziemba: „Pierwszy między Bogi,

„Jowiszu, który w nieustannym trudzie,

„Zarówno rządysz i wróble i ludzie,
 „Do ciebie niesiem żal pokrzywdzeń srogi.
 „Nie będzie nigdy w domach naszych zgody,
 „Ani małżeńskiej jedności,
 „Aż raczysz panie przypuścić nas wprzody
 „Do wspólnej z samey równości;
 „Dotąd nasi mężowie wszystkie zyski mają,
 „Jaśniej pióro i sami śpiewają,
 „Chciej sprawiedliwiej podzielić twe skarby,
 „Lub daj głos wdzięczny, albo piękne farby“.
 Skończyła ziemia; Jowisz się obudził,
 I z miną, którą mają Monarchowie,
 Gdy ich kto prośbami znudził,
 Tak im w krótkości odpowie:
 „Nie...“ Lecz w tej samej dobie,
 Szczęściem przypomniawszy sobie,
 Jak mocz w słowach grzecznie powiedzianych,
 Pozyskać może serca swych poddanych,
 Jak odmawiając, pogłaskać spojrzeniem,
 Wypogodziwszy nieśmiertelne lice,
 Tak znów mówił z przymileniem:
 „Piękne moje posłanice,
 „To coście chciały, już miałem uczynić,
 „Żem nie powiedział, nie chcecie mię winić,
 „Nie pochodzi to z surowości zbytku,
 „Lecz dla własnego waszego pożytku;
 „Gdybym ja waszym żądaniom dogodził,
 „Na czemżeby czas wasz schodził:
 „Na umizgach, na kochaniu,
 „Na nowych piosnek składaniu,
 „Gotowebyście robiąc różne miny,
 „Patrzeć się w źródle przez całe godziny,

„Dzień za dniem na temby mijał,
 „I któżby prosię gniazdeczka uwijał,
 „Któżby je puchem okrywał.
 „Siedział na jajach, dzieci wychowywał;
 „Czyli płochę rozumiecie,
 „Że tak jak żona, mąż dba o swe dziecko,
 „Kto wie coby się z tą równością stało,
 „Coby się w lesie, co po gniazdach działo,
 „Rodzaj wasz na tem musiałby szwankować;
 „Lepiej więc dawne ustawy zachować,
 „Nieście się, dbajcie o małych zdrowie,
 „A niech śpiewają mężowie“.

1814.

Nowy sąd Parysa.

Nikt z nas zapewne temu nie zaprzeczy,
 Że wielka zmiana i gustu i rzeczy,
 Że jest różnica i przedział daleki,
 Między naszymi a dawnymi wieki!
 Ta prawda jasnie będzie dowiedzona,
 Sprawą świadomą u wszystkich badaczy,
 Co w Grecji w jeden sposób osądzono,
 A u nas wcale inaczej.
 Na górze Ida, jak wszystkim wiadomo,
 Gdy trzy Boginie przyszły pokryjomo,
 Do Parysa stróża trzody,
 By o pierwszeństwie sędził ich urody:
 Pasterz ów piękny i luby,
 Nieznając żadnej rachuby,
 Prócz czucia i uniesienia,
 Z pierwszego zaraz spojrzenia,

Wzgardził bogactwy, nie chciał mądrości,
I jabłko oddał piękności;
Dziś modny Parys, jestem tego świadek,
Gdy się lepszym zdaniem rządził,
Podobną sprawę, podobny przypadek,
Wcale przeciwnie osądził.
Ten nie na Ida, ale na kanapie,
Kiedy sobie zwolna chrapie,
W rozpiętym fraku, cały rozmamany,
Pachnącą wódką oblany,
Widzi trzy Boginie główne,
Lecz jak i pierwsze w powabach nierówne,
Hoża, przystojna, lecz nieco surowa,
Weszła Zoe, jak gdyby córa Jowiszowa,
„Ja ci, rzekła, odkryję mądrości krynice,
I przyrodzenia wszystkie tajemnice,
Jeżeli mię pojmiesz“. Ledwie skończyła te słowa,
Alić Egle jak gdyby Cytery królowa,
Wchodzi świeża, piękna, ładna,
Wdzięczna, powabna i składna,
Biała, usta jej były koralowe,
A w ustach zębki perłowe,
Ciąg gęstych rzesów słodkim cieniem mroczy,
Błękitne oczy;
Co rzekła, nie wiem, bo mniej słowa waże,
Dosyć piękności, kiedy się pokaże.
Na tyle wdzięków i lubości tyle,
Nie wiem co by się z sędzią naszym stało,
Lecz gdy w jej postać wpatruje się mile,
Trzecie się Bóztwo wyrwało.
Była to Kloe, niby to Junona
Duża, tłusta i czerwona,

Suknia jej dziwnie bogata,
Lecz sama brzydka, i troszkę garbata,
Nos miała wielki, nieco rude włosy,
Ta w rękę niosła wielkie złota trzosi,
Na wszystkich palcach duże solitery,
I klejnotów skrzynek cztery.
„Wszystko to, rzekła, co jest tylko mojem,
„Jeżeli mi dasz pierwszeństwo, wraz stanie się twojem,
„Dam więcej jeszcze“. Tu Bogini mała,
Cztery mu piękne gwiazdy pokazała,
Klucz Szambelański, sześć małych krzyżyków,
Dwa złotych, siedm małych medalików.
Na widok trzosiw brzęczących,
I tylu cacek wabiących,
Nie waha się Parys modny,
Wiek swego nieodrodny,
Z Minerwą i Wenerą pożegnanie skróca
I cały się na złoto i garbuska rzuca.

Spór o pierwszeństwo.

Passye, co nam życie burzą,
Same się z sobą skłóciły.
Jak kiedy czarne nieba się zachmurzą,
I pioruny co długo w swem łonie karmiły
Wyzioną z straszliwym grzmieniem, —
Z podobną wrzawą, z takim uniesieniem,
Wściekłe namiejętności jeły spory wodzić;
Naprózne były dobrych dusz starania,
Wedle sporów pojednania,
Któż mógł kiedy passye zgodzić!
Głos jeden drugie nie przestawał tłumić,

Nakoniec, kiedy nawet nadzieje stracone,
Żeby się mogły zrozumieć,
Poleciały jak szalone,
Przed tron Jowisza zanosić swe skargi.
Lecz o cóż proszę tak wielkie zatargi?
Powiem w dwóch słowach: o to szła rzecz cała,
Która z namiętności pierwsze miejsce miała.
Lecz już wszystkie wleciały w Olimpu podwoje,
Każda szerzy swe prawa, wymagania swoje,
A kiedy z uniesieniem, z obłądnym wyrazem,
Jęły wszystkie wrzeszczeć razem:

„Cicho, zawołał Jowisz, szaleńce przekłete,
Szanujcie to miejsce święte;
Słyszcie te krzyki, te wrzawy, tę trwogę,
Ja was zrozumieć niemogę.
Do każdej sprawy obrony,
Niech raczej staną patrony“.
Nie wiele było trudności,
Nie trzeba było co na rękę dawać,
W sprawach namiętności,
Sami Bogowie podjęli się stawać.

Wyniosłej żądy podbić, Mars Bóg wojen bronił,
A gdy mówił, zdało się, że zastępy gonił;
Wenus za lubieżnością z tak słodkim uśmiechem,

Z taką mówiła pieśczętą,
Iż rzekłbyś, że nie była ta passya grzechem,

Ale raczej była enotą.

Rozśmiał się Olimp cały, gdy próżność twierdziła,
Ze nadewszystkich mędrszą i piękniejszą była.

Pluto co lubi pełne złota trzosi,

Cheiwosć i skąpstwo wznosił pod niebiosy,

A Merkury wymową wszystko podbić zdolną,

Jasno bardzo dowodził, że nawet kraść wolno.
Słowem, każda passya znalazła obrońcę,
Dowodzącego, tak jasno jak słońce,
Swoje pierwszeństwo: kolej na Zawisę przychodzi,
Alić w obronie zaden z Bogów nie wychodzi,
Każdy odwraca oczy od brzydkiej poczwary.

Ona nieczując zasłużonej kary,
Z złości trzęsąc się cała, z grzywą najeżoną,
Z wklęsłym w policzkach okiem, z paszczą zapienioną,
Zzymając się wypada, na nic nie pamięta,
Nie passye same, bardziej enoty i talenta,
Jej bluźnierstw, zawziętości są najpierwszym celem,
Dość być wyższym, by zostać jej nieprzyjacielem:
Wszystko co godne chwały, potępia i gani,
Czerni potwarzą, ostrem żądłem rani,
Samą nawet niewinność... długo jeszczeby wrzeszczała,
Lecz czując, że już pęknie, zamilknąć musiała.
Tu gdy każdy ile chciał, tyle perorował,
Mrugnął Jowisz, a woźny na ustęp zawołał.
Dość długo Prezes Bogów i inni sędziowie
Na ważnej dla stron wszystkich siedzieli namowie;
Nakoniec otworzono Olimpu podwoje.

Gdy ciekawych słuchaczów weisnęły się roje,
Wraz Pisarz Trybunalski, syn pięknej Latony,
Taki dekret przeczytał: „Wysłuchawszy strony,
„Ich skargi, ich wzajemnych zażaleń powody,
„Akcessoria, Repliki, i wszystkie dowody,
„Oświadcza Ojciec Bogów, wszystkim tu przytomnym,
„Niebu, ziemi, dzisiejszym, i wiekom potomnym,
„Iż zesłał na świat poczet passyj dzielnych,
„By były bodźcem dla ludzi śmiertelnych,
„Zesłał je na ich dobro: jeżeli z nich które,

„Nad rozsądkiem człowieka nieraz biorą górę,
 „Nie Jowisza w tem wina, w czynach swych niemylny,
 „Dbały o dobro ludzi, ziemiankom przychylny,
 „Chciał, by w żegludze życia znanej przeszkód likiem,
 „Passye były zagłami, a rozum sternikiem,
 „One do świetnych czynów wiodącą pochodnią,
 „Dobrze użyte cnota, źle użyte zbrodnią...
 „Względem pierwszeństwa próżną byłaby ustawa,
 „Dla krnąbrnych co żadnego nie uznają prawa.
 „Przyznaż je Olimp komu — daremne przyznanie,
 „Zaraz wyrwie się próżność, i najwyżej stanie.
 „Gdy więc trudno powiedzieć, która pierwszą będzie,
 „Wskażmy najohydniejszą z passyj, w każdym względzie:
 „Zazdrość, — gdyż każda inna, acz drugum szkodliwa,
 „Przecież sama jakiejścis rozkoszy używa,
 „Wojownik gdy zwycięża, gdy po bojach twardych,
 „Ogląda u nóg swoich nieprzyjaciół hardych,
 „Widzi na pysznych basztach swe orły zatknięte
 „Słyszy jak tłum radosny, jak kapłany święte,
 „Wznoszą hymny za niego... na wojnę nieprawą
 „Na płacz ludu nie bacz, i cieszy się sławą;
 „Skąpiec wyschły od głodu z obdartemi szaty,
 „Szczęśliwy, gdy swych trzósów pomnaża dukaty;
 „Lubieżni co ich piękność, i wdzięki unoszą,
 „Niewidząc jak znikomą poją się rozkoszą;
 „Któżby rzekł, zemsta, nawet z sztyletem skrwawionym,
 „Z obłąkanemi oczu, z włosem najezonym,
 „Drżąca, gdy w nienawisne zwłoki się wpatruje,
 „W zapamiętałem sercu, wściekłą radość czuje:
 „Patrzaj łasy obżerca, jak slinkę połyka,
 „Kiedy w głębi pasztetu trufle napotyka;
 „Gracz co go rozpacz szarpie, nadzieja kołysze,

„Jak szczęśliwy, gdy piątka w kwindeczu dopisze,
 „Słowem wszystkie passye, czy słabe, czy silne,
 „Mają swoje rozkosze, chociaż zawsze mylne.
 „Ale ty! (tu Apollo pełen zawziętości
 Obrócił mowę swoją do brzydkiej Zazdrości:)
 „Mała wybladła Jędo, wszystko złość twą budzi,
 „Karcić się tylko umiesz nieszczęściami ludzi,
 „Każdy Laur, który Cnota, zasługa odbiera,
 „Jest trucizną, co twoje wnętrze pożera,
 „W każdej passyi coś mozem dobrego znachodzić
 „Ty bez zysku dla siebie, lubisz innym szkodzić,
 „Ty zionąc jady twoje w ene zawody męztwa,
 „Umiesz wydzierać wodzom już pewne zwycięstwa,
 „Lube szczęście kochanków w męczarnie obracać,
 „Burzyć obrady ludów, i państwa wywracać.
 „Prześladowniczo enoty, otwarcie lub skrycie
 „Niedość, że wielkich ludzi trapiasz przez ich życie,
 „Otwierasz grób ich zimny i znikłe na poły
 „Mieszasz sztyletem twoim martwe ich popioły.
 „Nie każ mieszkania Bogów, obrydła i wściekła,
 „Wracaj zkąd masz początek, wracaj w głębie piekła,
 „A ze pięknoscią Cnoty nigdyś nieujętą,
 „Bądź na zawsze ohydą, na zawsze przekletą.

1816.

Poselstwo osłów do Jowisza.
 (z włoskiego Dżan Batista Roberti).

Na pysznych progach oparte
 Złote Jowisza podwoje,
 Stoją na oścież otwarte,
 Tym, co pragną modły swoje
 Do ojca Bogów zanosić:

Czy książęta, czy rycerze,
Choćby i najlichsze zwierze
O łaskę może go prosić:
Mileczy ciemne uprzedzenie
W oczach Jowisza: bez żadnej oznaki,
Równem u niego jest każde stworzenie,
Bo wszystkich zawód jednaki:
Cierpieć, podnieść się, albo poniewierać,
Pożyć dni kilka, a potem umierać!
Temi prawidły gdy się Olimp rządził,
Zniósł etykietę i przepych wytworny,
Śmiały się Niebios Marszałek nadworny,
Gdyby od osła koń się lepszym sądził,
Gdyby kto szczęście chciał na tem pokładać,
Żeby iść pierwszej, albo wyżej siadać;
Marszałkiem dworu był wtenczas Merkury,
Młody, wybornej natury,
Pusty, dowcipny, nie znał co mokoły,
Zawsze wesoly:
Nie raz on wolnej używając pory,
Nim przyszły Deputacye, albo Oratory,
Siedzący w przedpokoju spokojny, bezpieczny,
Pił sobie Nektar przedwieczny.
Raz kiedy czary wychylał już szczątek,
Wchodzi po schodach dotąd niewidziane
Poselstwo cudnie dobrane,
Ostów, oślic i oślątek.
Wraz drzwi Marszałek nadworny otwiera,
Credenciales przeziera,
Z zwykłym porządkiem i z niskim ukłonem,
Ryczące bestye przed Jowisza tronem
Stawia: tu najpierwszy z Postów,

Wymową innych celujący ostów,
Z uszy na dół spuszczone, mi,
Zaczyna mowę, słowy łagodnemi:
„Królu ostów i ludzi! zbytek w naszej biedzie,
„Do tronu twego nas wiedzie,
„Człek co z twej woli miał być naszym panem.
„Stał się nieznosnym tyranem,
„Niedość, że srogie dźwigający brzemie,
„Idziemy głowę nachyliwszy w ziemię,
„Przenosim juki bez liku,
„On chce, żebyśmy jak panicz w koczyku,
„O ciężarach zapomnieli,
„I wewał jak gdyby szaleńce lecieli,
„Gdy biedz nie możemy, na upór to składa,
„I boki kijem okłada,
„Okrutne nosim na grzbiecie już pregi,
„Jeżeli Monarchą jesteś litościwym,
„Jeżeli to w mocy jest twojej potęgi.
„Rozkaż, by dla nas człek był sprawiedliwym.
„Powiedz to słowo, może złość uśmierzy,
„*Niech lichy weźmie, kto osła uderzy*“.
„Najmilsze osty, — pierwszy w Bogów rzędzie,
Odpowie Jowisz głośno i powoli:
„Ten wasz niepośpiech, człek zawsze brać będzie
„Nie za brak siły, lecz raczej złej woli,
„A gdy tak wierzyć jest mu pożytecznie,
„Kropić was będzie batogami wiecznie;
„Są rzeczy niepodobne nawet mnie samemu,
„Losów przedwiecznych ustawa,
„Skoro kij wpadnie w ręce człekowi jakiemu,
„Zaraz przez ciężkości prawo,
„Sam przez się na grzbiet wasz spada,

„Wiem ja, że to wielka biada;
 „Ale jest popęd, pewna jakaś waga,
 „Pewna harmonia na świecie,
 „Która koniecznie wymaga,
 „Żebyście brali batogiem po grzbiecie.
 „Jednakże sprawię odmiany niektóre,
 „Na dowód, że mi ród osłów jest miły,
 „Oto tak twardą uczynię wam skórę,
 „Że razem z sobą połączone siły,
 „Ręki i kija, nie wam nie dokuczą,
 „Nieczułość waszym stanie się udziałem,
 „Nie jest to zyskiem już małym,
 „Wierciecie mi, liczne przykłady nas uczą.
 „Rozważcie jakie w tem się szczęście mieści:
 „Brać kijem w skórę i nie czuć boleści.“
 Tu Jowisz skończył, postowie weseli,
 Z radości strasznie ryknęli,
 Na ten głos ek ulubiony,
 Co Morfeusza samego ocucił,
 Zemdlął Venus, Kupid przelekniony,
 Z strachu na wznak się wywrócił.
 Niebaczne osły na te przeleknienia,
 Szerzyły hymnów swych pienia,
 Rycząc: „Jowiszu, ty panie nad pany,
 „Tak bardzo mądry, że niezrozumiany,
 „Zawsze potężny i zawsze szczęśliwy,
 „A co większa litościwy,
 „Jaki twój dowcip, jak rozum głęboki,
 „Głosić tak mądre wyroki“.

1811.

Duma o Niedźwiedziu ¹⁾.

Dosyć długo wieszczków pienia
 Kochania ludzkie głosiły,
 Jak gdyby nieme stworzenia
 Równie tkliwemi nie były.
 Mnie dziś nucić Muza wiedzie,
 Jak się kochają niedźwiedzie.

Gdy opowiem ich udatność,
 Ich grzeczne lube zaloty,
 W każdym kroku delikatność,
 W rokoszach słodkie pieczyoty,
 W nieszczęściu ciężkie rozpaczę,
 Niejedna panna zapłaczę.

W głębi lasu, między buki,
 Piękny się niedźwiedź urodził,
 Posiadał różne nauki,
 I w Smorgoniach ²⁾ do szkół chodził,
 Ślicznie Almanda tańcował,
 Mówią nawet, że walcował.

Pod tym lasem blisko Mińska,
 Kędy nasz niedźwiedź przebywał,
 Mieszkała panna Buzińska,

¹⁾ Tragiczną tą historję słyszałem wraz z wielą innemi opowiadaną przez osobę wiarygodną, mieszkającą w sąsiedztwie Smorgoń.

²⁾ Smorgoń, kwitnaca niegdys Akademia dla edukacyi szlachetnej młodzieży niedźwiedziej, z nieszczęściami czasu dziś wielce podupadła.

I on ją często widywał,
Żywo tknięty jej wdziękami,
Rozkochał się passyami.

W schyłku dnia pod chwilę szarą,
Płaszcz hiszpański na się rzucił,
I pod jej oknem z gitarą,
Nieraz tkliwie dumy nucił,
Ona w uniesieniach cała,
I wzdychała i płakała!

Czegóż nie zdoła na świecie,
Żywa chęci podobania,
Niedźwiedź pannę w samym kwiecie,
Tak ujął przez swe starania,
Iż raczyła, bez hałasu,
Przez okno uciec do lasu.

Weszli w dąb spruchły i stary,
I tam się niedźwiedź ożenił,
Nie było szczęśliwszej pary,
Mąż się w kochanka zamienił,
Wieczne śmiechy, całowania,
I piękną łapą ściskania.

Cały swą żoną zajęty,
Lub jagody niósł jej wczesne,
Lub plastr miodu z ulu wzięty,
Śliwki, gruszki, jabłka leśne,
Szczęśliwi zimą i latem,
Puszcza dla nich była światem.

Żona za dary tak liczne,
Gwoli wspólnemu życzeniu,

Powiała córeczkę śliczną,
A ojciec w małym stworzeniu
Rozrzewnion widział zdaleka
Pół niedźwiedzia, a pół człeka.

Te roskosze, te pieszczoty
Niestety! niedługo trwały,
Przyszły kłótnie i zgryzoty,
I ród zwierzęcy niestały —
Niedźwiedź co był tak miłosnym,
Stał się brutalem nieznosnym.

Smutny jej wieczór i ranek:
Czy wszedł w jamę niedźwiedź młody,
Mąż mieniać, że to kochanek,
Bił, piękne drapał jagody,
Czuła łzami rosząc łono,
Co to być bestyi żoną.

Co gniew i zazdrość burzliwa,
Wymyślić mogą cierpienia,
To zносиła nieszczęśliwa,
Wreszcie nie widząc ulżenia,
Umyśliła las porzucić,
I do ludzi nazad wrócić.

Raz gdy mąż poszedł daleko,
Ona spieszo bór przebiega,
I w wieczór stając nad rzeką,
We środku czółno postrzega,
W niem z niewodem dwa rybaki,
Łowią karpie i szupaki.

„Rybaki moje kochane,
Wola, weźcie mię do łodzi,
Miejcie litość na stroskanę,
A Bóg wam za to nagrodzi“.
Ci widząc kobietę hożą,
Na drugi ją brzeg przewożą.

Już byli mety swej blisko,
Gdy widzą z dziwnem przejęciem,
Osobliwsze widowisko,
Niedzwiedzia z małym dziecięciem;
Rykiem bór cały przeraża,
Buzińska na to nie zważa.

Cheąc zmiekczyć żonę zdradziecką,
I wnętrzności matki wzruszyć,
Pokazuje lube dziecko,
Lecz próżno śmiał sobie tuszyć,
Ona pomniąc na brutala,
Coraz się bardziej oddala.

Zwierz widząc, że żal i krzyki
Nie u okrutnej nie znaczą,
Rzucił dziecko w pośród rzeki
Sam zdjęty czarną rozpaczą,
By się i z życiem rozdzielił,
Ryknął i w łeb sobie strzelił.

1807.

Miłość zabawna.

Ta której grzeczność i słodycz i wdzięki,
Zawiera pokój małej, małej,

Pragnąc zachęcić Poetów ochotę,
Wyborny obiad daje im w sobotę,
Mówiąc: „ten jeden zakładam warunek,
Niech każdy jakiś miłości gatunek
Wziąwszy, stara się powieść wygotować,
Niedosyć zjadać, należy pracować“.
Posłuszni starzy i młodzi uczeni,
Każdy ze swoim amorkiem w kieszeni,
Każdy ze stołu kiedy zbierają wety,
Swego Kupida wystawia zalety.
Co więcej sama nawet gospodyni,
Co honory obiadu, i dowcipu czyni,
Czyta powieść swej roboty:

Wszystkie amorków wyliczając psoty,
Mówi, zbyt ciężko by któren był szczerzy,
Dowodzi, że jak dwa i dwa są cztery,
Iż kiedy każdy zwiedzie, lub osławi,
Ten z nich najlepszy, co dowcipnie bawi.
Powieść ta była tak świeża, tak miła,
Tak o swej prawdzie przekonywającą,

Że się wielu nawróciło.

Alie gromadę tem się unoszącą,

Nowy widok zastanawia,

I wszystkich w wielkie zadziwienie wprawia:
Wchodzi młodzieniec przedziwnej urody,
Z lubym uśmiechem, z spojrzaniem przyjemnym
Letki rumieniec krasił mu jagody,
A włos na czole wił się kręgiem ciemnym,
Postać, ruszenie, słowem układ cały,
Ni zbyt trwożliwy, ani nazbyt śmiały,
Nie więcej mówi jak mówić należy,
Trafny, wesoły, słowem wzór młodzieży!

Czy to zdarzenie jakie opowiada,
Każda dzień cały słuchałby go rada,
Wesoła, gdy się śmieje, kiedy smutny wzdycha,
I nie wie kiedy na twarz łza jej pada cicha.
Niedosć, że w rozmowach miły,
Świetne go w posiedzeniach talenta zdobyły.
Czyli białych klawiszów Temira dotyka,
I zacznie nucić głosem co duszę przenika,
Damis łączy swe pienia z tak wdzięcznym wyrazem
Iż się zdaje, że z taktem serca biją razem;
Pod jego lekkim pędzlem jasnych farb użycie,
Płótnu lub martwej karcie nadawało życie;
Kiedy tańczył, mniemałbyś, że Zefir skrzydlaty

Unosi się między kwiaty.
Słowem, że w świecie dawnym i dzisiejszym,
Bardzo przyjemnym i najzabawniejszym,
Damis uznany, wszędzie go szukano,

Zapraszano, wrywano,
Faworyt całej Warszawy;

I kędy go niebyło, niebyło zabawy.
Jeszcze słowo, (choć może powieścią mą znudzę)
Damis pisywał wiersze i własne i cudze,
Lecz gdy tak bawił, ci co siedząc bokiem,
Przenikłem wszystko uważali okiem,
Postrzegli, że Delfina coś jest zamyślona,
Że się częściej wznosiła wypukłość jej łona,
Że już świata nie lubi, że o nic nie bada,
I samotność z Damisem nad wszystko przekłada;
Nudzi ją niecierpliwie ciżba trzpiotów płocha,
Słowem, Delfina już kocha;

A kochając wyznaje prawdę niepojętą,
Każdemu co się zapyta,

Ze dowcip, że wesołość są tylko ponętą,
Na którą miłość się chwyta.

1808.

Moje przeznaczenie.

Wiersz naśladowany z hiszpańskiego poety Quevedo.

Kiedy los z miną srogą i ponurą
Chciał kreślić dzieje przeznaczenia mego,
Tak atramentem przepełnił swe pióro,
Iż pisząc zrobił żyda potężnego;
I to przyczyną w całym życiu było,
Że mi się nigdy w niczem nie szczęściło.
Bo chociaż skromne były me zapędy,
Wolałem prace niżeli urzędy;
Choć na wielkiego nie piałem się pana,
Anim pożałował klucza Szambelana,
Przystając na tem, bym zimna, ni głodu
Nie znał, i ujrzał byt mego narodu:
W najmniejszej rzeczy znalazłem przeszkody.
Dosyć, że kiedy wczas pięknej pogody
Wyszedłem bez płaszcza, natychmiast obłoki,
Czernią się, deszczu zlewają potoki,
Moknę do nitki; niechże mróz trzeszczący
Chwyci, ja biedny zębami dzwoniący
Idę w kierei gdzie wabi przechadzka,
Natychmiast słońce wypada z nienacka,
Tak strasznie piecze, że się pocąc duszę,
Zrzucam kiereję i powracam muszę.
Do innych idą bilety proszące
Na obiad, uczyty, herbaty tańczące,
Do mnie nie przyjdą chyba zapraszania

Na pogrzeb, albo do składki dawania;
 Lub też na sessyą kędy dla zabawy
 Są referaty, lecz żadnej potrawy;
 W nocy, straż puszcza łotry i szalbierze,
 Mnie pewnie złapie i do kozy bierze;
 Jeżeli dachówka ma kogo ugodzić,
 Czeką póki ja tam będę przechodzić;
 Skoro bezdzielny zapisze majątek,
 Wraz żona dwoje rodzi mu bliźniętek;
 Do mnie gawenda wiąże się uparty,
 Nie siądę do gry, bym nie przegrał w karty.
 Dla mnie jednego aptekarz się myli
 I często bardzo w ostatecznej chwili,
 Szle mi wyjmując z głębi swych marmurów,
 Na miejsce chin, truciznę dla szczurów;
 W podróży traktem puszczam się bezdrożnym,
 Kocha drug luby, póki nie jest możliwym.
 Skoro wywyższon, już staję się sprzecznym!
 Sam nieprzyjaciół jest tylko statecznym.
 Wolny od pychy i próżności dymów,
 Nie nabijam się z czytaniem mych rymów,
 Lecz kiedy kaza, bym czytał koniecznie
 I z dobrą miną zaczynam bezpiecznie,
 Jeszcze dziesięciu wierszy nie przeczytał,
 Wstaje gospodarz, by gości powitał:
 Drzwi nie przestają frotery otwierać,
 Ten przychodzi by kadzić, ów zmiatać, ów ścierać,
 A gdy mnóstwo tych przeszkód zebranych weseli,
 Zapominają wszyscy, że słuchać pragnęli.
 Wypiwszy wodę z cukrem wizytę mą skrącam
 I kłapiąc się po błocie do domu powracam.
 Takie to przeciwności bez rady sposobu

Ściągać mię z urodzenia będą aż do grobu,
 Bom pewien, że gdy umrę, kodeksu czereda
 Skłóci się o formalność i pogrzebać nieda,

1815.

Powódź.

Byстрыm lotem trąciwszy o karpacie góry,
 Pękły dżdżyste obłoki, a rozdarte chmury
 Lunęły powódź straszną i w raptownym pędzie,
 Rozlały się szeroko, rozlały się wszędzie.
 Zrywając wartkim nurtem z ciosu rzniete szranki.
 Gmachy, świątynie Bogów i knieciów lepianki,
 Wtenczas ja brzegów Wisły mieszkający blisko,
 Szedłem oglądać srogie, pyszne widowisko.
 Obok mnie była piękność w samym kwiecie wiosny,
 Przy niej młodzieniec hoży, dzielny i miłosny,
 Oczy ich były z litością zwrócone
 Na szczątki nurtem niesione,
 Na łodzie, młyny rozbite,
 Na lepianki słomą kryte,
 Porwane z chudobą małą,
 I gdzie jeszcze w popiołach ognisko jaśniało.
 Wtem oczy me zachwylił nad wszystkie widoki
 Pień ogromny, pień szeroki,
 Co go prędzej niż zagle, niżli szparkie wiosła,
 Powódź ta niosła:
 Już kora na nim wiekami obrana,
 I siwa tylko bieliła się piana,
 Wszystkich przedmioty inne zajmowały,
 Jam tylko patrzył na pień ów spruchniały,
 Co go bystry wart porywa,

Jakiż się pociąg, w tem drzewie ukrywa?
Pytam sam siebie, jaki urok ciemny?
Czy nie wiesz? zda się mówić głos tajemny,
Wielka jest wspólność postacią i dobą,
Między tem drzewem a tobą:
Jak te nurty nieścignione
Niosą to drzewo w morza już zbliżone,
Gdzie je pochłona na wieki
Tak bieg lat twoich kresu niedaleki,
Im mniej mety odleglejszym,
Tem w ostatniej pochyłości,
Coraz się lotem przybliży bystrzejszym
Do oceanu wieczności.

Uczta Aleksandra,

albo Władza Muzyki. Oda na cześć Św. Cecylii,
tłumaczona z angielskiego z Dryden.

I.

Było to w czasie wspaniałej biesiady,
Gdy syn Filipa wśród panów swej rady
Zajął Persów gmach ozdobny.
Bohater Bogom podobny,
Na wysokim siedział tronie:
Waleczni jego Rycerze,
W złote odziani pancerze,
Różami, myrtem uwieńczyli skronie.
Tais, przy boku rządzącego światem,
Jaśniała wdziękiem, i młodości kwiatem,
Tak zorza w ranek pogodny!
Słysząc ludu odgłos zgodny:

Szczęśliwa para, wdziękiem i urodą,
Samego mężstwa,
Samego mężstwa,
Samego mężstwa, piękność nagrodą.

CHÓR.

Szczęśliwa para wdziękiem i urodą,
Samego mężstwa,
Samego mężstwa,
Samego mężstwa, piękność nagrodą.

II.

Gdzie krążył ganek wysoki,
*Tymotej*¹⁾ przy chórów styrze,
Biegając ręką po lirze,
Stał brzmiające tony w obłoki;
Boskie głosząc uniesienia,
Od Jowisza zaczął pienia,
Jak ten w postaci ognistego węża,
(Tak miłość Bogów zwycięża)
W żądzach ku pięknej Olimpii lubieżnych,
Wił się w koło piersi śnieżnych,
Jak kiedy jasnym płomieniem zabłysnął,
W łonie śmiertelnej obraz swój wycisnął.
Wyniosłe pienie słuchaczów rozżarza,
Na omamienie niepomne,
Wołają: Bóstwo w pośród nas przytomne,
Przytomne Bóstwo, gmach cały powtarza,
Monarcha cheiwy,
Odgłos chejpliw

¹⁾ Sławny poeta, śpiewak, lutnista grecki.

Słucha, poi się rozkoszą,
A gdy go coraz pochlebstwa unoszą,
Sądzi się Niebian plemieniem,
Mniema, że głowy ruszeniem,
(O zbyt ślepy, i zuchwały)
Trzęsie świat cały.

CHÓR.

Monarcha cheiwy,
Odgłos chełpliwy,
Słucha, poi się rozkoszą,
A gdy go co raz pochlebstwa unoszą,
Sądzi się Niebian plemieniem,
Mniema, że głowy ruszeniem,
(O zbyt ślepy i zuchwały)
Trzęsie świat cały.

III.

Dalej Tymotey, dzielność Bacha śpiewa,
I weselem tchnące gody,
Zawsze piękny, zawsze młody,
W tryumfie Bachus przybywa,
Na twarzy jego rumieniec jaśnieje,
Tehnie uczciwością, przynosi nadzieje.
Raz w głośne trąby uderzy,
Znowu huk po bębnach szerzy;
Umilezcie trąby, przychodzi, przychodzi,
Zawsze piękny, zawsze młody,
Dawca szczęśliwej jagody,
Której sok, wesołość rodzi.
Szczęśliwe Bacha są dary,
Żołnierz gdy je chyli z czary,

Podwaja męztwo wśród bojów;
Szczęśliwe dary,
Gdy chyli z czary,
Zapomina Marsa znojów.

CHÓR.

Szczęśliwe Bacha są dary,
Żołnierz gdy je chyli z czary,
Podwaja męztwo wśród bojów,
Szczęśliwe dary,
Gdy chyli z czary,
Zapomina Marsa znojów.

IV.

Rycerz głośnemi uniesion okrzyki,
Znów stacza bitwy, sprawuje szyki,
Ściga Persy pierzchające;
Tymotey widząc szaleństwo rosnące,
Widząc jak się ogień żarzy,
W iskrzących oczach, w zapalonej twarzy,
Jak niebo, ziemię wyzywa!
Zmienia strój lutni, koi gniew wzniecony,
Z lekka tłumiąc drżące strony,
W serce słodką litość wlewa.
Nuci rozrzuconym głosem,
Jak Daryusz srogim losem,
Niegdyś wielki i wspaniały,
Pada, pada, z szczytu chwały,
Zbryzgany czarną posoką,
A ci, co kiedy panował szeroko,
Z hojnej jego ręki żyli,
W ostatnim razie wstydnie opuścili.

Bez przyjaciół, bez obrony,
Na twardej ziemi leży porzucony,
I kiedy ciężkim śmierć go grotom tłoczy,
Nie masz ktoby zamknąć oczy!
Smutny Monarcha z wzrokiem spuszczone,
Duma nad okropnym zgonem,
Zważa jak kolej wojowników śliską,
Jak nędza potęgi bliską;
Wzdycha, winiąc siebie skrycie,
I łzy mu płyną obficie.

CHÓR.

Smutny Monarcha z wzrokiem spuszczone,
Duma nad okropnym zgonem,
Zważa, jak kolej wojowników śliską,
Jak nędza potęgi bliską;
Wzdycha winiąc siebie skrycie,
I łzy mu ciekły obficie.

V.

Uczony wieszczek z rozkoszą poziera,
Jak gwoździ jego dusza Bohatera,
Odmiennych uczuć wystawia igrzysko,
Wie on, że litość miłości jest blisko,
Że od rozrzewnień, od politowania,
Łatwe przejście do kochania;
Zeicha słodką lutni tkniętą,
Mięczy mu serce, rozkoszy ponętą:
Śpiewał wojny, i bój krwawy
Blask zwodniczej nucił sławy,
Pychę co burzy, podbija, wywraca,
I pyszne grody w perzynę obraca,

Jezeliś umiał świat ten zawojować,
Umiej po trudach rozkoszy kosztować;
Piękna Taida z lubych wdzięków gronem,
Z czarném okiem, śnieżném łonem,
Tchnąca woniami, jasnąca w ozdobie,
Siedzi przy tobie.
Chwytaj więc dobro, co ci niebo zdarza,
Te słowa odgłos tysięczny powtarza.
W królu żądz wszystkich pożar się jednocy,
W piękną *Tais* wlepia oczy,
Uniesion przez pienia wieszczę,
Wzdycha i patrzy, patrzy i wzdycha,
Wzdycha i patrzy, i wzdycha jeszcze,
Nakoniec, gdy go miłość i wino rozgrzewa,
Na białem łonie zwycięzca omdlewa.

CHÓR.

W królu żądz wszystkich pożar się jednocy,
W piękną *Tais* wlepia oczy,
Uniesion przez pienia wieszczę,
Wzdycha i patrzy, patrzy i wzdycha,
Wzdycha i patrzy, i wzdycha jeszcze;
Nakoniec gdy go miłość i wino rozgrzewa,
Na pięknem łonie zwycięzca omdlewa.

VI.

Znów śmiałą ręką uderzaj stróny:
Uderzaj huczniemi tony,
Jak piorun co wśród grzmotów, rozdziera obłoki,
Przerwij sen jego głęboki,
Słuchaj, słuchaj na wrzask srogi,
Na odgłos mordów i trwogi;

Ocknął się Rycerz i podnosząc czoło,
 Rozmarzony patrzy w koło,
 Zemsty, zemsty, wieszczek krzeczy,
 Patrz jędze cheiwe zdobyczy,
 Lecą wpośród broni szczęku,
 Z zmijami w ręku:
 Patrz jakim ogniem wkłęste oczy błyszczą,
 Jak węże w łożach najeżonych świszczą,
 Czy widzisz hufiec wśród tej mglistej chmury,
 Co z pochodni iskrami potrząsa do góry,
 Poległych Greków są te smutne cienie,
 Oni to Perskie przestrzenie,
 Zalegli zwłoki nieopogrzebionemi,
 Słuchaj jak jęki straszniemi
 Wołają! zemsty ręką wyciągniętą,
 Na gmachy królów i błagalnie świętą
 Wskazują, ogniem by były spłonione!
 Powtarza tłuszcza rozkazy szalone.
 Król, w którym zemsta już pała straszliwa,
 Zstępuje z tronu, pochodnię porywa,
 Tais go za rękę bierze,
 Wiodąc ku srogiej ofierze,
 Wskazuje drogę w kosztowne podwoje,
 I jak druga Helena, drugą pali Troję.

CHÓR.

Król w którym zemsta już pała straszliwa,
 Zstępuje z tronu, pochodnię porywa,
 Tais go za rękę bierze,
 Wiodąc ku srogiej ofierze,
 Wskazuje drogę w kosztowne podwoje,
 I jak druga Helena, drugą pali Troję.

VII.

A tak nim wieków minęły tysiące,
 Nim się jęły nadymać miechy podnoszące,
 Kiedy organ mileżał jeszcze,
 Tymotey przez rymy wieszczę,
 Słodkiego fletu nadęciem,
 Albo srebrnej lutni tknięciem,
 Wiedział jak duszę podnosić, rozżalać,
 Mięczyć litością, lub gniewem zapalać.
 Nakoniec Boskiem natchnięciem przejęta,
 Przyszła Cecylja święta,
 I ciasne głosu rozwiódła granice.
 Patrzaj na piękną dziewicę,
 Jak z licem gładkim, z lekka zapłonionym,
 Z wzrokiem do Nieba wzniesionym,
 Gdy białą ręką przyciska klawisze,
 Szerzy pienia nieznane, lub poważne cisze;
 Niech więc z sztuką dawnych wieków,
 Ustępuje wieszczek Greków,
 Rym jego tłumna powtarzała wrzawa,
 Ona chóry Aniołów rozkoszą napawa.

CHÓR WIELKI.

Nakoniec Boskiem natchnięciem przejęta,
 Przyszła Cecylja święta,
 I ciasne głosu rozwiódła granice,
 Patrzaj na piękną dziewicę,
 Jak z licem gładkim, z lekka zapłonionym,
 Z wzrokiem do nieba wzniesionym,
 Gdy białą ręką przyciska klawisze,
 Szerzy pienia nieznane, lub poważne cisze;

Niech więc z sztuką dawnych wieków,
Ustępuje wieszczek Greków,
Rym jego tłumna powtarzała wrzawa,
Ona chóry Anielskie rozkoszą napawa.

Zakonnik.

(Naśl. z angielskiego).

Z schyloném czołem, z paciorkami w dłoni,
Mówiąc różaniec już w wieczornej dobie,
Spotkał zakonnik wśród ganków ustroni,

Młodą dziewczynę w żałobie.

„Powiedz mi ojcze, pyta się dziewczyna,
Czyś w twych przechadzkach z poranka,
W kościele, lub gdzie ten las się zaczyna,

Nie spotkał mego kochanka?”

„Jeżlim go spotkał? — lube moje dziecię,
Odpowie kapłan pobożny,
Ja prócz klasztoru nie nie znam na świecie,

Jak ten tu cmentarz narozny.”

„Łatwo go poznać po tym wzroście szczytnym,
Po włosach co mu w pierścienie spadają,
Po długich rzęsach, co oczom błękitnym

Lubej słodczy dodają.”

„Już on nie żyje dziewico strapiiona,
Rzekł kapłan cichemi słowy,
Na głowie jego leży darń zielona,

A u nóg kamień polowy.

„W tych murach kędy miłosierdzia syny,
Dają cierpiącym przytułek i leki,
Długo na srogosć jakiejściś dziewczyny,

Skarząc się usnął na wieki.

„Na ciężkich marach sześć smutnej młodzieży,
Wynióstsz trumnę, w tę ziemię włożyło
I tę mogiłę gdzie nieszczęsny leży,

Rzewnemi łzami zrosiło.”

„Już więc nie żyjesz! coś mi był tak drogim,
Już cię twa luba więcej nie zobaczy,
Czemuż me serce zdjęte żalem srogim,

Nie skamienieje z rozpacz.”

„Nie płacz o panno, ach nie płacz tak rzewnie,
Niebo twą boleść ośłodzi,

Wstrzymaj te łkania, zaręczam cię pewnie,

Inny twą stratę nagrodzi.”

„Ach nie mów tego, bądź mi litościwym,
Najpiękniejszemu młodzieńca straciła,
On był tak dobrym i tak dla mnie tkliwym,

A jam tak srogą mu była.”

„Przestań narzekać na niezmiennie losy,
Łzy cię twoje nie pocieszą,

Obfite krople choć najświeższej rosy,

Zeschłych fijołków nie wskrzeszą.”

„Jak sen skrzydlaty, radość ulatuje,
Bądźcież nas smutku zawsze tłoczyć brzemie,
Kto się raz w niebie z świętymi znajduje,

Już nie powraca na ziemię.”

„On umarł dla mnie, jam w ostatniej dobie,
Nie zamknęła mu powieki,
On był bezemnie złożony w tym grobie,

By w nim spoczywał na wieki.”

„Przestań, nie zlewaj jagód łzami twemi,
Mężczyźni w chuciach swych sprzeczni,
Stopą na morzu, a drugą na ziemi,

Nigdy w nieczem niestateczni.

Gdybyś kochała, on złudzon nowością,
 Możeby ciebie porzucił,
 I bardziej jeszcze swoją niestałością,
 Niżeli śmiercią zasmucił.“
 „Ach nie mów tego ze łzami zaklinam;
 Był on zawsze dla mnie wiernym;
 Dziś jego wszystkie enoty przypominam;
 Tak jest, był dobrym, był wiernym,
 Tyś dla mnie umarł, najdroższy z młodzieży,
 Po cóż się dręczysz już zwłoką.
 Żegnam cię matko, w pielgrzymą odzieży,
 Pójdę na puszcę głęboką.
 Lecz wprzód nim pójdę, albo nieszczęśliwa,
 Wieczny spoczynek odzyskam,
 Niech darń co mego kochanka pokrywa,
 Raz jeszcze jeden uściskam.“
 „Zostań w przysionku, kapłan upomina,
 Patrz jaki wieher od północy wieje,
 Jak ten płot ścierniów i jodły ugina,
 Jaki deszcz okropny leje.“
 „Puść mię, ten łoskot srogiej nawałnicy,
 Ta czarna chmura co nieszczęściem wróży,
 Ten wiatr co tłucze okna tej świątnicy,
 Nie wstrzyma mojej podróży.“
 Tu kapłan woła: „o piękna dziewico,
 Jak lilja łzami, skropiona poranka,
 Pod tą odzieżą, pod tą włosiennicą,
 Poznawaj twego kochanka.
 Twoje to dla mnie obejście okrutne,
 Skryć się każały gdzie się rozpacz kryje,
 Czekać aż zegar kończąc życie smutne,
 Godzinę śmierci wybije.

Jeszcze nie święcon..., gdy wrócona strata,
 Do ciebie jednej wybierać,
 Czyli wraz z tobą mam wrócić do świata,
 Czy w tych tu murach umierać.“
 „Wracaj! o Boże! stokroć bądź wielbionym,
 Strapione serce jeszcześ rozweselił,
 O mój ty luby potęś mi wróconym,
 Byś się już zemną nie dzielił.“

Sen Marysi.

Już księżyc krążył po lazurach czystych,
 Blask jego nad wód strumieniem
 Na ciemnych liściach buków rozłożystych,
 Łagodnym migał promieniem.
 Marysia we śnie widzi Stasia swego,
 Jak gdyby tam był przytomnie,
 I słyszy głos ten z morza dalekiego:
 „Marysiu, nie płacz już po mnie.“
 Zrywa się, pyta, kto zuchwałym krokiem
 Chodzi tutaj nocną dobą,
 Aż z błądą twarzą, z wklęsłym w lieu okiem,
 Postrzega Stasia przed sobą.
 „O luba moja! już to zimne ciało,
 Stos piasku przykrył ogromnie,
 Głębokie morze sen mi wieczny dało,
 Marysiu, nie płacz już po mnie.
 „Przez trzy dni burza z wściekłością straszliwą
 Wznosi się w spienionych ścianach,

Pograża z trzaskiem nawę nieszczęśliwą
W bezdennej głębi bałwanach.

Lecz i w tej chwili myślałem o tobie,
Ginący światu niepomnie,

Ustała burza, spoczynek mój w grobie,
Marysiu, nie płacz już po mnie.

„I ty dokonczysz wkrótce dni twych biegu,
Jak anioł ubraną w bieli

Ujrzę cię wkrótce na szczęśliwym brzegu,
Tam już nie nas nie rozdzieli“....

Tu kogut zapiał, zniknęło widzenie,
Głos się dał usłyszyć skromnie

A raczej ciche, słodkie poszeptanie:

„Marysiu, nie płacz już po mnie.“

Malwina.

(Z angielskiego).

O samym świecie, przez bojaźni wieczne,

Malwina ze snu się zrywa,

„Ach! gdzież mój Henryk, czy mię kocha jeszcze,
Czyliż już w grobie spoczywa?

„Z Poniatowskiego pułkami bitnemi,

Poszedł on na krwawą wojnę,

Niepocieszona wieściami żadnemi,

Pędzę chwile niespokojne.“

Ledwie wyrzekła, huk kotłów, trąb wrzawa,

Powrót hufców zapowiada,

Każdy przed domem rodzicielskim stawa,

I skrwawiony pancerz składa.

Patrzy z przejęciem rycerstwo znużone

Na lube swoje ogniska,

Ten swą kochankę, a ów wita żonę,

Lecz nikt Malwiny nie ściska.

Ta z płaczem woła: „powiedzcie, o Boże!

Kędy się Henryk mój kryje.“

Lecz nikt nieszczęsnej powiedzieć nie może,

Czy rycerz poległ, czy żyje.

Ostatni szereg już przeszedł ulice,

Napróżno Malwina bada,

Wtenczas w rozpacz, błada szarpie lice,

I martwa na ziemię pada.

Nieszczęsna matka na pomoc jej bieży,

Podnosi, tuli do łona,

„Ach! córko rzecze, córko ulubiona,

Zaufaj: Bóg cię pocieszy.“

„O matko! matko! próżno mię cieszyćcie,

Niema litości już w niebie,

Tylu rycerzy zachowało życie,

Mój jeden zginął w potrzebie.“

„Uklękni córko, niech gorące modły

Rozpedzą czarne widoki,

Jeśli cię twoje nadzieje zawiodły,

Przedwieczne szanuj wyroki.“

„Ach! matko moja, długom się modliła,

Nieba na prośby me głuche,

Ostatnia klęska dla mnie się spełniła,

Mogę mieć jaką otuchę?“

„O córko moja, mów zwykłe pacierze,
Idź do spowiedzi czempredzej,
Weź Ciało Pańskie, a ufność twa w wierze,
Ulży ciężar twojej nędzy.“

„Próżne modlitwy, w ciężkiej mej załobie
Nie strapien moich nie skróci,
Żaden sakrament, tych co legli w grobie
Do życia nazad nie wróci.

„Obce by może bóstwo to sprawiło,
Nasz Bóg słuchać nas nie raczy,
Kochanka mego już przykrył mogiłą,
A mnie zostawił w rozpacz.

„Gaśnij o lampo mojego żywota,
Ostatnim blada płomieniem,
Słyszę w zegarze dźwięk ciężkiego młota,
Śmierci, okryj mię twym cieniem.“

„Przedwieczny Boże! nad biednym dziećciem,
Powściągnij wyrok twój ściśły.
Nie wie, co mówi.... załosnem przejęciem
Obłąkały się jej zmysły.

„Córko nie gniewaj niebios skargi twemi,
Cóż jest to ziemskie strapienie,
Myśl o wieczności, i modły czystymi,
Ublągaj duszy zbawienie.“

„Cóż jest zbawienie, odezwie się z krzykiem,
I z postacią prawie wściekłą,
Wszędzie jest dla mnie niebo z mym Henrykiem,
Bez niego wszędy jest piekło.

„Zgaśnij o lampo mojego żywota,
Chłońcie mię przepaści wieczne,
Już dla mnie szczęścia zamknęły się wrota,
Nieznosnem światło słoneczne.“

Tak czarna rozpacz gdy mieszka w jej łonie,
I krew spiekłą w żyłach ścina,
Drżącemi wargi tysiąc bluznierstw zionie,
Samego Boga przeklina.

Od świtu zorzy, aż gdy dzień się mroczy,
Raz mileząc siedzi, znów wstaje,
Skrwawionem okiem naokoło toczy,
I straszne jęki wydaje.

Alić raz w ciemnej nocy słyszy blada,
Tentent końskiego kopyta,
Słyszy, jak z traskiem zbroi rycerz zsiada,
Wchodzi na schody i pyta.

Słyszy jak ręką już kłamekę podnosi,
Chce otwierać drzwi zamknięte,
Strach ją przejmując, pot czoło jej rosi,
I mowa ustom odjęta.

„Wstawaj Malwino, otwórz drzwi zawarte,
Głos się podziemny odzywa,
Twój luby zmógłszy przeszkody uparte,
Po ciebie dzisiaj przybywa.“

„Ach! czemuż rzecze, w tej tak późnej dobie,
Zkądże przybywasz mój luby,
Ileż łez gorzkich wylałam po tobie,
Pewna prawie twojej zguby.“

„Zdaleka spieszę, ile koń miał mocy,
Przez łądy, mórz przepaść ciemną,
Jechać nam tylko wolno o północy,
Więc wstawaj, i siadaj ze mną.“

„Czekaj w ogrodzie, aż nam dzień zabłyśnie,
Daj wprzód uściśnienie jedno,
Słyszysz jak wicher, po tych cierniach świszeży,
Chcesz że zabierać mię biedną?“

„Choć wicher świszeży, ja czekać nie mogę,
Wstań w jakiej jesteś odzieży,
Na mil tysiące długą mamy drogę,
Lecz mój biegun szybko bieży.“

„Słuchaj zegaru uderzenie drżące,
Już dwunasta nie daleka,
Jakże uciekać mil możem tysiące,
Nie jest to w sile człowieka.“

„Patrz jak się księżyc odbija o wodę,
Bieg nasz nad pojęcie rączy,
Do małżeńskiego łoża cię zawiodę,
A wtenczas noc się zakończy.“

„A gdzież jest dom twój, i mieszkanie własne,
Gdzież się twoje łożo ukrywa?“
„Łoże me ciemne i zimne i ciasne,
Na nim ma głowa spoczywa.“

„Będzie tam dla mnie, powiedz miejsce jakie,
Gdy tak ciasne twoje podwoje?“
„Będzie, ach porzuć bojaźni wszelakie,
Pomieścimy się oboje.“

„Tylko co prędzej przybądź na me łono,
Nie baw mię dłuższym oporem,
Zebranych gości czeka na mnie grono,
I drzwi już stoją otworem.“

Jak była nocną odzieżą okryta,
Z tyłu na konia usiada,
I śnieżną dłonią wpół kochanka chwyta,
I twarz mu na ramię składa.

Już leci rycerz mgłą szarą okryty,
Parska głośno rumak skory,
W skalistych szlakach porwany kopyty,
Zwir twardy leci do góry.

„Lecz gdzież mię wiedziesz przez powietrza płynne,
Rzecz mu oblubienica,
Inny świat widzę, nieba nawet inne,
Inaczej księżyc przyswięca.“

„Nie bój się rzecze: te wiatry świszczące,
Te smutne wszędzie ruiny,
Te w białych runach chmury latające,
Są to umarłych krainy.“

Migają w oczach doliny i bory,
I wzniesione grody z ciosów,
Żelaznych mostów trzęsą się podpory,
Lecz nie słychać ludzkich głosów.

Słyszeli tylko kruków latających,
Głuche skrzydeł uderzenia,
I bicie dzwonów żałobnie jęczących,
I posępne psalmów pienia.

Patrz, aż mary niosą tłumy ciemne,
Pówoli w szykach parzystych,
A ich modlitwy, nucenia podziemne,
Jak mruk gadów wód bagnistych.

Zawoła rycerz, gdy północ na niebie:
„Porwijcie ciało jej śmieie,
Pojąłem żonę wiozę ją do siebie,
Niech się zaczyna wesele.

„Zbliż się kapłanie, podnieś ręce dzielne,
Pobłogosław stado hoże,
Wy chóry, pienia zanućcie weselne,
Mażeńskie czeka nas łoże.“

Na słowa jego szum straszny powstaje,
I mary z oczu znikają,
Jak kiedy wichrem poruszone gaje,
Z szelestem cienie latają.

Już leci poczet okiem nieścigniony,
Przez smutne pustyń siedliska,
Poryża głośno biegun rozpędzony,
Tu i owdzie pianę przyska.

Znikają z oczu, góry i doliny,
I lasy i smutne grody,
A jeźdźcy ciche bezludne krainy,
Lotnemi mierzą zawody.

Raz koń kopytem bruk twardy tratuje,
Znów się pławi w morzach słonych,
Drży biedne serce.... a oddech tamuje,
Bojaźń w piersiach przeleknionych.

Patrz, patrz, jak chmary nadpowietrznych cieni,
Nad ich się głowy unoszą,
Z szumem, jak liście gdy w późnej jesieni,
W padolach wiatry rozproszą.

Pędzą: on śmiało, a ona ze drżeniem,
Na niebie gwiazdy im świecą,
Z każdym podkowy w ziemię uderzeniem,
Ostre iskry w górę lecą.

Pędzą nieścigli, lotem błyskawicy,
Już się przez gęstwę przedarli,
„Nie bój się rzecze mąż oblubienicy,
Tak zwykli jeździć umarli.“

Już czujny kogut niedługo zapieje,
Klepsydra na dół schylona,
Czują jak wonnie ranny chłodek wieje,
Wraz zsiądziesz, podróż skończona.“

Wnet bramę widzą w kształtach niewyraźnych,
Mąż znak daje bicza klaskiem,
Jękły podwoje w wrzeczach żelaznych,
I otworzyły się z trzaskiem.

Wjeżdżają w cmentarz z mogiły licznymi,
Gdzie nigdzie napis zatarty,
A nad krzyżami w ziemię schylonemi,
Świecił księżyc rozpostarty.

Zsiadł rycerz z konia... „Już w tej, rzecze, dobie,
Kończą się nasze mozoły“,
Tu czarna zbroja, co nosił na sobie,
Rozsypała się w popioły.

Wraz głowa w nagą czaszkę się zamienia,

Oczy i włosy wypadły,

Sterczące zebra i suche golenia,

Stawia samokost wybladły.

Od zwiędłej pięty ostroga zlatuje,

A trup cały już kościsty,

W jednej z rąk kość płytką ukazuje,

A w drugiej zegar piaseczysty.

Już i koń w ogniach, postać swą wyziewa,

Koń, co lube nosił brzemie,

A gdy się słoni, Malwina omdlewa,

I z siodła spływa na ziemię.

Wtem wrzask okropny, i podziemne wycia,

Przebiegły smutną dolinę,

Czuje Malwina nieszczęsnego życia,

Zbliżającą się godzinę.

Natenczas duchy, i cienie płaczliwe,

Wznosząc się w powietrza mgliste,

Dają nieszczęsnej przez głosy straszliwe

Upomnienie uroczyste:

„Wyrokom nieba, nie bluźnij zuchwało,

Chociaż twe serce zakrwawi,

Dziś Bóg surowy w proch zwróci twe ciało,

Lecz litośny duszę zbawi.“

Cień Eweliny.

Było to blisko tej szarej godziny,

Gdzie noc z porankiem się styka,

Kiedy cień blady pięknej Eweliny,

Stał przy tożu Henryka.

Twarz jej posepna, jak ów dzień mroźny

Gdy go gęsta mgła zasłoni,

Śmiertelną odzież schodzącą od głowy,

Trzymała w zeschłej już dłoni.

Taż będzie postać, najpiękniejszej twarzy,

Gdy ją ugodzi ciężkie śmierci ramię,

Taż będzie odzież potężnych mocarzy,

Gdy ich berła śmierć połamie.

Lice jej niegdyś jak kwiat co pod cieniem,

Płoniąc się czystą łzę jutrzeńki pije,

Usta, jak róża, gdy słońca promieniem

Pierwszy swój pączek rozwije.

Lecz miłość, jak ów w kwiecie robak zjadły,

Stoczyła wdzięki w samej życia wiosnie,

Zbladła ta róża, liście jej opadły,

Trawa na grobie jej rośnie.

„Obudź się woła, kochanka cię wzywa,

Przyszła do ciebie z umarłych mieszkania,

Obudź się, krótka godzina upływa,

Już jest blisko do świtania.

„Te, to są straszne chwile pozwolone,

Gdzie z swoich grobów umarli powstają,

Kiedy ich cienie w życiu obrażone,

Niewiernych swemi skargami ścigają.

„Przypomnij sobie twe mowy zwodnicze,

„Twoje przysięgi, twoje zaręczenia;

Powróć mi nazad me śluby dziewieze,
Wróć światło niebios promienia.

„Czemuś me serce miłością zapalał,
A potem szczęścia, pokoju, pozbawił,
Czemużes piękność oczu mych wychwalał,
A potem we łzach te oczy zostawił.

„Mówiłeś, zem ja świeżą jak malina,
Zem wdzięczną jak róża była,
Czemużem prosta, nieszczęsna dziewczyna,
Pochlebstwom twoim wierzyła.

„Niestety! jużem nie piękną w tej dobie,
Szkarłatne niegdyś moje usta zbladły,
Czarne me oczy zgasły w ciemnym grobie,
Jak liście z kwiatu wdzięki me opadły.

„Ciało me robak toczyć nie przestanie,
Śmiertelne płótno kryje mię do koła,
Zimne i długie jest umarłych spanie,
Aż w dniu ostatnim trąba ich zawoła.

„Słuchaj, już kogut głośno się odzywa,
Pójdź; jasna zorza już wschodzi na niebie,
Zobacz jak w ziemi głęboko spoczywa
Ta, co, umarła dla ciebie.”

Skowronek w górze już wesoło nucił,
Słońce błyszczało na świątyni wieży,
Gdy drżący Henryk łoże swe porzucił,
I śpieszył kędy Ewelina leży.

Po prawej ręce małego kościoła,
Zwłoki jej skromna mogiła zawiera,

Potrzykroć Henryk Eweliny woła,
Woła ze łzami, pada i umiera.

Po lewej ręce, przy tymże kościele,
Pomni na cnoty, niepamiętni winy,
Ciało młodzieńca wierni przyjaciele,
Pokryli trochę darniny.

Śnieg je okrywał, lecz gdy znikły szrony,
I przyszła wiosna po zimie zbyt długiej,
Gdzie dwie mogiły ujrzał lud zdziwiony,
Na jednej różę, cierń ostry na drugiej.

Rosły te krzewy cieniąc ściany całe,
A gdy już nad szczyt kościoła się wzbili,
Kwiaty swe, liście i gałązki małe,
W jednym łęku połączyły.

Zamek Jazłowiecki.

Minęła burza, deszcz gęsty ustawał,
Jak słaby odłós kończącej się bitwy,
Grzmot się mdlejącym hukiem słyszeć dawał,
Ciemne obłoki, lotnemi gonitwy
Znikły, a słońca wieczornego siły,
Ognistym ponsem horyzont okryły.

Właściem się zbliżał pod zamek wyniosły,
Na szczycie przykrej skały postawiony,
Gęste go bluszcze wokoło obrosty,
Strzaskane baszty, i mur wyszczerbiony.
Mostu i bramy łańcuchów żelaznych
Już tylko szczątki w znakach niewyraźnych.

Ileż lat, ileż wieków niezliczonych,
Nad temi gmachy szparko uleciało,
Ileż nad niemi przeszło burz szalonych,
Ileż się krwawych tu walek staczało.
Niemasz mieszkańca w tych gruzach odbiegłych,
Niema i prochów rycerzy poległych.

Kiedym tak dumał z żalosnem przejęciem,
Postrzegłem starca sędziwej urody,
Kłęczał na głazie, wietrzyk lekkim wzdęciem,
Kędziory siwej podnosił mu brody,
W rękę paciorki, z czołem nachylonem
Modlił się Bogu głosem przytłumionym.

Gdy wstał, ja rzekłem: „ojcze mój sędziwy!
Jakież w tych miejscach okropne zburzenie!“
On na to, długie przerwawszy milczenie:
„Wszystko to sprawił, gniew Boga straszliwy.
Powiemé, com słyszał od mojego dziada,
Co dziad mój słyszał od swego pradziada.

„Niejeden temu wiek pewnie ominął,
Jak w tym tu zamku, gdzie te sterczą ściany,
Za Władysława co pod Warną zginął,
Żył Jazłowiecki rycerz zawołany;
Nikt mu nie sprostął, z bułatem skrwawionem,
Pędził Tatary, za Dniestrem i Donem.

„Ileż kroć w tych tu dziedzińcach, podwojach,
I trąb i kotłów odgłos się rozlegał,
Gdy w świetnych hełmach, i złocistych zbrojach,
Tłum dziarskiej młodzi, przez szranki przebiegał;
A tocząc koniem z zwinnymi obroty,
O twarde tarcze ostre kruszył groty.

„Bodajby nigdy Jazłowiecki śmiały
Nie znał był innych gonitw i zabawy,
Lecz młody, dumny, rozwieźły, zuchwały,
Boskie i ludzkie pogwałcił ustawy,
Z zapędem ślepym i niepowściągnionym,
Rzucił wódze swym chuciom szalonym.

„Nigdy tu słodkie nie powstały cisie,
Brzmiała muzyka po ogromnej sali,
Rozwieźli rozkosz jego towarzysze,
Ogromne wina puhary spełniali,
W wieczór tysiączne światła gorejące,
I znów biesiady, i bluźnierstw tysiące.

„Nieraz wśród płaczu, na matki swej łonie,
Porwane były dziewice jej hoże,
Nieraz mąż ginie w żony swej obronie,
I ginąc widzi splamione swe łóżce,
Kędy najeźdnik obrócił swe kroki
Siał wszędy postrach, żal wzbudzał głęboki.

„Jazłowiec wtenczas był grodem zamożnem,
Lud go ormiański ozdobił wspaniale,
Lecz ciśnion męża obejściem bezbożnem,
Niósł do biskupa ciężkie swoje zale.
Zapłakał pasterz nad ludem znękanem,
Bo był swej trzody ojcem i kapłanem.

„Otoczon świetnem duchowieństwa gronem,
Idzie na zamek i przed władcą stawa,
Wyrzuca głosem zniewagą wzruszonem,
Przykazań pańskich znieważone prawa.
„Popraw się rzeczce, zbrodniarzu bezczelny,
Pomnij na wieczność, pomnij żeś śmiertelny.“

„Na słowa jego, zuchwalec zawzięty,
Zzyma się, zionie obelgi zelżywe,
Bez względu na wiek i na urząd święty,
Bezbożną ręką targa włosy siwe,
I z szczytu schodów, gdy się starzec chwieje,
Zrzuca go.... kapłan upada i mdleje.

„Lecz go podnosi Ten co mieszka w niebie,
Powraca Biskup wśród spizów dźwięku,
Kapłańskie szaty odziewa na siebie,
Z mitrą na skroniach, z pastorałem w rękę,
Z tłumem pospólstwa, z duchowieństwem całym,
Idzie i stawia przed zamkiem wspinałem.

„Już wieczór: płomień rozdętych pochodni,
Roztrąca światło o posępne mury,
Tu kapłan ręce podniósłszy do góry:
„O ty, zawołał, co przez tyle zbrodni,
„Stoisz uparcie na bezbożnych drogach,
„Ja ciebie jeszcze upomnieć przychodzę.

„Ja ci mą ciężką obelgę daruję,
„Ale dziewica, żona nieszczęśliwa,
„Mąż co go w turmie srogość twa katuje,
„Wszystko na ciebie pomsty nieba wzywa,
„Postrzeż się albo wszechwładcy imieniem,
„Przeklętym będziesz z całym twym plemieniem.

„Ledwie rzekł, niebo odzywa się grzmotem,
Jak gdyby godło przekleństw wyrzeczonych,
Wśród wichrów, piorun z okropnym łoskotem,
Uderza wśrodek szczytów wyniesionych,
Lud strachem zdjęty przed Bogiem się koi,
Sam Jazłowiecki niewzruszony stoi.

„Tu żona święta cnotą i modłami,
Patrzac jakim się mąż gniewem zajmował,
Padła mu do nóg, i błaga ze łzami,
By pomazańca Boskiego szanował,
Lecz wściekły, zbrojną prawicę podnosi,
Odpycha z wzdargą tę, co z płaczem prosi.

„Z zranionem sercem, nieszczęsna matrona,
Podnosi w niebo żałosne źrenice,
Ciężką swą rozpacz tuli w głębi łona,
Łza cicha spada na śnieżne jej lice,
Odechodzi smętna, i z oczu mu ginie
Jak cień, kiedy się w światłości rozplynie.

„Lecz i tam, serce rycerza nie zgięte,
Chee mówić... już lud i kapłan strwożony,
Z krzyżem przed sobą, hymny nucąc święte,
Zniknęły z oczu, w inne uszły strony,
Gdzie żyły krocie, gdzie gmachy wyniosłe,
Cichość i ścieżki chwastami zarosłe.

„Wszystko się czarną okryło żałobą,
Od winowajcy świat cały unika,
Postrzegł człek dumny gniew Boski nad sobą,
A gdy go żałość już późna przenika,
Rzuca Jazłowiec, idzie na pustynię,
I tam w zgryzotach i rozpaczach ginie.

„Niedosyć na tem, zostawił po sobie,
Małego synka, nadzieję jedyną.
Z tym kiedy nianka w nadwieczornej dobie,
Idzie na wieżę piastując dziecinę,
Nieznana siłą czuje się trąconą,
I puszcza dziecę w przepaść niezgłębioną.

„I sama z żalu rzuca się w pieczary,
Ani ich potem ujrano popiołów,
Lecz Bóg przestępnym, chcąc dać przykład kary,
Przyjął dziecinę w liczbę swych aniołów,
Jawić się ludziom dał mu udział boski,
Strzedz ich w przygodach, i pocieszać troski.

„Jakoż dotychczas ten gród opuszczony,
Luba dziecina odwiedzać przychodzi,
Czy burza zniszczyć ma rolnika plony,
Czy trwoga padnie okropnej powodzi,
Małeńka dusza wraz się ukazuje,
Daje przestrogi, pomaga, ratuje.

„Nieraz gdy matce zastąbnieje dziecko,
Mały aniołek natychmiast przybywa,
Woń słodka jego oznajmia przybycie,
A jasne światło skronie mu okrywa;
Słodkiem nuceniem przerywając ciszę,
Białą swą rączką dziecinę kołysze.

„A jeśli Boskie żądają wyroki,
By się dni dziecka zbyt wczesnie przerwały,
Widziano nieraz jak ów anioł mały
Niosąc je z sobą wzbijał się w obłoki,
Z schylonem czołem przed Wszechmocnym stawał,
I dziecę w poczet Cherubów oddawał.

„Tak zbrodnie ojca, syn błogosławiony
Swojem u niebios nagradza wstawieniem.“
Tu skończył starzec głęboko wzruszony;
Ja, com go słuchał z tkliwym rozrzewnieniem,
Jak rzecz w ojczystej wydarzoną ziemi,
Skreśliłem starca wyrazy własnémi.

Bądź zdrowa.

Lord Byron do żony.

Bądź zdrowa... a choć i na życie całe,
I tak bądź zdrowa; przyjm me pożegnanie,
Acz mówią, że me serce skamieniałe,
Jednak przeciwko tobie nie powstanie.

Umkniesz się pierś ta od ciebie na wieki,
Na któreś nieraz głowę twą składała,
Kiedy sen lekki sklejał twe powieki,
Ten sen, coś go już dzisiaj postradała?

Serce me jeszcze kocha ciebie rzewnie,
Ach! gdybyć jego tajniki odkryło,
Nieszczęsna! wtenczas poznałabyś pewnie
Że tak niem gardzić słusnością nie było.

Chociaż cię za to wystawia świat cały,
I z mąk się moich naśmiewa,
Krzywdą dla ciebie, jest rodzaj tej chwały,
Kiedy z mych nieszczęść wypływa.

Niejedne może wady mię splamiły,
Lecz czemuż inne dłoń nie wybrana,
Ale te, co mię do serca tuliły,
By tę krwawą zadać ranę.

Niechaj cię, niechaj nie zwodzi błąd mylny,
Stopniami miłość omdlewa,
Przeć ją razem, choćby cios był silny,
Niechaj nikt się nie spodziewa.

Iskra jej jeszcze w twojem sercu tleje,
I moje bije choć znużone próbą,

A myśl okropna, na którą truchleję,
Jest.... że się więcej nie spotkamy z sobą.

Sroższe te słowa, drżące bez ustanku
Niż kir śmiertelny, na ciele zdrętwiałem,
Oboje w życiu... a każdego ranku,
Budzić się będziem w łożu owdowiałem.

Gdy na twym ręku, córka nasza mała,
Szczebiotać zaczniesz: będziesz że ją uczyć,
By słowo: ojeze, pierwsze wymawiała?
Kiedy się wzdrygasz ojcu jej poruczyć.

Kiedy ci rączki na szyję zarzuci,
I usta swoje do twoich przyeśnisie,
Może się słodko myśl twoja zasmuci,
I pamięć męża nieszczęsnego błysnie.

Cóż kiedy twarzą ta dziecina biedna,
Przypomni tego, co był lubym wprzód;
Zadrży twe serce, łza może niejedna,
Zrosi twe śnieżne jagody.

Znane są tobie ciężkie moje wady,
Lecz szaleństw moich nikt nie może wiedzieć,
Nadzieje moje pójdą w twoje ślady,
Lecz kędy?... kędy? ty możesz powiedzieć.

Niedola wszystkie uczucia me zraniła,
Pycha niezgięta przed zawistnych gwarem
Padła przed tobą... lecz gdyś mną wzgardziła,
Życie już tylko ciężarem.

Stało się, chciałaś, dalsza mowa próżna,
Próżne słowa w mej niedoli;

Lecz myśli których ujarzmić nie można,
Cisną się pomimo woli.

Zegnam cię smętne przeszedłszy koleje,
Gdy wiecznie z tobą przyszło się rozłączyć,
Zeszło me serce, zwiedły me nadzieje.
A śmierć się wzdryga męki mej dokończyć.

Okropna puszcza.

(Z ruskiego).

Bracia! któż dotąd, choćby nie znał trwogi,
W ten las okropny śmiał wkroczyć,
Ni sęp żarłoczny, ani orzeł srogi,
Nie wąż się nad nim toczyć.

Przecież o bracia, w tym cienistym borze,
Jest środkiem gościniec znaczny,
Młodzieniec świeższy nad poranne zorze,
Śmiał się tam zbliżyć niebaczny.

Było to właśnie, gdy złotym promieniem,
Z wód czystych słońce wschodziło,
A kiedy błady księżyc wstał ze drzeniem,
Niestety! już go nie było.

Patrzcie przy źródle, w tej krzaków gęstwinie,
Nieszczęsny leży zabity,
Z zranionej głowy czarna krew mu płynie,
Przez serce, strzałą przeszyty.

Pościelą jego jest trzcina wodnista,
Na łożu głowa spoczywa,

Przykryciem jego, noc jesienna mglista,
Zimna, cierpka i burzliwa.

Tam gdzie młodzieńca leży martwe ciało,
Trzy jaskółki przyleciało,
Pierwsza na głowie, druga gdzie pierś zbladła,
Trzecia na nogach usiadła.

Pierwsza jaskółka była matka tkliwa,
Druga siostra ulubiona,
Trzecia co smutna na nogach spoczywa,
Nieszczęsnego młoda żona.

Te, martwe ciało, wziąwszy dziobki swemi,
Szparkim je lotem zaniósł,
Na zamek co go z baszty wysokimi,
Już dzikie bluszcze obrośli.

Łzy matki były jak rzeka wezbrana,
Łzy siostry, jak zdroje czyste,
Łzy żony były, jak gdy rosa z rana,
Pada na kwiaty barwiste.

Ale czas rzekę wrócił w dawne łoża,
Toż się stało i z strumieniem,
I łzy jutrenki co spadły na różę,
Osuszył Zefir swem tchnieniem.

M o ł o d e c.

(Z ruskiego).

Już mgła na morskiej opadła powodzi,
Już żalność padła w serce wojownika,
Z sinego morza mgła szara nie schodzi,

Ni żalność z serca młodca nie znika.
Nie jest to gwiazda, co błyszczy na łące,
Lecz jakieś światło zwodne latające.
Tam niedaleko był wojłok rozwarty,
Na nim leży Młodiec na ręku oparty,
Śmiertelną ranę w piersiach odniesioną,
Przyciska chustką skrwawioną,
Przy nim koń stoi, dzielne Donu plemię,
Ostrem kopytem, mokrą zrywa ziemię.

I tak, (jak powieść niesie),
Czyli sam mówi, czy mówić zdaje się:
„Wstań mój Młodcu, wstań mój dobry Panie,
„Nie daj się dłużej broczyć twojej ranie,
„Chwyć się za grzywę mą długą,
„Usiądź na wiernego sługę,
„On cię zaniesie w dom twój ulubiony,
„Do twej matki, do dzieci, do twej pięknej żony.“

Na te słowa Młodiec łzami twarz swą rosi,
Pierś mu szeroką ciężkie westchnienie podnosi,
Tak silne niegdyś ręce, opadły zemdlone,
A gdy mu z rany lecą krwi strugi spienione,
Tak do konia przemawia: „O koniu mój dobry,
Nigdy niezmordowany, i rączy i chrobry,
Coś w służbie Cara mego szedł ze mną na wojnę,
I tam lotniejszy od wichrów szalonych,
Wśród ognistych gradów wypuszczonych,
Dzieląc z panem twym chwałę, zścierał szyki zbrojne, —
Jużes mi niepotrzebny, tak kazał los ślepy,
Idź w dalekie Donu stepy,
Powiedz mej młodej wdowie, że me śluby zmienił,
Żem się już z inną ożenił,
Żem już umowy wiecznemi,

Wziął z nią w posagu, kilka pędzi ziemi,
Ze ostra szabla już nas połączyła,
A gorejąca strzała spać nas położyła.“

Allegro czyli wesoly z Milтона.

Precz odemnie smutku srogi,
I co czarnym umysł czyni,
Tobie w Stygijskiej jaskini,
Wśród poczwar, krzyków i trwogi,
Kędy świst smoków, gdzie tygrysów wycie,
Cerber i północ, darowały życie.
Idź szukaj sobie innego pobytu,
Tam gdzie mgły wieczne, kędy niema świtu,
Gdzie głucha ciemność skrzydła swe roztacza,
Gdzie kruk nocny śmierć oznacza,
Pod cieniami hebanu, od słońca daleki,
Mieszkaj na wieki.

Przyjdź pełna wdzięków, pogodnego czoła,
Przyjdź Eufrozyno wesola,
Ciebie Wenera, wraz z siostry swojemi,
Zawsze luba, zawsze miła,
Między mirtami wonnemi,
Uwieńconemu bluszczem Bachowi powiła:
Albo jak inni wynalazkiem nowym,
Twierdzą, że właśnie po deszczu majowym,

Zefir napotkawszy raną,

Zorzę rumianą,

Na postaniu z róż pachnących,

I z fijałków łzę roniących,

Śłodką ją cisnąc... o szczęśliwa dobo,

Napełnił sobą.

Przychodź o siostro wybrana,
Piękna, hoża, i rumiana,
Spiesz się o Nimfo, niech z tobą przychodzą
Lube pustoty co nam życie słodzą:
Zabawy, żarty, uciechy,
Dowcip bysty i przenikły.
I te łudzące uśmiechy,
Co w dołkach Heby gnieździć się nawykły.
Spiesz, prowadź z sobą niezem nieugiętą
Nimfę gór leśnych, wolność ludzom świętą.
A jeźlić wdzięczne prośby, co do ciebie wnoszę,
Niech się z tobą nie rozdzieli,
Niech moją będzie twa radość, wesele,
Mojemi twoje rozkosze.
O! luba Nimfo, nim ostatek cieni,
Z niebieskich zniknie sklepieni,
W mieszkaniu wiejskiem mię szukaj,
Zbliż się przez wonne gęstwiny,
Fijałki, róże, jaśminy,
I w okno moje zapukaj.
Pójdziem patrzeć, jak ledwie w obłokach dojrzany,
Skowronek ze snu budzi świt rumiany;
Jak raz krążąc w lazurach kędy huczą gromy,
Śpiewa, i znów się spuszcza pod kamień poziomy;
Jak pyszny kogut krzykiem przeraźliwym,
Pstre małzonki z grędy płoszy,
Równie dla wszystkich zalotnym i tklwym,
Zarówno słodkiej udziela rozkoszy.
Jakież to okrzyki głośnie
Po kniejach echo powtarza radośne?
Jakież ja słyszę wołanie,
Trąby myśliwców, i ogarów granie,

Jakaż się po tych lasach ciągiem wód tych brzega,

Wrzawa rozlega?

Patrz z wierzchu skały jeleń siedniorogi,
Z rozciągniętymi na powietrzu nogi,
Szybkim pędem unosząc życie zagrożone,
Suwa przez czarną przepaść, lub nurty spienione;
Krzyk się radośny naokoło mnoży,
W zielonym stroju poczet jeźdźców hoży,
W wypuszczonym zawodzie króla lasów ściga,
Raz się kryje w gęstwinie, znów po łąkach miga,
Już je oko straciło; w dalekiej ustroni,
Głos myśliwców, tentent koni,

Coraz słabiej słuch dotyka,

Gubi się, gubi i znika.

Nastąpi cichość; niezmierzona okiem,
Kraina lubym zachwyca widokiem,
Jasnym błękitem niebo się powleka,
Na nim runo za runem lekkich chmur ucieka.
Schylony oracz, pług swój prowadzi po niwie,
Kmieć ostrzy kosę, włódarz już stoi przy zniwie;
Po błoniach, smugach, gajach, u struga tej wody,
Pasą się różno barwie rozrzucone trzody.
Dalej szarym łańcuchem, ciągnące się góry,
Na nich znużone nieraz spoczywają chmury.
Rozległe łąki, setnym posypane kwiatem,
Gorejące rubinem, błyszczące szkarłatem,
Między dęby, gdzie szczupłej posiadłości szranki,
Dym się wznosi do góry z ubogiej lepianki.
Dalej wśród tych więzów ciemnych, rozłożystych,
Wzbija się stary zamek na szczytach skalistych,
Może w nim piękność jaka od zmierzchu do ranka,
Długo oddalonego wygląda kochanka;

Inny widok, gdzie snopek ostatni się znasza,
I właściciel swych kmieci na gody zaprasza,
Jak hoża jest ta pierwsza w okreśnym dziewica,
Co wieniec z ciężkich kłosów dźwiga na swej głowie,
Ach! jak żywo rumieni nadobność jej lica,

Wesołość, praca i zdrowie!

Śpiewają proste pieśni, też same ich składy,
W jakich za Piastów jeszcze nuciły pradiady.
Zniknęła pamięć znojów, radość na ich czole,
Już się wzięli za ręce; raz w wesołym kole,
Znów pary młodych Bartków, Kasięk ulubionych,
Wywijają się dziarsko, w tańcach nieuczonych.
Ale nim kur zapieje, wesoła ta rzesza,

Do poziomych strzech pośpiesza.

Nie miękkie łoża, nie puchy pieszczone,
Lecz w szopach siano świeżo ukoszone,
Jest ich postaniem: wkrótce wietrzyk chłodny,
Na unużone członki zsyła sen łagodny.
Z powstaniem zorzy, tryb dzienny powraca,

Wesołość, pieśni i praca.

Inne są w pysznych godach, wesela, zabawy,
Czy słyszysz ten gwar, te krzyki, te wrzawy,
Cóż są w jasnych kryształach te światła tysiące,

Te pochodnie gorejące?

Jakie tryumfów, oznaki niepiłonne,

Te Quadrygi czworokonne,

Te bieguny na lewo na prawo rozdarte,

Te bohaterzy na nich rozpostarte!...

Okryte tysiąc wstęgami,

Lecą do gmachów płonących ogniami,

Kędy tysiąc piękności chciwy wzrok zachwyca,

I przepychem ubioru, i wdziękami lica.

Śnieżne ciało, pajęcza odzież ich przenika
 Drobną nóżką, zaledwie ziemi się dotyka,
 Kręcą się młode pary nieścignionym krokiem,
 I poją się nawzajem rozkoszy potokiem.
 Jeżeli ci milszemi, sceny naszej dziwy,
 Prowadź mię wesołości, gdzie syn twój prawdziwy,
 Gdzie Żółkowski, co nigdy słuchacza nie nudzi,
 Co śledziennika nawet do śmiechu pobudzi,
 Co, czy mówi, czy pisze, czy marsa nastawi,
 Zawsze jest nowym, zawsze rozrywa i bawi,
 Tam, gdzie nas Zdanowicza bawią krotoczwile,
 Co w rozlazłych Kasperkach ma dowcipu tyle.
 Milsza jest rozkosz, dla czuć rzewnych lubownika,
 Gdy wdzięczne pienie, serce do głębi przenika,
 Kiedy rym nieśmiertelny słodyczą muzyki,
 W najskrytsze duszy naszej wkrada się tajniki,
 Gdy nam słodzi obecność, w czas zeszyty przenosi,
 Mięczy, rozrzewnia, drażni, budzi i unosi.
 Wdziękiem takiej harmonii Orfeusz przed laty,

 Szukając drogiej swej straty,
 Wzruszył Ereby zagniewane cienie,
 Na lutni jego żalosne jęczenie.
 Zmiękczył się Pluto, i po twarzy zbladłej,
 Żelazne łązy mu upadły.
 O wesołości, w troskach co ponoszę,
 Daj mi podobne rozkosze,
 Daj mi spokojność, wesele,
 A ja się z tobą nigdy nie rozdziele.

II Pensoroso czyli zadumany z Miltona.

Precz ztąd odemnie znikome uciechy,
 Igraszki, pustoty, śmiechy,
 Cóż roztrzepania, co czeze głowy bawią,
 W umyśle naszym zostawią?
 Zostańcie wiecznie z płochemi wietrzniki,
 U nich, rój marzeń i przywidzeń dziki,
 Jak tłum motylów z różnobarwnem piórem,
 Kręci się przez dzień, i ginie wieczorem.
 Przychoź bogini dumaniem zajęta,
 Przychoź melancholio święta,
 Zbliź się o ksieni czysta, wstrzemięźliwa,
 Słodka, pokorna i tkliwa,
 Przyodziana szatą ciemną,
 Z wybladłą twarzą, z postacią przyjemną,
 Postępuj powolnym krokiem,
 Z podniesionem w niebo okiem.
 Cóż cię może zastanawiać?
 Zdajesz się z niebem rozmawiać,
 Idziesz.... znów stajesz, bez ruchu i głosu,
 Jak posąg z białego ciosu.
 Cóż jest to twoje dumanie?
 Czyliż już słyszysz sfer niebieskich granie,
 Znów oczy spuszczasz ku ziemi,
 Pokój i cichość skrzydłami swojemi,
 Zastaniają cię wokoło: przykre każde brzmienie,
 Chyba, że słowik miłosny,
 Kojąc swój smutek żalosny,
 Daje ci słyszeć płaczliwe swe pienie.
 Luby śpiewaku, ty co w ciemnym lasku,
 Stronisz od człeka, i od słońca blasku,

Ty, co tak wdzięcznie słodzisz nocy cisze,
 Z jakąż rozkoszą ja cię zawsze słyszę!
 Gdy ty przestaniesz, ja odchodzę smętny,
 W ciche ustronie, gdzie kamień pamiętny,
 Przykrywa drogie mi cienie,
 Lub wzniośszy oczy w niebieskie sklepienie,
 Patrzę na rozsypanych światów miliony,
 Nieraz na wzgórku stojąc zamyślony,
 Gdzie gęste lipy dają mi okrycie,
 W słodkiej wieczornej porze,
 Dalekiego kościółka słyszę dzwonów bicie,
 I jak się dźwięk ich gubi, po czystym jeziorze.
 Prowadź mię czasem, na te pyszne sceny,
 Na widowiska srogiej Melpomeny,
 Niech na nich widzę niestrwożonych Cydów,
 I okropny ród Atrydów.
 Niechaj na bohaterów patrzę, nieśmiertelne,
 Na wyniosłe ich czucia, na ich czyny dzielne,
 Meże co nieznający spodlenia naszego,
 I w samej nawet zbrodni, mieli coś wielkiego!
 Lecz już i scenie polskiej chwała się zapewnia,
 Podnosi mię Ludgarda, Barbara rozrzewnia,
 Leduchowska nieznane czuć daje słodycze,
 Unoszą Szymanowski, Werowski, Kudlicze,
 Lecz jeżeli czas dzysty, pozwól niech się schronię
 Gdzie w rogu mego komina,
 W szarych popiołach reszta węgla płonie,
 I wśród ciemności światło przypomina.
 Głucha samotność zaciszę mi okrywa,
 Chyba świerszcz w szparze smutnie się odzywa,
 Albo stróż nocny, przez swe smutne pienie,
 Przerwie milczenie.

Już noc nadeszła, wnijdę na tę wieżę,
 Co ostatek ruin strzeże,
 I rozbija nawałnice,
 Niech tam mą lampę zaświecę,
 Niech przy jej bladym płomieniu,
 Myśli moja uniesiona,
 W całym swoim nateżeniu,
 Boskiego zgłębia Platona.
 Niech on mię uczy, kędy są te światy,
 Gdzie te dziedziny, w jakim gwiazd zakresie,
 Gdzie dusza nieśmiertelna, swe doczesne szaty
 Zwłókszy, w szczęśliwych pobyt się przeniesie.
 Co są te ciemne duchy, czarnych piekieł płody,
 Co napełniając ziemię, powietrza i wody,
 Rządząc gwiazd licznych biegiem, żywioły wszelkimi,
 Wpływ tak silny mieć zwykły, nad losy naszemi.
 Tak myśląc w nocy, szukam poznać świat i siebie,
 Aż zorza ranną jasność rozleje na niebie.
 Już zeszyła, lecz nie taki jej poczet, odzienie,
 W jakim z Attykiem chłopcem ścigała jelenie,
 Białe, leciuchny obłok, ozdabia jej skronie,
 Unoszą je zefiry, otaczają wonie;
 Świeżym jaśnieje blaskiem, a z różowej szaty,
 Spadają wonne rosy na liście i kwiaty.
 Lecz już słońce wzniesione w szczyt niebios wysoki,
 Leje na świat zemdlony ogniste potoki.
 Prowadź mię o bogini, w ustępy cieniste,
 Gdzie się dębów kołyszą szczyty wiekuste,
 Dębów co nigdy ostra nie tknęła siekiera,
 Lub w te gaje kędy się ukradkiem przedziera,
 Między gęstemi liści, promyk światła słaby....
 Jakież tu nowe powaby!

Ileż tu polnych kwiatów, jak po tych kamieniach,
 Zdrój spieniony ucieka, w tysiącnych strumieniach,
 Jak po tych ziołach, krzewach, różną farbą litych,
 Brzęczą tysiączne roje pszczołek pracowitych,
 Tu, niech na tej murawie od zgiełku daleki,
 Rozciągniony, znużone zamrużę powieki,
 Zeszlęj mi o bogini trosków zapomnienie,
 I snów pocieszających łudzące marzenie;
 A kiedy się obudzę niech co tylko zionie,
 Głosy liczego ptactwa, wszystkich kwiatów wonie,
 W miłym mię zachwyceniu całego unoszą,
 I wszystkie zmysły moje napoją rozkoszą.
 Lecz nadewszystko prowadź mię bogini,
 Do tej szanownej, posepnej świątyni,
 Gdzie tysiąc kolumn, setnemi ramiony,
 Wspiera szczyt sklepień wiekiem zaciemniony,
 Gdzie z długich okien, farby i wzory złociste,
 W wątych brytach, rzucają światło uroczyste,
 Tam kiedy lud schylony Wszechmocnego prosi,
 Niech drżący hukiem organ, modły ich podnosi,
 Niech przy tych hymnach świętych, przy tem wdzie-
 cznem pieniu,
 Rozpływa się ma dusza, w słodkim zachwyceniu,
 Niechaj nakoniec przy schyłku dni moich,
 Za najdroższy z darów twoich,
 Znajdę spokojną jaskinię,
 Kędy czysty strumień płynie,
 We dnie niech zbieram zioła, ulgę przynoszące,
 W nocy niech patrzę w gwiazdy nademną krążące,
 Niech tam nakoniec bez trwogi i winy,
 Ostatniej czekam godziny;

Jeżli mi dasz te dobra, ręczyć mogę śmieie,
 O bogini! nigdy się z tobą nie rozdzieli.

Alondzo i Helena.

(Naśl. z angielskiego).

Piękna Helena i Alondzo śmiały,
 Ta z wdzięków znana, ów z czynów wojennych,
 Siedząc, gdzie strumień wśród jaworów ciemnych,
 Z łagodnym szumem zlewa się ze skały,
 Przez słodkie mowy, przez czułe wejrzenia,
 Słodzili bliską chwilę rozdzielenia.

„Ah! rzekł młodzieniec, jutro się oddalę
 W odległej ziemi krwawe toczyć boje,
 Ty po mnie wkrótce uśmierzysz twe zale,
 Nowy zalotnik zyska serce twoje,
 I wiarę, którąś przysięgała wiernemu,
 Niestata, może oddasz bogatszemu!“

„Poprzestań, piękna Helena odpowie,
 Posadzeń twoją kochankę krzywdzących,
 Niechaj Bóg, srogi Bóg wiarę łamiących,
 Skarże mię, jeżli uchybię w mem słowie;
 Czyś żywy, czyli legniesz od oręza,
 Innego nigdy nie wezmę za męża.

„Gdyby ma próżność, lub bogactwa żąda
 Dały mą rękę innemu z śmiertelnych,
 Niech trup naówczas śmiałego Alondza,
 Siędzie obok mnie, wśród godów weselnych;
 Niech mię niewierną małżonką nazywa,
 I jak swą własną do grobu porywa.“

Do Palestyny dzielny rycerz spieszy,
Kochanka nad nim rzewne łzy wyléwa,
Jedną ją tylko myśl powrotu cieszy:
Alieć zaledwie rok jeden upływa,
Bogacz okryty złotem, kamieniami,
Stawa przed zamku Heleny bramami.

Nowy zalotnik, skarby swe gotowe,
Obszerne włości i dary rozwodzi,
Omamia oczy, zawraca jej głowę,
Pochlebstwy próżne serce jej uwodzi;
Łamie Helena wiarę przysiężoną,
I już innemu przyrzeka być żoną.

I już ksiądz związał ręce nowej pary,
Goreją gmachy światły rozlicznemi,
Gną stoły srebra i potraw ciężary,
Piękna Helena błyszczy przed wszystkiemi;
Śmiechów, radości, gwar się jeszcze szczyży,
Gdy zegar pierwszą godzinę uderzył.

Wtenczas dopiero z zdumieniem i trwogą,
Helena widzi przy sobie Rycerza:
Siedział obok niej z surowością srogą,
Której wesołość godów nie uśmierza;
Cichy, ponury, niczym niewzruszony,
W oblubienie wzrok trzymał wlepiony.

Postać olbrzymia; z wierzchołka szyszaku
Czarna przyłbica na twarz mu spadała,
I zbroja czarna bez żadnego znaku,
Gdzie nigdzie tylko krew ją okrywała;
Patrząc nań, psy się wstecz z strachu cofały,
I świece bladym płomykiem pały.

Przytomność jego trwogą i milczeniem
Przeraża gody; nie doszły połowy
Kiedy Helena, blada i ze drzeniem
Rycerzu, rzekła: „zdejmij hełm z twej głowy,
I racz używać bankietu wesela,
Który gościnność chętnie ci udziela.“

Umilkła: gość nasz pełniąc jej rozkazy,
Zwolna przyłbicę szyszaku odkrywa;
O nieba! jakież okréślą wyrazy
Strach, co Heleny serce wskrósł przeszywa,
Gdy raptem widzi, nie już twarz żyjącą,
Lecz trupa głowę na sobie patrzącą.

Krzyk przeraźliwy gmach obszerne razi,
Każdy z ohydą odwraca swe oczy;
Z gęby i skroni robactwo wyłazi,
Pełza, i na pół zgniłe kości toczy:
Nakoniec larwa, wśród tej strasznej sceny,
Tak się do pięknej odzywa Heleny:

„Fałszywa! gdzie cię zwiodła bogactw żądza?
Przypomnij sobie śmiałego Alondza:
Jakoś zyczyła, w tej weselnej dobie,
Wśród godów siada trup jego przy tobie;
Niewierną ciebie małżonką nazywa,
I jak swą własną do grobu porzywa.“

To mówiąc, dłońmi na pół ją ujmuje:
Helena krzycząc napróżno się zbrania,
Ziemia się na dwie strony rozstępuje,
I w ciemną przepaść oboje pochłania.
Pogasły światła, słychać tylko jęki
Piekielnych poczwara, i łańcuchów szezęki.

Niedługo potem, ciosem niezwróconym,
Bogacz zakończył życie pełne trwogi;
Zamek na zawsze został opuszczonym:
A w pustych gmachach, kiedy wicher srogi
Przeraża duszę przez dęcia straszliwe,
Słychać Heleny jęczenia płaczliwe.

Czterykroć na rok o północnej porze,
Gdy sen śmiertelnych ciężkie troski słodzi,
Helena w śnieżnym wesela ubiorze,
Z trupem rycerza swojego wychodzi:
On ją wybladłą, z obłąkanym wzrokiem
Porwawszy, szybkim w koło kręci tokiem.

Widać w koło nich larwy tańczące,
Trzymając czaszki świeżo z trupów zdarte;
Krew ich napojem, krwi potoki wrzące
Piją, a paszcze szeroko otwarte
Wołają: „para niech żyje szczęśliwa!
Mężny Alondzo, Helena fałszywa.“

1802.

Edwin i Aniela.

(Z angielskiego).

„Zwróć się w tę stronę, młody pustelniku,
Prowadź mnie błędną dróżyną
Tam kędy ogień w chwiejącym płomyku,
Miga nad ową doliną.

„Bo tu nieszczęsny zmordowanym krokiem,
Im bardziej spieszę w noc ciemną,
Tym bardziej stępy nieścięgnięte okiem,
Usuwać się przedemną.“

Pustelnik rzecze: „Ktośkolwiek jest z ludzi,
Ku światłu nie waz się dążyć;
Zdradzieckie widmo ciągnie cię i ludzi,
By cię w przepaści pogażyć.

„Tu dla podróżnych drzwi moje otworem,
Dla tych co proszą nieśmiele,
Chudobą moją, szczupłym moim zbiorem,
Z potrzebnym chętnie się dzielę.

„Przenocuj zemną, pielgrzymie mój hoży,
W celi mej znajdziesz kominiek,
Niewinny pokarm, postanie z rogoży,
Błogosławieństwo, spoczynek.

„Przezemnie trzoda, co te zioła żuje,
Na rzeź postaną nie bywa;
Istota co się nademną lituje,
Litości mię nauczyła.

„Żywność dostarcza ten sad umajony,
Jagody zaś okolica,
Drzewa te owoc przezemnie strząśniony,
A napój czysta krynica.

„Zapomnij trosków, zwróć stopę nieśmiałą,
Gościnność uczęzę posługą,
Człek na tym świecie potrzebuje mało,
I tego nawet nie długo.“

Jak świeża rosa co kwiaty zasila,
Głos ten młodzieńca przejmuję,
Przed pustelnikiem piękną głowę schyla,
I ścieżką z nim postępuje.

Wśród głuchoj lasu pustelnik ciemnoty
Miał domek podal od drogi,
Przytułek kędy w czasie burz i słoty
Chronił się człowiek ubogi.

Próżne zapory, gdzie strzecha słomiana
Dostatków nie przechowuje,
Otwarta tknięciem zasuwka drewniana
Niewinną parę przyjmuje.

Gospodarz w celi krząta się wesoło,
Tlejące węgle rozdyma,
Chce rozweselić trosków pełne czoło,
Zamysłonego pielgrzyma.

Przynosi na stół barwiste maliny,
I jabłoni owoc złoty,
A chcąc przykrócić wieczorne godziny,
Czyta mu świętych żywoty.

Igrają blisko zatrudnionej pary,
Kocięta w koło ogniska,
Świerszcz się odzywa skryty między szpary,
Ogień szparkie iskry pryska.

Lecz żaden widok gościowi niemiły,
Wzdychał on często choć skrycie,
Ciężkie frasunki serce mu tłoczyły,
Łzy z oczu ciekły obficie.

Nie uszła załość i ciężka i skryta,
Przed uwagą pustelnika:
„Zkądżeś nieszczesny młodzieńcze? zapyta —
Jakaż cię boleść przenika?

„Szcześliwszych czasów może dziś załujesz,
Wyniany w puszcę tę ciemną,
Może niewdzięczną przyjaźń oplakujesz,
Albo miłość niewzajemną?

„Rozkosz, co świat ten daje, często zdradza,
Jest to cień płochy i zwodny,
Ten który w fraszkach szczęście swe zasadza,
Prawego szczęścia nie godny.

„I cóż jest przyjaźń? czezem tylko imieniem
Usypiającem człowieka,
Mara, co idzie za bogatych cieniem,
A od nędznego ucieka.

„Tem rzadsza miłość, co nam życie słodzi,
Niegodna cheiwość ją gnębi,
Niemasz jej w ludziach, chyba się znachodzi
W gniazdeczku śnieżnych gołębi.

„Gardź płcią niewierną, przytłum twe płomienie,
Celem być wzgardy niemiło!“
Kiedy tak mówił żywe zapłonienie,
Młodego gościa zdradziło.

Zdziwiony, nowe powaby znachodzi,
Wzrasta w twarzy piękność żywa,
Jak owa jasność, co gdy zorza wschodzi,
W czystem się niebie rozléwa.

Stał i ku ziemi spuszczone miał oczy,
Często się piersi wznosiły,
Płacz, co się gwałtem przez powieki tłoczy,
Że był kobietą zdradziły.

„Daruj, zawoła z pełnym czucia wzrokiem,
Nieszczęsnej występek srogi,
Co świętokradzkim uniesiona krokiem,
Te święte skazyła progi.

„Nad obłąkaną przez miłości błędy
Niech się twa dobroć lituje,
Szukam straconej spokojności wszędy,
A rozpacz tylko znajduję.

„Ojciec mój mieszkał w oddalonej ziemi,
Przemożny złotem i wzięciem,
Bogaćwa jego miały być mojemu,
Bom była jednym dziecięciem.

„W niezmiernej liczbie szukając mej ręki,
Zalotnicy przybywali,
Chwalili moje powaby i wdzięki,
Czuli miłość lub zmyślali.

„Zewsząd się do mnie cisnęli w zawody,
Każdy swą wartość przekładał:
Pomiędzy niemi przyszedł Edwin młody,
Lecz o miłości nie gadał.

„Ubiór miał prosty, chędożny i gładki,
Nie znał bogactw złotopłynnych,
Rozum i cnota, te jego dostatki,
Lecz z temi miłszy nad innych.

„Kochał, był stałym, ale ja szalona
Choć go innym przekładałam;
Lekkością, próżną pychą omamiona,
Z mąk jego chluby szukałam.

„Nakoniec żadnej nie widząc otuchy
Z zaciętej mojej ślepoty,
Odszedł w rozpacz, i w pustyni głuchej
Nieszczęsny umarł z zgryzoty.

„Jam go zabiła: za płochość występna
Słuszenieby zemstę odbierał,
Pójdę nieszczęsna w puszcze niedostępną,
I umrę, gdzie on umierał.“

„Nie daj to Boże!“ pustelnik przerywa,
I czule wpół ją ujmując:
Dziewczyna gdy się z rąk jego wyrывa,
Kochanka swego znajduje.

„Patrzaj Aniello, Aniello ma łuba,
Masz Edwina w mej osobie;
Wrócona długo postradana zguba,
Czułej miłości i tobie.

„Niechaj raz jeszcze tklivem uściskaniem,
Słodzę długie niepokoje,
Nigdy się więcej z sobą nie rozstaniem,
Ty duszo, ty życie moje!

„Każdy frasunek już od nas daleki,
Jednem uczuciem kochanie,
A w chwili gdzie się zawrą twe powieki,
Serce moje bić przestanie.“

Dzieci w lesie.

(Naśl. z angielskiego).

Tam gdzie Dniestr toczy swe nurty spienione,
Był szlachcic mienia dobrego,

Kochał ojczyznę, swe dzieci, i żonę,

Nie pragnął dobra cudzego,
Jak mąż cnotliwy życie swoje trawił,
Ludzie go czcili, a Bóg błogosławił.

Niema na świecie szczęśliwości trwałej,

Powietrze, ów śmierci goniec,
Dobrego męża i żony zbolalej,

Przybliżyły smutny koniec,
Wkrótce za życia, miłością spojone,
Jeden grób zawarł i męża i żonę.

Dwoje maleńkich dzieci pozostało,

Dziewczynka i chłopiec luby,
Jedno dwa lata, a drugie trzy miało,

Piękne jak niebios cheruby,
Usta jak wisznie, włos spadał pierścieniem,
Wdzięczne uśmiechem, a słodkie spojrzeniem.

Ostatnią wolą do równej połowy,

Przypuścił ojciec swe dzieci,
Dla córki posag zostawił gotowy,

A synowi włóść i kmieci,
Gdyby zaś małe zejść miały ze świata,
Panem majątku postanowił brata.

Woła do łoża, i głosem płaczliwym,

Tak się do niego odzywa:
„Bracie, bądź dzieciom moim litościwym,

W tobie ma ufnosć spoczywa:
Niedługo na tym świecie nasze bycie,
Tobie i Bogu, polecam ich życie.“

Przydała matka: „Miej o nich staranie,

Niech rodziców znajdą w tobie,

Ach Bóg wie, co się z maleńkimi stanie,

Kiedy my legniemy w grobie,
Czém się w tej ważnej okażesz potrzebie,
Czém będziesz dla nich, Bóg będzie dla ciebie.“

To mówiąc, oba płaczące dziecięta,

Zimnemi oblewa łzami,
„Ach niechaj, rzecze, Opatrzności święta,
Dzień i noc czuwa nad wami:

Dla tkliwej matki nad wszystkie kłopoty
Najcięższym, biedne porzucać sieroty.“

„Nie trwóż się siostró, nieszczery brat rzecze,

O te wasze dzieci młode,
Mieć będę o nich jak najczulszą pieczę,
A jeżeli was zawiodę,

Niechaj gniew tego co światami włada,
Na mnie, na żonę, na me dzieci spada.“

Zmarli rodzice, on niebacząc więcej,

Do domu sieroty bierze,
Lecz nie minęło dwanaście miesięcy,

Gdy zdradliwy w danej wierze,
Przez chciwość, co się Boga nie obawia,
Knuje im zgubę i siłą zastawia.

Najął dwóch zbójców z okropnem wejrzeniem,

By w las dzieci wprowadzili,
I tam w ustępie między gęstwy cieniem,
Niemikosiernie zabili.

Sam zaś rozgłosił przez piekielną sztukę,
Że je do miasta posłał na naukę.

Poszły więc dzieci wesole, szczęśliwe,

Wziąwszy się z sobą za ręce,

Na ich twarzyczkach, jak róże wstydlive,
Jaśniały krasne rumieńce,
A biedne do tych, co ich zgubić miały,
Mówiły słodko, i wdzięcznie się śmiały.

Te ich niewinne wdzięki i rozmowy,
Tak jeły zbójców ujmować,
Iż litościwszy był całkiem gotowy
Nieszczęsne dzieci zachować.

Lecz drugi pewny, na zbyt hojne dary,
Chciał przyrzeczonej dopełnić ofiary.

Przyszło do sporów, od sporów do bitwy,
Drzały dziecińy lękliwe,

Aż w końcu walki i srogiej gonitwy,
Zbójca, co miał serce tklive,

Złoczyńce, który tak hardo się srożył,
Śmiertelnym ciosem bez duszy położył.

Wziąwszy za ręce chłopca i dziewczynę,
Gdy się łzami oblewały,

O dużą miłą zawiódł ich w gestwinę,
Mówiąc, żeby nie płakały,

„Zostańcie, przydał, krzyczeć tu nie trzeba,
Wróćcie, i kawał przyniosę wam chleba.“

Biedne dziecińy chodziły dzień cały,

Po łomach, gestwach niewczesnych,
Świeże ich usta w koło poczerniały,

Od ożyn i jagód leśnych:

A gdy noc przyszła i gwiazdy zniknęły,
Usiadły na mchu i płakać zaczęły.

Nazajutrz ledwie powstać mogły z ziemi,
Znów widząc puszcę bezdrożną,

Zaczęły wołać głosy załosnemi,

Ale wołały na próżno.

Nikt się nie ozwał, zniknął cień otuchy,
Okropność tylko, i szum dębów głuchy.

Strach ich ogarnął, błądzą przez dzień cały,

Cheą się przedrzeć manowcami,

A gdy już nóżki pod niemi omdlały,

Wziąwszy się na pół rączkami,

Znużeni padli oboje na ziemię,

Aż śmierć ulżyła długich cierpień brzemię.

Nie było ręki, coby ciała drobne,

W skromnej złożyła mogile,

Bładość zmieniła twarzyczki nadobne,

Mijały niejedne chwile,

Aż ziemby, co się w tych krzewach gnieździły,

Reszty ich liściem i kwiatem okryły.

Niedługo czyn ten został utajony,

Bóg trzyma zemsty pochodnie,

Tenże złoczyńca, gdy za inne zbrodnie,

Na śmierć został osądzony,

I tę wyjawiał, a lud zgrozą zdjęty,

Wołał: niech będzie na wieki przeklęty.

Już wprzód, nim czyn ten został wyjawiony,

Doznał stryj przedwiecznej kary,

Majątek jego w pieniactwie strwoniony,

Nierodzajne niw obszary,

Wymarły trzody, dom zgorzał płomieniem,

Wszystko dotknięte niebios złorzeczeniem.

Dwóch synów morskie pochłonięły fale,

Sam do ciężkiej przyszedł nędzy,

Smutek, zgryzota i niewczesne żale
Pasma życia jego przędzy
Wlokły czas jaki, aż srogie katusze,
Wtrąciły w piekło winowajcy duszę.
O wy! co chciwi cudzego majątku,
Nie znacie Boga ni prawa,
Wy pozbawieni uczciwości szczątku,
Dla których nieczem niesława,
Uczcie się, jak podstęp, pieniactwo, potwarze,
W ojcach i dzieciach Bóg przedwieczny karze.
Próżno przez wasze sztuki i obroty,
Przedajnych sędziów kupicie,
Zgnieciecie na czas nieszczęsne sieroty,
Lecz krótkie będzie użycie;
Bóg ściga zbrodnie, czy później, czy prędzej,
Zaginie ród wasz w niesławie i nędzy.

Jest nas siedmioro.

(Z angielskiego).

Mój przyjacielu! małe, proste dziecię,
Co jeszcze trosków nie znało,
Co w każdej żyłce nowe czuje życie,
Cóżby o śmierci wiedziało?
Jam jednak spotkał pod tej lipy cieniem,
Dziewczę co siedem lat miało,
Włosy jej gestem kręcąc się pierścieniem,
Spadały na szyję białą.
Coś w niej dzikiego, lecz ruszenie snadne,
Ubogą odzież nosiła,

Oczy jej ładne, ale bardzo ładne,
I twarzyczka dziwnie miła.

„Powiedz mi, pytam stojącej z pokorą,
Ileż masz i sióstr i braci?“
A ona w swojej niewinnej postaci:
„Jest nas, odpowie, siedmioro.“

„I gdzież są?“ pytam. Ta rzecz nieśmiele:
„Jest nas siedem, niech pan wierzy,
Dwoje z nas mieszka w tém pobliskim siole,
A dwóch wzięto do żołnierzy.“

„Dwoje nas na tym ementarzu tam leży,
Brat i siostra, dzieci mamy,
A przy ementarzu w bok kościelnej wieży,
Ja z moją matką mieszkamy.“

„Mówisz, że w siole tem mieszka was dwoje,
A dwóch do żołnierzy wzięto,
A jest was siedem — zważaj dziecię moje,
Że to rzeczą niepojętą.“

„Jest nas siedmioro, dziewczynka powtarza,
I sióstr, i braci pospołem,
Dwoje nas leży na rogu ementarza,
Pod drzewem, za tym kościołem.“

„Cóż ci się dzieje, gadaj jak należy,
Jesteś zdrową, biegasz skoro,
Jeżeli was dwoje na ementarzu leży,
To jest was tylko pięcioro.“

„Groby ich, rzecz dziewczę, są zielone,
Porosły czasem niedługim,

Od domu kilka kroków oddalone,
Widać je, jeden przy drugim.

„Tam ja pończochy dla matki mej robię,
Prątkami ot tak długimi,
I tam na ziemi, nieraz siadę sobie,
I siedząc śpiewam nad niemi.

„Ma siostra Basia umarła najpierwej,
Błada, i rączki jej drżały,
Biedna na łóżku płakała bez przerwy,
Aż ją Bóg wziął do swej chwały.

„Gdy ją przykryli deskami z stron obu,
Gdy ją ziemią przysypali,
Ja z bratem Jasiem w około jej grobu,
Całeśmy lato igrali.

„Lecz kiedy wiatry dąć zaczęły ostro,
I świat cały śnieg przykrywa,
I Jaś mój biedny pójść musiał za siostrą,
I tuż obok niej spoczywa.“

Rzekłem: „Do nieba, gdy poszło was dwoje,
Heż na świecie zostanie?“
Dziewczynka, zawsze odpowiada swoje:
„Siedmioro, dobry mój Panie.“

„Lecz ci co zmarli? Musieli umierać,
Lecz duch ich poszedł do nieba.“
Zamilkłem, widząc, że próżno się spierać,
I że dziecku uledeż trzeba,
Gdyż to z uporem ciągle powtarzało,
Że ich siedmioro zostało.

Czas i skargi na niego.

Czas, co nigdy nie zaczął, i nigdy nie skończy,
Z roztoczonemi skrzydły pędził lot swój rączy
Szlakiem pól lazurowych; za jego polotem,
Nieraz natura srogim trzęsła się łoskotem;
Dla niego w mgnieniu oka, nam przez wieki długie,
Jedne państwa ginęły, powstawały drugie,
W dawnych krajach ruiny, w nowych pyszne grody,
I marszczące się świeże niedawno jagody.
Raz gdy leciał (jam temu przyświadczyć gotowy)
Górą wesołych smugów i ciemnej dąbrowy,
Nad brzegiem chłodnych źródeł pod buków zastoną,
Postrzegł nisko pod sobą pięknych kobiet grono:
Z poblizszych mieszkań tam się zeszły dla zabawy;
Te w tańcach nóżką miękkie zmiatały murawy,
Rozpuszczone ich wolno szaty tkane złotem,
Podnosiły się z każdym zefirów polotem;
Te białą ręką dzieląc stróny na pół głośnie,
Z jękiem gęśli łączyli nucenia miłosne;
Inne się podawały rozmowom i śmiechom....
Przypatrując się z góry tym lubym uciechom,
Zachwycony przez poczet wdzięków tak dobrany,
Czas orlim na dół cisnął się pędem,
Skruty za buków gestoliściich rzędem,
Patrzył i słuchał długo niewidziany.
Skoro Czas się zatrzymał, wesołość ustała:
„Ah! jak czas długi — Kloe zawoła niedbała —
Przecie że dziś pogoda, wozoraj o południu
Choć w Maju, czas był zimny, jak w miesiącu Grudniu.“
„Nie wiem co z sobą robić, rzeknie Filis tkliwa,
Czas ciężarem jest dla mnie; zawsze nieszczęśliwa,

Dziś przecie na zabawach w pośród tej doliny,
 Strawiłam dość przyjemnie małe pół godziny;
 Teraz znowu się nudzę, ah! te krotchwilie
 Przez jak nieznosne przyjdzie opłacić mi chwile!
 Ziewając o dwunastej wstałam z łóżka wczora,
 Zdrowa zupełnie, chociaż pono trochę chora,
 Od krosienek powoli wlekąc się do wstążek,
 Od tych do mego pieska, od pieska do książek.
 Lata mijały, niżli do obiadu dano,
 Dwa wieki nudną sztukę na teatrze grano,
 Wyjechałam w połowie.... ztamtąd na wieczery
 Gdzie niby grzeczność sama, przyjaciele szczerzy,
 Gdzie w powszechnej rozmowie dwie szepejące pary,
 Gdzie nudni rymotwórcy, ekliwy brzęk gitary;
 Poziewając chodziłam od kąta do kąta,
 Wracam, sądząc, że późno.... dopiero dziesiąta!
 Tak się czas ten przeklęty bez litości wlecze.
 „Ja nie wiem co z nim robić, pusty Damon rzecze:
 Jeżdżę z domu do domu od samego ranka,
 Albo latam po polach wsiadłszy na kasztanka,
 Przy obiedzie kielichy spełniam wina mnogie,
 Jednak ni uciec przed nim, ni zapieć go mogę.“

Kiedy tak Czas szarpali niesłuszną obmową,
 Zoe siedząc nad źródłem z nachyloną głową,
 „Ah! jak szybko zawoła czas ten ulatuje,
 Wczoraj byłam jak róża, dziś zmarszczki znajduję;
 Piorunem zniszczcie starca sprawiedliwe nieba!
 Lezie gdzieby mógł lecieć, leci gdzie nie trzeba.“

Rozśmiał się starzec na te skargi osobliwe,
 Śmiechem zdradził ukrycie, a Nimfy złośliwe
 Widząc go w swojej mocy, niektóre wesoło,
 Inne z miną gniewliwą otoczyły w koło;

Każda łaje, ta skrzydła ujęła rękami,
 Ta do drzewa przywiązać zamysła wstęgami,
 I pękiem róż oćwiczyc.... „Jak was ułagodzić?
 Woła starzec, jak sprzecznym życzeniom dogodzić?
 Dla jednych lecę prędko, drugim opieszale;
 Na siebie samych wasze wywierajcie żale.
 Z przepisanego trybu ja się nie oddalam,
 I używać mię jak chce każdemu pozwalam;
 Nie leniwym dla tego co pracuje człeka,
 Próźniak tylko i w zbytkach żyjący narzeka,
 Puśćcie mię, czyż możecie być tak uprzykrzone?“
 Ale one go szarpiają wkoło uciepione,
 Męczą, chodzą w zapasy, choć w nierównej sile,
 Kłócąc się z Czasem, krótkie trwonią życia chwile.
 Aż starzec przełęczniony późną dnia już doba,
 Rozwinął lotne skrzydła i porwał je z sobą.

Z i m a.

(Naśl. z angielskiego).

Wśród ciężkiej zimy, gdy pochyłym biegiem,
 Słońce spadało za horyzont błądy,
 A ostry wichur zawiął gęstym śniegiem
 Płoty, doliny, ścieżek nawet ślady,
 Błędna dziewczyna zewsząd opuszczona,
 Szła z płaczem, dziecko swe tuląc do łona.

„Cóż pocznę? rzekła, już noc widzę ciemną,
 I mię, i dziecię, mróz srogi przejmuję,
 Okrutny ojciec drzwi zamknął przedemną,
 Matka się nad mým losem nie lituje:

Lecz sroższy od nich, ten co mię zasmucił,
Co wziął bogatszą, mię nędzną porzucił!

„Cyt, cyt kochanie, lube moje dziecko,
Tul się do piersi, grzej w płachcie ubogiej;
Niech cię orzeźwi serca mego bicie!
Ojciec twój mimo nieczułości srogiej,
Gdyby nas widział, słyszał twe kwilenie,
Na łonie swoim dałby nam schronienie.

„Zimne me dziecko, ach! oczy mdlejące
Olsnęły; słabe członki twe skościły,
Niech cię ogrzeją łzy moje gorące.“
Lecz łzy, nim spadły, w lód się obracały.
„Skonałość! nędzna, z twoim zgonem srogim
Straciłam wszystko co mi było drogim!“

Pada bez siły na śnieżną zawałę
I raz ostatni, w tej okrutnej dobie,
Całując dziecka usta już zsiniałe,
Zdrętwiałą ręką kładzie je przy sobie,
Ze łzami oczy ku niebu otwiera,
Zwiesza zemdloną głowę i umiera.

PUKIEL WŁOSÓW UCIĘTY.

Poema z Angielskiego,

PRZEZ

ALEXANDRA POPE.

Posłanie do Tadeusza Mostowskiego.

Rymy pod smutną zbyt wieszczbą składane,
Tobie posyłam przyjacielu luby:
Bodaj! gdy przyjdą chwile pożądane,
Gdy ciężkie więzy, chociaż nie bez chluby,
Skruszają się; bodaj w tej szczęśliwej dobie,
Niosły zabawę Temirze i Tobie:
I miłym wtenczas była ci wspomnieniem
Przyjaźń ma, wspólnem stwierdzona cierpieniem.

DO PANI FERMOR.

Pani!

Kiedy mam szczęście ofiarować ci to małe dzieło, dowodzę tem samem że je szacuję. Nie tajno ci jest iż napisane było dla młodych dam, grzecznych, dowcipnych, i gotowych śmiać się z pustot pteci swojej, a nawet i swoich własnych. Dałem naprzód kilka kopji onego, i te wkrótce się rozmożyły; lecz gdy księgarz jeden zabierał się do drukowania egzemplarza nadzwyczajnie błędnego, łaskawie pozwolił raczytaś, bym mu oddał sam oryginał, w celu wydania go na świat; było to powodem, żem przejrzał Poema, a raczej dokończył je. gdyż naówczas było bez *machiny*.

Machina, Pani, jest to wyraz wymyślony przez uczonych dla wyrażenia dzieł bóstw, aniołów i djabłów; i to stanowi dziwy Poema. Wiedzieć ci bowiem należy, iż poeci podobni są nieco do dam, które mają udzielony sobie dar powiększenia najdrobniejszych rzeczy.

Machina, której użyłem, zdawać ci się będzie nową, a nawet i cokolwiek dziką; pożyczło mi ją systema kaba-listów. Czy wie też Pani, co to są kabaliści? Trzeba zabrać z nimi znajomość. Najlepiej da ci ich poznać autor jeden francuzki, w księdze pod tytułem: *Hrabia Gabalis*, książka

ta, tytułem i składem swoim tak jest podobna do historyjki, iż niektóre znajome mi damy, niedomyślając się bynajmniej żartu, czytały ją jak romans zwyczajny.

Owoż Hrabia ów Gabalis, nauczył cię Pani, iż cztery żywioły zaludnione są duchami zwanemi Sylfy, Gnomy, Nimfy i Salamandry. Gnomy są to djabełki które mieszkają w ziemi i które jak wieść niesie, są duchy wielce złośliwe. Woda mieszkaniem jest Nimf, tak jak ogień mieszkaniem Salamander. Co się zaś tyczy Sylfów rozprószonych po powietrzu, są to najładniejsze i najmiłsze w świecie stworzenia. Mówią, iż można z niemi w ścisłe wchodzić związki, z pewnym jednak warunkiem, nie bardzo jak mówią wszystkim dogodnym; warunek zaś ten jest, aby być nadzwyczajnym sposobem czystą i niepokalaną.

To systema duchów wyłożone jest w pierwszej pieśni Poema mego; wszystko co się zawiera w innych pieśniach jest bajecznem, wyjąwszy atoli porwanie pukla pięknych twych włosów, które jak tobie samej wiadomo, jest cokolwiek prawdziwsze, niż przeobrażenie onego w gwiazdę niebieską: wszyscy inni Poema tego bohaterowie, niemniej są bajeczni jak powietrzne duchy, które w nim działają. Sama nawet Belinda podobną jest tylko do ciebie z piękności i wdzięków.

Gdybym sobie mógł pochlebiać, iż wiersze moje, choć część wdzięków twoich posiadać będą: jak ty Pani, wszystkich dla siebie zjednoczyłbym zdania i smakowany byłbym, przynajmniej przez świata tego połowę. Jakikolwiek los mię czeka, rad zawsze będę, żem znalazł szczęśliwą sposobność oświadczenia ci publicznie szacunku i uszanowania, z którym jestem Pani

twój najniższy sługa
Alexander Pope.

PIEŚŃ I.

Co za gniew srogi powstał z powodów miłosnych,
Z drobnych przyczyn do jakich przyszło walek głośnych?
Na życzenie Karyla przedsięwziętem nucić:
Belinda rymów moich nie zechce odrzucić.
Błaha treść rzeczy, ale w wyższym stanie względzie,
Jeżeli ona mię natchnie, a on słuchać będzie.
Powiedz Muzo! przez jakie zbyt dziwne przygody
Mógł się porwać na damę lord grzeczny i młody,
Powiedz co przynagliło tę damę tak grzeczną
Odrzucać lorda tego zalotność serdeczną?
Mógłże się człowiek takim zuchwalstwem uwodzić,
I mogłaż złość się taka w tkliwych piersiach zrodzić?
Słońce już zaczynało łagodnym promieniem
Przez różowe firanki przebijać się z drzeniem,
I otwierać te oczy, co dzień zgasić miały.
Już dwakroć otrząsnąwszy kudły, Buccio mały,
Swywołnie się na miękkiej rozciągał pościeli,
Bezsenni kochankowie nawet się ocknęli;
I w zegarku młoteczek za popehnięciem ręki
Dwanaście razy srebrne powtarzał już dźwięki.

Belinda jeszcze wpośród puchów oczy zmruża,
Sylf który ją pilnował spoczynek przedłuża:
On to poduszczył marę ułudzać gotową.
W śnie porannym co nad jej ulatywał głową,
Widziała kawalera wysmukłej urody,
(Który choć we śnie, wstydem okrył jej jagody)
Czuła jak do jej uszu schyliwszy się modnie
Tak jej szeptał, czy szeptać zdawał się łagodnie:
„Najpiękniejsza z śmiertelnych! starań celu drogi
„Powietrznych duchów, co się liczą między Bogi,
„Jeżlić kiedy w dzieciństwie wrazenie sprawiły
„Prawdy, co ci piastunki i mamki prawły
„O duszach, o chodzącym bez głowy upiorze,
„O widzianych djabełkach w niemieckim ubiorze,
„O aniołach co z głową promieniami okrytą,
„W pociemku do panierek przychodzą z wizytą;
„Słuchaj pilnie i słowom moim wiarę dawaj,
„Gardź marnością i własną ważność swą poznawaj.
„Są tajne prawdy, pysznym mędrcem zabraniane,
„Przecież pannom i dzieciom śmieje objawiane;
„Bo temu co filozof kładzie w bajek rzędzie,
„Młoda panna i dziecko łatwo wierzyć będzie.
„Wiedz, iż wojsko powietrzne nieznane od świata,
„Tum duchów niezliczonych w koło ciebie lata,
„Nikt ich nie widzi, przecież ulatując górą,
„Wznoszą się nad wachlarzem, krążą nad fryzurą.
„Wiedz, iż w obłokach liczysz służby znamięniste,
„I patrz z pogardą na dwóch paziów i karytę.
„Jak wy, jestestwa nasze tak dziś niepojęte
„Były niegdyś w postaciach kobiecych zamknięte,
„Ztamtąd my się wznosimy kształty wzięwszy nowe,
„Z poziomych karyolek w pola lazurowe;

„Nie myśl, kiedy kobiecie śmierć oczy zawiera,
 „Że skłonność jej i próżność razem z nią umiera:
 „Z góry spogląda ona na świat rozpostarty,
 „I choć już sama nie gra, przecież patrzy w karty.
 „Jeżeli w życiu naprzykład lubiła walcować,
 „Smak ten równie po śmierci pewna jest zachować,
 „Gdyż dusze kobiet, kiedy z ciałem się rozstają,
 „Co prędzej do pierwotnych żywiołów wracają:
 „Duchy dam pałających, i w lecie i w zimie
 „Idą w górę i biorą Salamander imię.
 „Przeciwnie duch słodziuchnej, w wodę się rozplywa
 „I z Nimfami przedwieczną herbatę nalęwa;
 „Ta co w życiu gardziła słodyczą kochania,
 „Idzie pomiędzy Gnomy w podziemne mieszkania,
 „Podczas kiedy kokietka w wesołych podskokach
 „Trzepiocze się z Sylfami po górnych obłokach.
 „Wiedz jeszcze, iż która z was czystość niezmazaną
 „Dochowa, bywa za to od Sylfów kochaną;
 „Ci bowiem żyjąc bez praw, od ludzi swobodniej,
 „I płeć i kształty biorą jak im najwygodniej.
 „Któż strzeże czystość panien młodych, nieprzezornych,
 „Podczas balów, pikników i redut wieczornych?
 „Kto je strzeże, gdy tysiąc trzpiotów niebezpiecznych
 „Prawi im dzikie duby o ogniach statecznych,
 „Kiedy sposobna pora czułość ich zniewala,
 „Gdy muzyka rozrzewnia, a taniec zapala?
 „Kto strzeże jeżeli nie Sylf, na kim to spoczywa?
 „Przecież się to na świecie honorem nazywa!
 „Są Nimfy wiernie o swych wdziękach uprzedzone,
 „Za życia w ślubne związki Gnomom przeznaczone;
 „Przez nich one szaloną zajęte próżnością
 „Przebierają w małżonkach i gardzą miłością,

„Tłumem dzikie projekta chodzą im po głowie,
 „Snią im się tylko sami książęta, hrabowie;
 „Już jeżdżą sześcią koni karetą zaprzężną,
 „Już im się zdaje, że je zowią mością księżną:
 „Przez nich wcześniej zepsucie sere kobiet się ima.
 „Oni uczą kokietki jak rzucać oczyma,
 „Jak i kiedy panienki mają się rumienić,
 „I jak należy fraki i halsztuki cenić.
 „Często gdy świat rozumie, że kobiety błędzą,
 „Właśnie wtenczas Sylfowie krokami ich rządzą;
 „Z ścieżek zawitych oni je wyprowadzają,
 „I dawne ich trzpiotostwo nowem naprawiają.
 „Jak dar mogłaby dama odrzucić bez żalu,
 „Gdyby drugi kawaler nie dał dla niej balu?
 „Jakby była nieczułą na Leandra wdzięki,
 „Gdyby zalotny Damon nie ścisnął jej ręki?
 „Oni to broniąc, w ludzkie by nie wpadła siła,
 „Rozrywają jej próżność przez setne bawidła.
 „Gdy fryzura fryzurę, frak na frak nalega,
 „Gach gacha, a karetą karetę wybiega;
 „Nie jeden z błędnych ludzi, lekkością to zowie,
 „O ślepoto! wszystko to zrzadzają Sylfowie.
 „Z tych to ja jestem, który względów twoich wzywam,
 „Duch czujny, przywiązany, Arjel się nazywam.
 „Wczoraj kiedym powietrzne przelatywał pole,
 „W czystym zwierciadle gwiazdy rządzącej twe dole
 „Widziałem, ach niestety! iż srogie zdarzenie,
 „Spotkać cię ma nim słońce zgasi swe promienie:
 „Nieba nie objawiają co, i jak, i kędy?
 „O czysta panno! lubo strzedz cię będę wszędy,
 „Bądź czujną, zaklinam cię, ujrysz nie naprózno,
 „A nadewszystko względem mężczyzn bądź ostrożną.“

Rzekł: gdy Bufeo, co spaniem tak długiem się znudził,
Zaszczekał i językiem panią swą obudził;
Wtenczas Belinda, jak to nosi powieść szczerą,
Oczy naprzód na słodki bilecik otwiera:
Ran, wdzięków i płomieni nie przeszła połowy,
Gdy całe snu widzenie zniknęło jej z głowy.

Ale już gotowalnia błyszczy na stoliku,
Stoją srebrne naczynia w doskonałym szyku,
Ubrana w bieli Nimfa włosy swe odkrywa,
I naprzód pomocy władz światowych wzywa;
Cudny obraz w zwierciadle już się okazuje,
Do tego oczy wznosi i ten adoruje.
Kapłanki przy ołtarzu bojaźnią przejęte,
Drżące, stroju obrządki zaczynają święte.

Skarby świata całego razem zgromadzone,
Uderzają swym blaskiem oczy zadziwione;
Te ona z pracą dosyć ciekawą dobywa,
I błyszczącami dary Boginię okrywa,
Indu drogie kamienie lśnią się w tej skrzyneczce,
Wonie smugów arabskich tehną w dalszej puszczyce,
Szykret i kosć słoniowa przez zręczne złączenie
Przemieniają się w sztuce i duże grzebienie;
Tu szpilki wyciągają szeregi kołące,
Muszki, puder, pomada i wody pachnące;
Nimfa za każdym do nich pociąganiem ręki
Wzrasta w piękność i coraz pomnaża swe wdzięki,
Śmiech i smutek na każdy przypadek gotuje,
I wszystkie twarze swojej cuda wywołuje;
Widzi jak się rumieniec stopniami rozszerza,
I jak blask oczu co raz to żywiej uderza.
Zatrudnieni Sylfowie kręcą się w około,
Ci fryzują, ci z pudru ocierają czoło,

Ci wkładają trzewiki, tamci puff wyniosły,
A za prace ich panny pochwałę odniosły.

P I E Ś Ń II.

Nie z takim blaskiem słońce wśród złotych promieni
Na czystej oceanu wznosi się przestrzeni,
Z jakim rywalka jego liczne wiodąc grono,
Na jasnym wód Tamizy spuściła się łono;
Orszak Nimf i młodzieży w około się tłoczy,
Lecz wszystkich na nią jedną obrócone oczy:
Na piersiach krzyż z brylantów tak miała świecący,
Iż żyd mógł go całować, cześć turczyn bluźniący.
Żywy doweip oznacza wzrok luby i śmiały,
Tak bystry jak jej oczy, jak one niestały:
Uśmiech wszystkim, wzgląd komu okazać, uważa,
Często odrzuca, ale nigdy nie uraża.
Jaśniejąca jak słońce, miłość w wszystkich wznieca,
I jak słońce zarówno dla wszystkich przyświeca.
Słodycz, lube ruszenie, wdzięk w spojrzeniu miły,
Mogłyby ukryć wady, gdyby jakie były;
Jeżeli błędy niewieście odkryć ci w niej snadno,
Spojrzyj na twarz, a wszystkie z pamięci wypadną.

Nimfa ta na nieszczęście ludzkiego plemienia
Wychowała dwa pukle, co jak od niechcenia
Gdy każdy równym krętem w pierścienie się wije,
Spadając razem śnieżną okrywały szyję;
W tych to puklach swych jeńców miłość trzymać zwykła,
Ileż to w słabszych więzach sere możnych się wikła!
Włosianem sidłem lotne ptastwo oszukujem,

Rzutkie ryby włosianą wędką podchwytyjem,
W ciemne włosy mocarze nieraz się chwytały,
I piękność jednym włoskiem prowadzi świat cały.

Śmiały Baron z chciwością na pukle pogląda,
Już przepada nad niemi, już je zdobyć żąda,
Gotów na wszystko, by czyn spełnić świętokradzki,
Myśli czy użyć siły, czyli też zasadzki;
Bo kochanek gdy dopnie żądanej zdobyczy,
Mocą dopiął, czy zdradą, za jedno się liczy.

Z tych przyczyn jeszcze cienie nie zniknęły noey,
On wzywa bóstw przyjaznych łaski i pomocy,
Lecz szczególnież miłości; u tej wsparcia prosi,
Miłości, świata pani, pyszny ołtarz wznosi
Z napisanych w karnawał świeżo kontredansów,
I z dwunastu francuzkich potężnych romansów.
Na nim dawne trofea kładzie na ofiarę,
Trzy podwiązki i jedną rękawiczkę starą,
Stos zapala biletą, a czułe westchnienie
Wzniesła ogień, i w górę podnosi płomienie;
Sam potem padłszy na twarz, gorącemi modły
Prosi bóstwa, by mu się zamysły powiodły,
By pukle, które pragnie nad życie przekładać,
Mógł co prędzej pozyskać i długo posiadać;
Bóstwo próśb tych połowę łaskawie przyjmuje,
Reszta na czczem powietrzu z wiatrem ulatuje.

Tymczasem bat ozdobny bezpiecznie już płynie,
Drżą słoneczne promienie po szklanej równinie,
Podezas kiedy muzyka przy powiewnym chłodzie,
W przytłumionych odgłosach gubi się po wodzie:
Zefir łagodnym tchnieniem ciche nurty dzielił,
Belinda się rozśmiała.... świat się rozweselił:
Wszyscy mówią, prócz Sylfa.... ten siedząc stroskany,

Z ciężkim zalem przegląda traf przepowiedziany,
Zwołuje towarzyszków i maszty złociste
Okryły małych niebian hufce przeźroczyste;
Szmer ich lekki szerzy się od sztaby do styru,
A siedzący mniemają że to szmer zefiru.

Ten maleńkie skrzydełka przed słońcem roztacza,
Ów w złocistym promieniu piórka swoje macza:
Kształty nazbyt subtelne dla ludzkiego wzroku,
Płynne ich ciała nikły w światłości potoku;
Okrycia ich, Jutrzenka bogatemi wzory
Utkała z swych promieni w rozliczne kolory,
Szaty lekkie wznosząc się z zefirów połotem,
Lśniły się lazurami, purpurą i złotem.
Wśród tych hufców Ariel na maszcie siedzący
I całe zgromadzenie głową przechodzący,
Roztoczywszy przed słońcem skrzydła purpurowe,
Z buławą w rękę tak swą rozpoczyna mówę:

„Sylfy, Sylfowe, Widma, Wróżki, Geniusze,
„Słuchajcie mnie wy wszystkie górnych mieszkań dusze!
„Wiecie, iż liczne sfery, i w nich obrót rzeczy,
„Wiecznemi prawy waszej oddane są pieczy;
„Jedni nad przeźroczystych pól wzniosłszy się brzegi,
„Kierują licznych światel obłąkane biegi;
„Ci na niebios przestrzeni przez szlaki bez mety,
„Toczą w nocnem milczeniu ogromne planety;
„Ci ukryci za bladym księżycu promieniem,
„Gonią gwiazdy, przed nocy uchodzące cieniem:
„Inni mgły, i wilgotne chmury rozpędzają,
„Albo w bławatach tęczy piórka swe maczają,
„Lub Oceanu gromią bałwany zhukane,
„Albo sączą na role deszcze pożądane.
„Drugim rządy nad ziemią zleciły wyroki,

„Oni kierują ludzkie i sprawy i kroki,
 „Czuwają nad królestwy, i potężną dłońią
 „Tron wielkiej Brytanii wspierają i bronią.
 „Mniej chlubne, lecz nierównie słodsze powinności
 „Nam przypadły w udziale.... pilnować piękności:
 „Strzedz, by wiatry z fryzury pudru nie zdmuchały,
 „By zapachy pomady prędko nie wietrzały;
 „Wyciągać świeże farby gdy się róża płoni,
 „I zbierać każdą kroplę, co zorza uroni:
 „Trefić w gęste pierścienie włosy spadające,
 „Układać wszystkie miny i śmiechy łudzające.
 „Co mówię! do nas we snach dawać im przestrogi,
 „Jakie wstążki do twarzy, i jak muślin drogi?
 „Dziś oznaki co nigdy napróżno nie wróżą,
 „Ulubionej Belindzie srogim trafem grożą:
 „Gdzie to nieszczęście, kiedy, jak ma być zdarzone?
 „Na to wyroki ciemną rzuciły zasłonę:
 „Czyli Nimfa Dyanny przestąpi ustawy,
 „Czyli też filiżanka stłuc się ma od kawy,
 „Czyli splami swój honor, lub dezabil który,
 „Albo też w kontradansie zapomni figury,
 „Czy serce lub podwiązkę zgubić ma na balu,
 „Czyli nagła śmierć Buфеia źródłem ma być żalu? —
 „Nie wiemy. Niech więc każdy na miejscu swem staje:
 „Straż nad wachlarzem tobie Zefiretto daję,
 „Ty Brylantko pierścionków nie odchodź i kroku,
 „Momentylla zegarek niechaj ma na oku,
 „Tobie zdaję Kryspisso pukle faworytne,
 „Sam zaś Ariel dowodzić będzie szyki bitne.
 „Stu najmeźniejszym Sylfom w zbrojach i przyłbicy,
 „Ważną straż powierzamy, straż mówię spodnicy;
 „Nie jeden nas naucza przypadek zbyt srogi,

„Że choć je wielorybie otaczają rogi,
 „Choć je bronią falbany najmocniej przyszyte,
 „Przecież niestety! szturmem bywają dobyte.
 „Tej więc strzeżcie hufcami od góry do spodu,
 „I w koło rozległego pilnujcie obwodu.
 „Gdyby się który z duchów gdzie zabałamucił,
 „Uchybił w służbie, albo Belindę porzucił;
 „Padnie ofiarą słusznej zemsty i pokuty:
 „Zamknięty do flaszeczki, lub szpilkami skłuty,
 „Lub w morzu, gdzie blondyny piorą, zanurzony,
 „Lub w uszku od igiełki wiecznie osadzony;
 „Napróżno skrzydełkami zechce się dobywać,
 „Lipka pomada będzie lot jego wstrzymywać,
 „Lub gryzących ałunów roztopione zdroje,
 „Członki dzisiaj tak gibkie skurezą mu we dwoje;
 „Lub z Iksyonem w jednym postawiony rzędzie,
 „Kamień w młynku od kawy wiecznie dźwigać będzie.
 „Albo się palic w dymie czekolady wrzającej,
 „I drzeć na widok fali pod sobą huczającej.“
 Rzekł, i duchy wraz żagłów opuszczając brzegi,
 Otaczają Boginię gęstemi szeregami;
 Ci włosy jej zwijają u góry i z boku,
 Ci na koleczykach, owi siadają na toku:
 Z okrutnem biciem serca, i wpośród milczenia,
 Niespokojni czekają na los przeznaczenia.

P I E Ś Ń III.

Wśród smugów, blaskiem kwiatów ujmujących oczy,
 Kędy pyszna Tamiza nurty swoje toczy,
 Jest gmach wspaniały, szczyty w niebo wzbijający,

Od bliskiego Hamptonu ¹⁾ nazwisko biorący.
 Tam ministry przygody wcześniej przewidują,
 Co im żony lub obce mocarstwa gotują:
 Tam ty Anno, co rządisz królestwa bogate,
 Zjeżdżasz czasem na radę, czasem na herbatę.
 Do tego miejsca Nimfa z bohaterki swemi
 Zawija, by się cieszyć zabawy dworskimi;
 W rozmowach pożytecznych już pędzą godziny:
 Kto dał bal, z jakiej Dorys choruje przyczyny?
 Ten królowej wychwałę zwyciężkie podbicia,
 Ów piękność opisuje chińskiego obicia;
 Inny w dziejach miłosnych zdanie swe otwiera,
 A w każdym słówku honor kobiety umiera.
 Wśród rozmowy wachlarze przerwy napełniali,
 Albo migi, spojrzenia, śmiechy i tam dalej....

Już słońce przebiegając pochyłe niebiosą,
 Strzały swe na doliny miotając z ukosa,
 Zgłodniały Sędzia, spiesząco przestępnego z nędzy
 Szle już na szubienicę, żeby jeść czem prędzej;
 Kupiec z giełdy do domu spokojnie powraca,
 I długa gotowalnia kończyła się praca;
 Kiedy Belinda nowej chwały nabyć chciała,
 Co przedniejszych rycerzy do lombra wyzywała,
 W lombra z nimi rozstrzygać pragnie ważne spory,
 I świetnemi już wcześniej cieszyć się zabory.
 Trzy Banda ku dzielnemu stają przedsięwzięciu,
 I każde bando z liczby złożone dziewięciu:
 Skoro ręce podniosła, wraz powietrzne warty
 Zleciały i osiadły najważniejsze karty.

¹⁾ Hamptoncourt, dom królewski w bliskości Londynu nad Tamizą.

Ariel jako wódz wszystkich siadł na matadorze,
 Drudzy stósownie do rang w wojsku i przy dworze;
 Sylfy bowiem pamiętne, że damami byli,
 Choć w nowych kształtach, strasznie pierwszeństwa lubili.

Patrz, oto czterech królów wspaniałej urody,
 Z potężnemi wąsami i gęstemi brody;
 Przy nich cztery królowe, mają kwiaty w ręku
 Na znak lubej słodyczy, czystości i wdzięku.
 Dalej czterech waletów w ozdobnych kurteczkach,
 Z dużemi berdyszami i w małych czapeczkach:
 W rozmaitych mundurach liczne pułki bitne,
 Wyciągają do boju w pole aksamitne.

Piękna Nimfa przejrawszy wojenne swe siły,
 Rzekła: niech piki świecą, i piki świeciły.
 Już podobne murzynom czarnemi ubiory,
 Wysłała na zaczepkę niższe matadory;
 Naprzód Spadillo na harc wyjeżdżając w pole,
 Własną ręką dwie kozer zabiera w niewolę;
 Manill, którego w męstwie inny nie przesadzi,
 Zwycięzca, tyleż drugie za sobą prowadzi.
 Za nim Basto, ten chociaż walczy równie szczerze,
 Prostą kartę, i jedną kozer tylko bierze.
 Król Jegomość pikowy z szablą obosieczną,
 Lubo wiekiem podeszły, w walkę niebezpieczną
 Wdaje się, i już naprzód stawia jedną nogę,
 Resztę ciała ubiory zakrywają mnogie.
 Walet nań godzi, łącząc zuchwalstwo z niewiarą,
 Ale wraz najjaśniejszej padł zemsty ofiarą;
 Rycerz nawet, co śmiałków zuchwalstwo przykraca,
 Który królów, a nawet królowe wywraca,
 O smutny losie wojen! wśród rozbitych szyków
 Upada pod ciosami rozjuszonych pików.

Tak Belinda gromiła wszystkie przeciwniki,
Ale już Baron wie dzie swoje wojowniki:
Szanowna uczestniczka korony pikowej,
Waleczna amazonka wśród tej walki nowej,
Treflowego tyrana ręką własną ścina;
Niewiele mu pomogła barbarzyńska mina,
Ani blask jaśniejącej na głowie korony,
Długie nogi rozciąga, a płaszcz rozrzucony
Więcej sześć calów miejsca łałdami zabiera,
Tyran zgrzyta zębami, i bluźniąc umiera.

Dalej Baron posuwa chorągwie kierowe,
Króla co tylko twarzy widać mu połowę,
Z nim szanowną małżonkę; tych siły złączone
Znoszą już bez oporu szyki rozproszone.
Widziano w tej porażce, pod krwawem żelazem
Trefle, kara i kiery padające razem.
Tak gdy w polach spalonych Azyi, Afryki,
Pomieszane pierzchają barbarzyńców szyki,
Ściga je Europejczyk okrutnemi ciosy,
Hufiec pada na hufiec. i stosy na stosy;
Okrywają plac bitwy, i góry i zdroje,
Różnych kolorów twarze, ubiory i zbroje.

Wtem już walet karowy, co próżno nie godzi,
Chytrym manewrem kieru królowę podchodzi;
Nieszczęsna monarchini, bez żadnej obrony,
Widząc iż kodyll na nią otwierał swe szpony,
Blizkim zgonem strwożona, na poły omdlewa;
Już pot śmiertelny blade czoło jej okrywa,
Gdy w tymże samym razie (bo któż to zaprzeczy,
Iż w bitwach jeden obrot zmienia postać rzeczy)
As kierowy wychodzi: lecz król zaczajony,
Wskróś żałością przejęty nad nieszczęściem żony,

Pełen zemsty, olbrzymim krokiem pole zmierza,
I jak piorun na Asa śmiałego uderza:
Piękna Nimfa radośnie okrzyki wydaje,
Powtarzają je łąki, kanały i gaje.

O niebaczni śmiertelni, i zawsze zbyt teczni!
Nieszczęściem wraz zrażeni, w szczęściu zbyt bezpieczni,
Wkrótce zniknie ta radość i zwycięskie sprawy,
I wiecznie przeklinanym będzie dzień ten sławy;
Oto już okrywają stolik liczne czary,
Brzęczą łyżeczki, śnieżne błyszczą się kanary.
Wśród Japońskich imbryczków, i tac i lichtarzy,
W srebrnej lampie już tęgi spirytus się żarzy,
Z srebrnych rurek obficie już w Chińskie naczynie,
Okryty wonną parą wdzięczny napój płynie;
Pijący smak i zapach razem nasycają,
I częstem nalewaniem rozkosz przedłużają:
Krażą w około Nimfy szwadrony skrzydlate,
Ci, gdy nalewa, chłodzą gorącą herbatę;
Inni stokroć im droższą nad oka źrenicę,
Troskliwemi piórkami okryli spodnicę.

Kawa, która statystów tak czyni mądrymi,
Iż wszystko widzą oczy na pół zmrużonemi,
Posyła z swym waporem w mózg Lorda zagrzany,
Fortel, jakim ma zdobyć pukiel pożądaný.
Ach! poprzestań młodzieńcze zuchwałej swywoli,
Lękaj się gniewu Bogów i Seylli niedoli!
Ta w ptaka przemieniona, żałosnemi głósý
Opłakuje porwane Nizusowi włosy.

Lecz kto raz się odważy na czyny złośliwe,
Łatwo znajdzie ku temu narzędzie właściwe:
Właśnie wtenczas Klaryssa co wszystko przenika,
Oreż z dwoma końcami dobywa z sztuczcyka.

Tak kobiety w romansach, wierne swe rycerze
 Uzbrajają w kopije, hełmy i pancerze.
 Baron dar ten przyjmuje w przyzwitym względzie,
 I na dwóch palcach ostre rozciąga narzędzie:
 Z nim za krzesło Belindy ukradkiem się zbliża,
 Gdy ona nad herbatą głowę swoją zniża,
 Tysiąc duchów natychmiast na pukiel zlatuje,
 Tysiąc skrzydeł zdmuchnąć go na bok usiłuje;
 Trzykroć łechcąc ją w ucho zdradę ostrzegały,
 Trzykroć się obejrzała, trzykroć Lord zuchwały
 Bliżej jeszcze podstąpił: w tej właśnie minucie
 Ariel baczny na każde Nimfy swej uczucie,
 Gdy przy piersiach schylony na bukiecie siedzi,
 I najskrytsze jej myśli bystrem okiem śledzi
 Postrzegł, czego się nigdy wprzód nie spodziewał,
 Ze się ziemski kochanek w sercu jej ukrywał:
 Zdziwiony, zawstydzony nad takim widzeniem,
 Poruczywszy ją losom uleciał z westchnieniem.

Wtenczas Lord otwierając nożyczki świecące,
 Zajmuje wśród żelazek włosy wonią tęnące;
 Lecz i tu nim się koniec na koniec zakłada,
 Jeszcze jeden Sylf ślepo pomiędzy nie wpada,
 Los co naglił machinkę, Sylfa w pół rozdwaia,
 Ale istność powietrzna wraz się znowu spaja:
 Podczas gdy pukiel z całą uciętą osnową,
 Rozstaje się na wieki z pięknej Nimfy głową.

Jak blask piorunu Nimfa zbrodnię tę postrzega,
 I krzyk okropny w całej sali się rozlega;
 Nie takie się do nieba wznoszą narzekania,
 Gdy piesek zdycha, albo mąż bliski skonania,
 Lub saska filiżanka spadająca z góry,
 Rozbija się w kawałki o twarde marmury.

Kładźcie laury zielone w około mych skroni!
 (Woła zwycięzca:) oto włosy już w mej dłoni.
 Dopóki ptastwo będzie po drzewach się gnieździć,
 I kobiety w wysokich karyolkach jeździć,
 Dopóki się romanse czytać nie przestaną,
 I spódnice się będą otaczać falbaną,
 Dopóki Nimfy sławne z bogaetw i urody,
 Brać u kupców na kredyt będą wszystkie mody,
 Póki w dzień balu lustra goreć będą wszędzie —
 Póty me imię, honor i sława żyć będzie.
 Gmachy co czas oszczędził pod stałą się kruszą,
 Jak człek tak dzieła jego ulegać jej muszą:
 Stal Bogów nieśmiertelnych zniszczyć mogła znoje,
 I obrócić w perzynę świetną niegdyś Troję:
 Stal, znaki pychy ludzkiej, twardych głazów brzemie
 Tryumfalne kabłonki wywraca na ziemię,
 I jakież dziw Belindo, że twe piękne włosy,
 Pod stali okropnemi ledz musiały ciosy?

P I E Ś Ń IV.

Ale srogi niepokój i gniew z udręczeniem,
 Nieszczęsną Nimfę tajnym pożerał płomieniem.
 Ni młody rycerz w boju gdy koń mu się zwije,
 Ni smutna panna kiedy wdzięki swe przeżyje,
 Ni czuły amant gdy się w nadziejach zawodzi,
 Ani stara Konteska gdy marszczek znachodzi,
 Ani krwi cheiwy Tyran, gdy bluźniąc umiera,
 Ni Kloe kiedy w tańcu fartuszek rozdziera —

Nie przeklinały z taką rozpaczą swych losów,
Jak ty smutna Belindo porwanie twych włosów!

Skoro tłum Sylfów pukła nie zdołał ocalić,
I zapłakany Ariel musiał się oddalić;
Los Nimfy zostawując biegowi natury,
Umbriel duch zasepiony, smutny i ponury,
Spuszcza się w środek ziemi, do ciemnej jaskini,
Kędy zmarszczona splinu mieszkała Bogini.

Na okopconych skrzydłach Gnom ciężki przybywa
W pieczary, które gęsta mgła zewsząd okrywa,
Nigdy krain tych Zefir nie chłodzi wesoły,
Gęsta para napełnia nieszczęsne padoły;
Tam w grocie cieniem zewsząd okrytej zawisnie,
Kędy promień słoneczny nigdy nie zabłyśnie,
Smutna Bogini na swem łożu wiecznie wzdycha;
Migrena przy jej głowie, obok boleść cicha.
Przy tronie zastał damy honoru stojące,
Równe urzędem, ale twarzą się różniące:
Tu stała zła natura, nakształt panny starej,
Z czołem w marszczki porytem i w zastanie szarej;
W rękę miała modlitwy i różańców trzosi,
A na piersiach obmowy i paszkwilów stosi.

Dalej Affektacja, tej w schorzałej minie
Kwitną róże, jak w roku szesnastym dziewczynie,
Nauczona szeptanie i jak głowę schylać,
Jak poważnie omdlewać, i jak się przymilać;
Członki jej niby słabe, lecz w istocie zdrowe,
Tłoczyły od niechęcenia wezgiłowia puchowe:
Damy nasze chorobę zwykły cierpieć taką,
Gdy u rywalki nowe postrzegą Karako.

Gęste chmury nad gmachy panują smutnemi,
Dzikie widma z mgłą razem podnoszą się z ziemi,

Straszne jak pustelników odludnych widzenia,
Lub świetne, jak gasnących panien zachwycenia:
Raz smoki ogniem teńjące i jędze zażarte,
Płomienie, blade trupy i groby otwarte;
Znów sceny elizejskie, przezroczyste zdroje,
Latające aniołki i złote pokoje.

Tam omackiem błakał się tłum ciał niezliczonych,
Mocą splinu w postaci różne przemienionych;
Tu stoi imbryk żywy: lewa ręka zgięta
Udaje uszko, rurkę prawa wyciągnięta;
Tu jak trójnog Homera, rądelek wypada,
Tam wzdycha filiżanka, a tu pasztet gada.
Mężczyzna mniema, że płód w żywocie swym nosi,
Panna sądzi się flaszka i o korek prosi.

Gnom przez widma tak dzikie i durzące wiecznie,
Woniami okurzony przechodzi bezpiecznie,
I tak mówić zaczyna: „Dziwaczna królowo!
„Która rządzisz plecią piękną, i mężczyzn połową;
„Piękna matko waporów, ty co przez gradusy
„Wzbudzasz w ludziach żółtaćki, lub wierszów raptusy;
„Ty co sprawiasz, że podług skłonności i mody,
„Jedni biorą enemy, drudzy bazgrzą ody;
„Która dajesz głupiemu postać zamyśloną,
„I oddalasz od świata dewotkę skwaszoną —
„Jest Nimfa co pogardza twą władzą Bogini,
„Sama wesoła, drugich wesołymi czyni;
„Lecz przebóg! jeżeli Gnom twój, dla samej zabawki
„Na pięknych ustach umiał wywodzić brodawki,
„Jeżeli zwiędłym matronom przez sposoby nowe
„Umiał ogniem zapalać twarze cytrynowe,
„Jeżeli mniemane rogi na głowach budował,
„Miał spodnice, gniótl kółka i fryzury psował,

„Lub wzniecał podejrzenia gdzie nie było winy,
 „I rozwodził małżeństwa bez żadnej przyczyny;
 „Jeżli pieskowi umiał zatwardzenie sprawić
 „Tak, iż płacz pięknych oczu nie mógł go wybawić;
 „Słuchaj mię: racz w Belindzie smutek taki wzbudzić,
 „By splinem swoim mogła świat na śmierć zanudzić.“ —

Bogini poziewając od ucha do ucha,
 Zdaje się, że odmawia, gdy łaskawie słucha
 Prośb jego; i natychmiast wór mu daje duży,
 W jakim Ulisses wiatry chował w swej podróży;
 W nim zamyka kobiece wapory i mdlenia,
 Choroby śledzion, swary, łkania i westchnienia,
 Nadto wlewa w flaszeczkę tajemnice pewne,
 Słodkie gniewy, boleści, zale i łzy rzewne:
 Gnom radością przejęty odbiera te dary,
 I leniwym polotem opuszcza pieczary.

W ręku Talastris Nimfę zastaje zemdloną,
 Z rozpuszczonemi włosy i głową zwieszoną;
 Natychmiast nad obiema wypróżnia wór cały,
 Wraz z niego wszystkie jedzę na wiatr wyleciały;
 Belinda gniewem więcej jak ludzkim się żyzma,
 A Talastris wachlarzem ogień ten rozdyma.
 „O nędzna panno, woła, o losy nieżnośne! —
 „O nędzna panno, (echa powtarzają głośnie):
 „I na toż z taką pracą, z takimi nakłady,
 „Skupowałaś grzebień, szpilki i pomady,
 „I na toż w papiloty pukle twe włożone,
 „Rozpalonem żelazkiem bywały pieczone?
 „Na to żeś je troskliwie czypkim nocnym kryła,
 „I boleść tapierowań odważnie znosiła?
 „O nieba! bądźże zdrójca zdobycz swej niecnoty
 „Pokazywał przed światem, by się śmiały trzpioty!

„Honor wzdryga się na to; kobieta niewinna,
 „Temu swe życie, wszystko poświęcić powinna.
 „Ach czemuż jeszcze żyję po takiej obłudzie!
 „Już słyszę dzikie rzeczy co gadają ludzie,
 „Już widzę jak od wszystkich jesteś opuszczona,
 „I jak w każdym poszepecie sława twoja kona;
 „Jakże mam bronić twojej tak ciężkiej urazy?
 „Gdy być twą przyjaciółką nie mogę bez skazy!
 „I bądźże dar ten drogi, dar ten znamienity,
 „By go lepiej widziano, kryszałem okryty?
 „Bądźże blaskiem kamieni otoczony wiecznie,
 „Na świętokradzkiej ręce błyszczeć się bezpiecznie?
 „Ach prędzej niechaj trawa rośnie po rejtzuli,
 „I mankietki przyszywa Turczyn do koszuli:
 „Niech wprzód Chaos, niech potop świat zalewa drugi,
 „Niech ginie wszystko: małpa, człek, pies i papugi.“

Rzekła: i zagniewana do Ser-Pluma wpada,
 I by pukiel odebrał powinność nań wkłada;
 Thusty Ser-Plum, w którego pudlowatej twarzy
 Wewnętrzna satysfakcja z głupstwem się kojarzy,
 Z uśmiechem patrząc na swój pierścień brylantowy,
 Idzie, rozkazy damy wypełniać gotowy;
 I gdy po tabakierce swej palcami stuka,
 Tak zaczyna: „Milordzie, co znów u kaduka?
 „Fuj do diabła.... porzuć waś.... i co to za zarty?
 „Przekłęty pukiel.... słuchaj.... a nie bądź uparty,
 „Sznelma jestem.... bądź grzecznym dla tej nieboraczki,
 „No, oddaj włosy....“ skończył i zażył tabaczki.
 „Niezmiernie ubolewam, rzekł mu Lord wzajemnie,
 „Iż kto tak jest wymownym mówi nadaremnie;
 „Ale przysięgam na ten pukiel ulubiony,
 „Co nigdy z resztą włosów nie będzie złączony,

„Że póki nie przestanę tchu nosem mym ciągnąć,
„Nie oddam tego, com raz potrafił osiągnąć.”
Rzekł tonem tryumfalnym, i pychą nadętą
Potrząsał na powietrzu pukiel rozwinięty.

Lecz Umbriel Gnom złośliwy, w zawziętym zapale.
Tłucze fiaszeczkę i z niej rzewne leje zale;
Natychmiast Nimfę smutek ogarnia głęboki,
Zemdlone oczy sączą czułych łez potoki,
I gdy na śnieżnych piersiach głowa jej spoczywa,
Tak narzeka, a mowę płacz częsty przerywa.

„Niech na wieki przeklętym będzie dzień ten srogi,
„W którym nieszczęсна pukiel straciłam mój drogi,
„Tysiąc, ach tysiąc razy! szczęśliwszą bym była
„Gdybym do Hamptonkurtu nigdy nie jeździła:
„Nie jestem wprawdzie pierwsza kobieta zwiedziona,
„I nie pierwsza w przepaści dworów pogrążona.
„Czemuż tę trochę wdzięków ukrywając wiecznie,
„Na dzikiej jakiej wyspie nie żyłam bezpiecznie,
„Gdzie nie jeżdżą karety, ni płyną baty,
„Kędy nie grają w Lombra, ni piją herbaty?
„Tambym żyła nieznając co młodzież nieszczera,
„Jak róża co w pustyni kwitnie i umiera.
„I cóż mię przywieść mogło z Lordami się włóczyć?
„Nie lepiej było w domu papugę mą uczyć!....
„Okropne, niesłychane znaki od poranka
„Wróżyły to nieszczeście: chińska filizanka
„Wśród smutnego trzęsła się sama przez się brzęku,
„Puszczał z różem trzykroć wypadła mi z ręki,
„Co mówię? Bufoio nosił ogonek zwieszony,
„I kanarek na prątku siedział napuszony;
„Sylf we śnie przepowiadał przypadek tak srogi,
„Niebaczna! głuchą byłam na jego przestrogi!

„Patrzcie na drugi pukiel smutnie pozostały;
„Niegdyś on z bratem swoim gdy nieba sprzyjały,
„Wijąc się z tokiem wdzięcznym w pierścienie lubieżne,
„Zdobił nową pięknością piersi moje śnieżne;
„Dziś smutny siedzi, światłem słonecznem się brzydzi,
„I w zgonie towarzysza zgon już własny widzi.
„O okrutny, gdy taka była wola losów,
„Czemuś już mniej widocznych nie ustrzygł mi włosów?”

P I E Ś Ń V.

Rzekła, i rozrzwieni mową jej słuchacze
Długo szerzyli ciężkie jęki swe i płacze,
Ale uszy Barona zatkały wyroki,
Nie zmiękczyło się serce twardsze od opoki,
Ni to gniewem Talastris, ni Belindy łzami.
Tak niegdyś nad wspaniałej Kartagi brzegami,
Na płacz Anny, na rozpacz Sydońskiej Dydony,
Wierny Bogom Eneasz stał nieporuszony.
Wtem poważna Klaryssa wachlarzem się chłodzi,
I gdy się uciszono tak gniewy łagodzi:
„Powiedźcie z jakich przyczyn w całym prawie świecie,
„Mężczyźni hołd oddają nadobnej kobiecie?
„Czemu morza i ziemi okryta darami,
„Nazywana aniołem, czczona z aniołami?
„Czemu kiedy w karecie jedzie po ulicy,
„Rojami się w koło niej tłoczą zalotnicy?
„Chlubny zaszczyt zaiste! ale wtenczas trwały,
„Gdy rozum utrzymuje, co wdzięki zyskały;
„I świat powie, gdy nam się siedzieć w łoży zdarzy,

„Patrz, oto pierwsza z cnoty, równie jak i z twarzy.
 „O gdyby dosyć było noc całą walcować,
 „Zeby się od starości i ospy uchować,
 „I którażby z nas chciała wiecznie być nudzoną,
 „Jak należy być dobrą i matką i żoną?
 „Wtenczas dosyćby było ciągle się weselić,
 „Pstrzyć się różem, muszkami, a nawet się bielić.
 „Ale kiedy niestety! i piękność umiera,
 „Gdy czas i wdzięki nawet skrzydłem swem zaciera,
 „Gdy pukle czy to proste, czy tapierowane
 „Osiwieć muszą, zwiędnąć twarze malowane,
 „I gdy ta, co przez wymysł lub pychę naganna
 „Gardzi mężem, umierać musi starą panną;
 „Cóż więc zostaje? oto: niezmarszczone czoło,
 „Być w każdym razie dobrą, słodką i wesolą.
 „Wiercie, próżno kobiety i mdleją i krzyczą,
 „Podczas gdy wszystko mogą otrzymać słodyczą:
 „Naprawdę są umizgi i oczu zawroty,
 „Wdzięk wabi zmysły, duszę zniwalałą cnoty.“

Skończyła, lecz morały rzucane nawiasem,
 Częstym przerwane były szmerem i hałasem:
 „Do broni, bohaterki wołają, do broni“,
 I jak piorun orężę już błyszczyć się w dłoni;
 Już się atak zaczyna, już rogówki trzeszczą,
 Zginają się wachlarze i gazy szeleszczą:
 Rycerze i rycerki z okrutnym hałasem
 Przerazają powietrze dyszkantem i basem;
 Nie broczyła się ziemia jak zwykle krwią drogą,
 Podobne Bogom walczą, lecz umrzeć nie mogą.
 Tak, gdy Bogów do walek wiedzie Homer śmiały,
 I w piersiach niebian ludzkie roznica zapały,
 Mars Palladę, Latonę Merkury nalega,

I cały Olimp szczękiem broni się rozlega,
 Jowisz grzmi piorunami, drżą nieba wysokie,
 Neptun trójzębem morza wywraca głębokie,
 Ziemia się rozstępuje... huk ciągnie się głuchy,
 I na blask światła blade wzdrygają się duchy.

Złośliwy Umbriel siedząc na wierzchu lichtarza,
 Cieszy się, im się bardziej bitwa ta rozżarza;
 Podczas gdy inne duchy na swych szpilkach wsparte,
 Niespokojne patrzą na walki uparte.

Ale oto Talastris leci między hordy,
 I z obu oczu sieje śmierć i gęste mordy:
 Trzpiot i Poeta pod jej upadli ciosami,
 Ten w metaforze, a ów umiera wierszami.
 „Żywą śmierć z rąk ponoszę mej nieprzyjaciółki,“
 Wołał trzpiot, i wołając upadł między stołki.
 Ser-Foplinga zabija spojrzenie zdradzieckie,
 Pada na ziemię nucąc: „O oczy zbójcekie!“
 Tak na brzegach Meandra, pasterek mdlejący
 U nóg swojej kochanki, kona śpiewający.

Lecz gdy w koło Kларыssy Ser-Plum się zawija,
 Kloe wpada i jednym Marsem go zabija,
 Rozśmiała się z pociesznej Ser-Pluma postawy,
 Lecz o cudo! na śmiech jej ożył rycerz zwawy.
 Wtem Jowisz wśród Olimpu siedzący wspaniale,
 Szczerozłote zawiesza na powietrzu szale,
 W nich waży rozum mężczyzn i kobiece włosy;
 Długo się chwiały ważki i niepewne losy:
 Aż nakoniec ciężaru poznano naturę,
 Gdy włosy spadły na dół, rozum poszedł w górę.

Ale patrzcie, Belinda nieczem niestrwożona,
 Z niesłychanym zapałem pędzi na Barona,
 Mniej baczna na nierówne boje, zemsty cheiwa,

Dwoma tylko palcami wraz go pokonywa;
Bo gdy ten nozdrzem ciągnie duch dający życie,
Ona tam szczypcę tabaczkę wyspuje obficie:
Tłum niegodziwych Gnomów zewsząd się zlatuje,
I pył ziarek łechcących w sam nos mu kieruje.
Natychmiast lży rzesiste oczy mu zalały,
I od kichań stokrotnych sklepienia zdrząły.

„Tu koniec zdrajco! twego życia i potyczki.“
Woła Nimfa, i srogiej dobywa igliczki,
Tej samej, którą jeśli prawda jak świat głosił,
Prapradziad jej za spięcie u halsztuka nosił;
Stopiona potem, i już formy wzięwszy nowe,
W kształcie sprzączki zdobiła prapradziada wdowę:
Dalej trzonek koralu był w niej oprawiony,
I rzędami dzwoneczków w koło otoczony;
Babka Belindy gdy jej rznać się jeły zębki,
Nigdy go prawie z swojej nie wyjęła gąbki;
Aż go matka nakoniec w igliczkę zmieniła,
I długo sama nosząc, córcę zostawiła.

„Przestań się, krzyczy Baron, z zwycięstw twoich
chwalić,

Jak ty mię, tak ktoś ciebie potrafi obalić;
Konając tego tylko jedynie żałuję,
Że za sobą okrutna ciebie zostawuję:
Obym raczej, gdy tak jest ciężka moja wina,
Spalił się, ale żywcem, w ognjach kupidyna.“ —
„Powróć pukiel“, — woła Nimfa... i gmach cały,
I echa, — „powróć pukiel“ — w koło powtarzały.
Nie tak straszny Otello głosem przeraźliwym,
Krzyczy za chustką, co go czyni nieszczęśliwym.
Lecz patrzcie jaki koniec hazardów i znoju,
Walczą zażarci chociaż cel już zniknął boju.

Pukiel ów otrzymany sposobem tak zdradnym,
Szukany wszędzie, w miejscu nie znalazł się żadnym,
Był to dar dla śmiertelnych, zbyt pyszny i drogi,
Tak nieba chciały, i któż walczyć będzie z Bogi?

Jedni twierdzili, że się przeniósł do miesiąca,
Gdyż się tam przechowuje każda rzecz ginąca:
Tam dowcip mędrców w wazach trzymają wspaniałych,
Trzpiotów zaś w tabakierkach, i sztuczykach małych;
Tam pogwałcone śluby, złamane przysięgi,
I serca miłośników na kawałku wstęgi,
Tam panów obietnice, modły konających,
Śmiech panienek z ulicy, i lży dziedziczących;
Tam klatki na komary, i na pchły okowy,
Ususzone motyle, i szalonych mowy.

Ale wiercie mej muzie: cóż ujdzie jej wzroku?
Widziała jak się pukiel wznosił na obłoku;
Zmieniony w gwiazdę dążył przez powietrza czyste,
Ciągnać za sobą długie końce promieniste.
Na ten widok Sylfowie zlatują w około,
Po niebieskiej przestrzeni wiodą go wesoło;
Zdumiały się planety, a Skorpion srogi
Cofa okropne kleszcze, i uchodzi z drogi:
Wszędzie nowej światłości potok się rozléwa,
I Berenisa z wstydem włosy swe ukrywa.

Tę to gwiazdę błyszczącą w czasie promenady,
Młodzież nocnemi będzie wzywać Serenady,
Tę kochanek na brzegach Rozamondy¹⁾ zdrojów,
Błagać będzie o ulgę wśród swych niepokojów.
Utul więc, piękna Nimfo, ciężkie twoje zale!

Lśni się w gwiazdzistej sferze pukiel twój wspaniale;

¹⁾ Kochanka Henryka II. króla angielskiego.

Nie wszystkie włosy, co dziś żyją utrefione,
Wzbudzą tyle zazdrości, jak tve ustrzyżone;
Bo gdy tysiąc kochanków, piękne tve powieki
Zgładziwszy z świata, same zawrą się na wieki,
Kiedy lube powaby z włosami pospołu,
Staną się tylko garstką zimnego popiołu;
Muza pukiel ten mieszcząc w gwiazd świecących rzedzie,
Późnym wiekom Belindy imię sławić będzie.

CO SIĘ DAMOM PODOBA.

Powieść moralna z Voltaira.

Ponieważ teraz przyjaciele mili,
Zima nadeszła i wieczory długie,
Gdyśmy się w szczupłym kręgu zgromadzili,
Ja wam maleńką uczynię przysługę;
I jeśli dla was będzie to zabawą,
Powiem wam bajkę, lecz bardzo ciekawą
O dawnym jednym Rycerzu,
Co chodził w zbroi i starym pancerzu:
Nazywano go Robertem,
Żył pod królem Dagobertem.
Powracał z Rzymu i z świętych pieczarów,
Z Rzymu wonezas większego niż był za Cezarów.
Przywoził z sobą, nie laury zielone
Na polach Marsa uszczeknione,
Lecz dary, co mu dał był prałat tłusty,
Agnus Dei, szkaplerze i liczne odpusty.
Rycerz ów jechał niemi obciążony,
Pieniądzy mało, bo wiek ten wsławiony

Dla ludzi bitnych był nieco za lichy,
 Wszystkie dukaty zabierały mnichy;
 Całe mienie Roberta były stare szaty,
 Koń biały, zbroja i pudel pstrokaty.
 Ale nawzajem był pięknej urody,
 Hoży, przyjemny i młody;
 Posiadał w najwyższym względzie
 Dary szacowane wszędzie,
 Dary szczęśliwe i miłe,
 Wdzięk Adonisa i Alcyda siłę.
 Kiedy tak jedzie, i gdy się już zbliża
 O pół milę od Paryża,
 Widzi Marysię, młodzieńczą dziewczynę,
 Jak ludzie mówią, świeżą jak malinę.
 Kibić jej kształtna, pełne ognia oczy,
 Wstążka z splecionych spadała warkoczy,
 A wiatr podnosząc spodniczkę jej krótką
 Odkrywał łydki i nóżkę malutką;
 Wśród jabłek alabastrowych,
 Tkwił bukiet z pączków różowych,
 Lecz żywość, co twarz krasila,
 Blask samych kwiatów gasiła.
 Przydać należy, iż do tego wdzięku
 Niosła na targ koszyk w rękę,
 W nim było masło, jaja i śmietanka.
 Robert był żywy owego poranka;
 Rzekł patrząc na nią: jestem nie dobrego,
 Ze taka piękność, ze dziewczyna taka,
 Gotowa skusić anioła samego.
 To mówiąc, zskoczył z swojego rumaka,
 I do Marysi przyszedł krokiem śmiałym:
 „Dziewczyno, rzecze, w tłómaczku mym całym

„Jest pięć dukatów, przyjmij mą chudobę,
 „Ale z nią razem przyjmij i osobę.“ —
 „Łaska to Pańska“, Marysia odpowie.
 Rycerz nasz koniec chcąc położyć mowie,
 Wziął ją, i na smug wywrócił zielony;
 Lecz wywracając zgniótł koszyk z jajami.
 Kiedy tak gniece, koń między krzakami
 Szelestem tym przerażony,
 Jął na bok uciekać sobie:
 Mnich nadchodzący w tej dobie
 Widząc to, i z cudzego chcąc korzystać sprzętu,
 Wsiadł na konia, i kłusem pobiegł do konwentu.
 Nakoniec Marysia wstając
 I spodniczki poprawiając,
 „Gdzież są moje dukaty“, zapyta junaka?
 Robert cały zadziwiony
 Patrzy na wszystkie strony,
 Nie widzi ani konia, ani mantelzaka.
 Chce się wymawiać, ale nie przyjmuje
 Dziewczyna wymówek jego;
 „Ja, rzecze, krzywdy mojej nie daruję,
 Pójdę na skargę do króla samego.“ —
 Jako też poszła: — „Królu! zawołała,
 Wielka mi się krzywda stała.
 Oto Jegomość niejaki
 Zaprowadziwszy mię w krzaki,
 Wszystko com miała zatracił,
 Potłukł me jaja i dzbanki,
 Wylał garnuszek śmietanki,
 Zgwałcił mię, a co gorsza, za nie nie zapłacił:
 Chej mię ratować w mej biedzie.“ —
 Rzekł jej Dagobert: „Rzecz tu o gwałt idzie,

Idź do Berty mojej żony,
Umysł jej w sprawach takich doświadczony;
Upewniam, przyjmie łaskawie,
I dekret wyda w twej sprawie.“ —
Marysia się skłoniwszy do królowej bieży.
Berta była łaskawa, słodka dla młodzieży,
Lecz w jednym punkcie czystości
Miała cokolwiek srogości.
W mgnieniu oka zwołuje dewotek swych grono:
Rycerz nasz bez ostrogów i z głową zwieszoną,
Bosy, i z miną nieśmiałą
Wyznał wszystko co się stało.
Przyznał się, że go w lasku djabeł skusił,
Że w rzeczy samej Marysię przydusił,
I że szczerze żałuje za swe przewinienie:
A po tem wszystkim dekret wypadł na stracenie.
Robert nasz tak był hoży, i piękny i żywy.
Tak miał w oczach wyraz tkliwy,
Iż kiedy wyrok ten srogi głośzono,
Marysia i królowa, i Senat jej cały,
Boczkiem nań patrząc, płakały.
Nakoniec Berta radę zgromadzoną
Temi słowami łagodzi:
„Jeden mi sposób na pamięć przychodzi,
Którym Rycerza możemy ratować,
Byle dał dowód, że ma rozum w głowie;
Dosyć jest, rzecze, prawa zacytować:
Te winowajcy zostawują życie,
Jeżeli zgadnąć potrafi, i jasno nam powie:
„Co się najbardziej podoba kobięcie?“
Lecz trzeba, żeby rzecz gładko wyraził,
I mówiąc prawdę, żadnej nie uraził.“ —

Zgodzono się na wniosek, i mimo zwyczaję
Łaskawa Berta tydzień czasu daje,
By się rycerz namyslił. Ten więc przed królową
Na rycerskie przysiągł słowo,
Że się powróci na dzieńznaczony,
I skłoniwszy się odszedł zamyślony.
„Cóż pocznę, mówił, z smutną mą zagadką,
Jak tu powiedzieć i jasno i gładko
„Co się najbardziej podoba kobięcie?“
Ach! próżno myślę, dać potrzeba życie;
Lecz gdy mam umrzeć, gdy tak ułożono,
Wolałbym, by mię zaraz powieszono.“
Po drodze jaka szła tylko kobiéta,
Czy panna, czy mężatka, Robert przed nią staje,
Coć się najbardziej podoba, wraz pyta;
Lecz każda inną odpowiedź mu daje,
Wszystkie kłamały choć tonem nieśmiałym:
Rycerz nasz kłął się i z duszą i z ciałem.
Siedemkroć słońce złocistym promieniem
Już oświeciło i morza, i grody,
Kiedy na łączce pod przyjemnym cieniem
Dwadzieścia panien przecudnej urody
Widzi tańczące: muśliny im śnieżne
Kryły na pół ramiona i piersi lubieżne;
A igrając w około Zefiry ochocze,
Wznosiły w górę rozpięte warkocze.
Nóżki ich kroki leciuchne stawiając,
Zmijały trawkę ziemi nietykając.
Robert pomyślał: te cudne stworzenia
Może mię z mego uwolnią strapienia.
Ledwie rzekł, znikło całe dziewcząt grono.
Dzień się już szarą okrywał zasłoną,

Gdy Rycerz starą ujrzał tylko babę;
Twarz jej wywiędlą, a ręce już słabe
Zgarbione ciało kijem podpierały,
Nos długi z brodą stykał się zadartą,
Czerwone prążki oczy otaczały,
Zamiast spódnicy ścierką rozpostartą
Zakryła uda suche i zmarszczone;
Rycerz odwrócił oczy przełknięone.

Ona do niego idzie poufale:

„Synu mój, rzecze, na samo spojrzenie
Widać, że w sercu ciężkie nosisz żale,
Powiedz mi, jakie jest twoje strapienie?
Cierpimy wszyscy, lecz kto się powierza,
Połowę trosków uśmierza.

Wielem widziała, wierzyć mi się godzi,
Z latami rozum przychodzi:
Nieszczęsny ludzom, są tego przykłady,
Pomocne były zbawienne me rady.“ —

Robert odpowie: — „Ach moja kochana!
Na nic się twoje rady nie przydadzą,
Przyszła godzina moja opłakana,
Na szubienicę jutro mnie prowadzą,
Jeżeli królowej, całej rzeszy radnej,
Nie gniewając damy zadnej,

Nie powiem jasno, wiernie, należycie,
Co się najbardziej podoba kobięcie.“
Staruszka na to: — „Nie bój się niczego,
Ponieważ Pan Bóg do mnie cię tu zbliża,
Wierz synu, że to dla dobra twojego,
W dobrej więc myśli wracaj do Paryża,
Pójdziemy razem: ja ci się poruczę,
I co masz mówić, nauczę.

Lecz gdy z mej łaski świat będziesz oglądać,

Przysiąż, że czego będę tylko żądać,

Wszystko uczynisz ochoczy,

Przysiąż na me piękne oczy.“ —

Robert przysięga, śmiejąc się po cichu:

„Nie śmiej się, rzecze, czarniejszego grzechu
Nad niewdzięczność ja nie znam.“ — Natychmiast oboje
Idą, i przed królowej stawają podwoje.

Nieodwłocznie dewotek zgromadza się rada;

Staje Robert, królowa na tronie zasiada:

„Wiem ja wasz sekret, — rzecze Rycerz śmieie, —

To, co najbardziej damom podoba się,
Tak w każdym miejscu, jak i w każdym czasie,

Nie zawsze, żeby mieć kochanków wiele;

Lecz czy to panna, wdowa, czy mężatka,

Bogata, czy uboga, szpetna czyli gładka,

Choćby się przyszło i narazić komu,

Chee być koniecznie panią w swoim domu.

Rozkazywać powszechnie, ten jest gust kobięcy,

Jeżeli nie prawda, wartem szubienicy.“ —

Gdy skończył, Senat zawołał: — „O dziwy!

Zgadł przewybornie, niechaj będzie żywy.“

Robert rozgrzeszon, gdy pełen radości

Całuje rękę królowej jejmości,

Alć staruszka bez zębów, w łachmanie,

Woła sprawiedliwości, przed tłum się przedziera,

I gdy jej dane było postuchanie,

W ten sposób głos swój zabiera:

„Berto królowo, o cudzie piękności!

Wzorze rozsądku i sprawiedliwości,

Ty, co dobrocią, równie jak wdziękami,

Władasz poddanych sercami;

Sekret, któremu wszystkie się dziwiecie,
 Jam dała Rycerzowi, mnie on winien życie.
 Ale należy przestrzedz cię królowo,
 Iż nim on wrócił do sądu twojego,
 Dał mi swe rycerskie słowo,
 Iż czego tylko zażądam od niego,
 Wszystko otrzymam: przysiągł rycerz młody,
 Tyś sprawiedliwa, ja czekam nagrody.“ —
 „Prawdę, rzekł Robert, powiada babina,
 Rycerz obietnic swych nie zapomina;
 Koń, pięć dukatów i tłumoczek mały,
 Te, całą moją ruchomość składały;
 Lecz kiedym w lasku z Marysią się bawił,
 Mniech mię majątku całego pozbawił:
 Uwolniciełkę choćbym rad zapłacił,
 Nie jestem w stanie, bom sam wszystko stracił.“
 Królowa na to: — „Wszystko będzie ci wrócone,
 Ukarać każę pałkę ogoloną;
 Ruchomość twoja, oprócz jednej zbroi,
 Podzielona na części, wszystkich zaspokoi:
 Marysia weźmie pieniądze
 Za potłuczone jaja, i za twoje żądze,
 Staruszce dają konia i siedzenie,
 Tobie Robercie całe uzbrojenie.“ —
 „Słuszne, krzyknęła baba, wyroki są twoje,
 Lecz ja o konia bynajmniej nie stoję,
 Z całego działu Roberta osoba,
 Ta mi się jedna podoba.
 Lubię wdzięk jego i słodycz przyjemną,
 Lubię waleczność w niewinnych obronie,
 Chcę by szczęśliwym żył na mojem łonie,
 I w tym momencie ożenił się ze mną.“ —

Na ten wniosek niesłychany
 Opuścił ręce Rycerz pomieszany.
 A poglądając smutnie na figure,
 I na łachmany bure,
 Żegna się, i ze strachu na bok odskakuje;
 Potem żalosnym głosem
 Zawołał: — „O nieba! Jakimże znów losem
 Na pośmiewisko takie zasługuję!
 O królowo! wołałbym, ażebyś mię była
 Z matką djabła zaręczyła;
 Babsko szalone, i nie wie co gada.“ —
 Nasza bez zębów znów na niego wpada:
 „Oto mną gardzi, wszak widzisz królowo!
 Tacy wszyscy mężczyźni, takie to ich słowo;
 Lecz ja zwycięzę jego wstręty nieżyczliwe.
 Tak dla Roberta serce me jest tkliwe,
 Że i on z czasem wzajemność uczuje.
 Serce jest wszystkim.... Sama to znajduję,
 Że świeżość moja cokolwiek się zmniejsza,
 Lecz cóż? dla tego będę mu wierniejsza;
 Mało kobieta z wdzięków swoich traci,
 Gdy rozum doświadczeniem, nauką zbogaci.
 Warta uwagi powieść Salomona:
 (Lepsza jest mądra, niżli piękna żona.
 Ubogam wprawdzie, jestże to nieszczeście?
 Możeż to nasze tamować zamiężcie?
 Alboż człek kontent tylko, kiedy jest bogaty?
 Ty Pani, gdy na łożu okrytem szkarłatą
 Spoczywasz z królem, strażą otoczona mnogą,
 Spisz-że, czy kochasz lepiej nademnie ubogą?
 Przykład wam Philemona jest pewnie znajomym;
 Zawsze czuły, przez sto lat z Baucą się pieścił,

Obok mierności, pod dachem poziomym
 Rzadko się kiedy czarny smutek mieścił.
 Wyznaj, my służym Bogu i królowi,
 Dzielnym żołnierzom rodzimemu krajowi,
 Ubodzy, choć im nieraz i żywność odjęta,
 Lepiej kraj zaludniają niżeli książęta.
 A choć potomstwa Bóg mi nie użyczy,
 Nie będą przeto ognie me daremne:
 I bez owoców kwiaty są przyjemne;
 Ja więc z szczepu miłości, pełnego słodyczy,
 Zrywać będę te kwiaty do dni mych ostatka.“ —
 Mowa staruszki i wdzięczna i gładka,
 Tak zniewoliła Senat zgromadzony,
 Iż Robert został babie przysądzony.
 Lecz go smutniejsza czekała zniewaga,
 Bo nie dość na tem: małżonka wymaga,
 Żeby ją Rycerz na koń z sobą wsadził,
 I publicznie przez miasto na wieś odprowadził,
 Gdzie wesele natychmiast odprawić się miało;
 I jak babina chciała, tak się wszystko stało.
 Biedny nasz Robert, od wstydu się płoni,
 Wymawia się jak może, i jak może broni,
 Nakoniec ulegając tak smutnej potrzebie,
 Wsiada na konia i bierze przed siebie
 Najobrzydliwszą w świecie szkaradnicę.
 Nieraz, żeby się rozstać z takim lichem,
 Chciał jej łeb skrócić, lub utopić w rzęce;
 Lecz nie śmiał, bo raz byłoby to grzechem,
 A potem wołał z siebie uczynić ofiarę,
 Niż rycerską złamać wiarę.
 Po drodze stara, by męża zabawić,
 Dzieje wieku dawnego zaczyna mu prawić;

Jak Kłowis trzech przyjaciół swoich zamordował,
 I jak spowiednik grzechu mu ten darował;
 Jak gołąb z nieba spuszczonego,
 Przyniósł ampułkę i olejek święty,
 Którym monarcha został namaszczonego.
 Umiała powieść krasieć uwagami,
 Dowcipem i morałami,
 Tak, że nasz Rycerz ciekawością zdjęty,
 Rozpływał się z radości ilekroć mówiła,
 Umierał z strachu, kiedy nań patrzyła.
 Dziko dobrane stadło nakoniec przybywa
 Do chatki, którą stara domem swym nazywa.
 Straszdyko się natychmiast po pas zakasuje,
 Spruchniały zydol o trzech nogach bierze,
 I brudną ręką na nim zastawuje
 Chudą i lichą wieczere.
 Zasiada państwo młode, Robert nie ochoczy
 Spuszcza w ziemię smutne oczy,
 Ale wesół babina
 Znów przy wieczery zaczyna
 Puste swoje dykteryjki,
 I pocieszne historyjki;
 Gdzie niegdzie słówko moralne,
 Zarty dowcipne, i tak naturalne
 Iżby się każdemu zdało,
 Że mu one z ust wyjęto.
 Rycerz nasz przez chwilę małą
 Tak był kontent, tak niemi miał głowę zajętą,
 Iż mu się baba mniej brzydką zdawała;
 Ale ta skoro od wieczery wstała,
 Żąda po Rycerzu biednym,
 Aby z nią spał w łóżku jednym,

I gdy go do łożnicy zaprasza wesoło,
Pot zimny Rycerzowi wystąpił na czoło;
Zdrętwiał ze strachu, raz się zabić żąda,
Drugi raz smutnie na żonę pogląda

I prosi tonem zmięczonym,
Czyliby nie mógł zostać uwolnionym
Od tak wielkiej szczyśliwości:

Ale baba bez litości

Śmieje się z jego frasunku;

„Przysięgłeś, rzecze, i nie ma ratunku.“

Nie prześcieradła stare i zbrudzone,
Nie sienniki, przez szczury na pół pogryzione,
Wzbudzały w panu młodym najwięcej ekliwosci,
Sto razy więcej okropne wspomnienia

Na małżeńskie powinności.

„Cóż ja czuć mogę dla tego stworzenia?

Mówił sam w sobie, bo chociaż to w nocy,

Cieężko potrafić co nie jest w mej mocy.

Żona moja ma rozum, dobre serce, enoty,

Lecz gdy trzeba małżonkować,

Nie z rozumem tam, ani z enotą do roboty.“

Tak nieprzystając z sobą się pasować,

Na brzegu, jak łód zimny kładzie się na łożu,

Udaje, że śpi, chociaż spać nie może.

Alie staruszka tkliwym tonem rzecze

Szczypiąc Roberta: — „Niewdzięczny człowiecze!

Ty śpisz kochanie, gdy moją wstydlivość

Przemogła żywych ogni zapaleczywość;

Panuj nademną, nad memi wdziękami,

Cała się w żądach, w rozkoszy rozpływam,

Przechodź coprędzej, omdlęwam, omdlęwam.

Już wytrzymać nie mogę: jeśli pieszczotami

Nie osłodziś me cierpienie,

Wspomnij, że wszystko spadnie na twoje sumienie!“ —

Robert miał serce dobre, nie mógł ścierpieć tego,

By się kto męczył dla niego;

Rzekł więc: — „Chciałbym cię pocieszyć niebogę,

Ale dalibóg nie mogę.“ —

„Bajki, rzecze staruszka, wymówka to próżna,

W twoim wieku wszystko można;

Nie potrzebujesz nauki,

Dosyć jest trochę odwagi i sztuki,

A wspomnij tylko, jeśli ci się uda,

Jak damy będą wielbić takie cuda.

Jestem prawie cała drżąca,

A nawet trochę śmierzdząca,

Ale na to nie zważa bohater ochoczy,

Nos sobie zatknij, i zmruż dobrze oczy.“ —

Rycerz idący zawsze sławy torem,

Zagrzązł punktu honorem,

Niesłuchając jak tylko dzielnej waleczności,

Zaufany w swej młodości,

Chcąc być posłusznym, chociaż nie z ochoty,

Zamknawszy oczy, wziął się do roboty.

„Dosyć jest na tem, babka zawołała:

Chęci się mojej zupełnie dogadza,

Jedyniem tylko wiedzieć ja żądała,

Jak się daleko roześciaga ma władza?

Przyznajże, tać tego nie możesz nikomu,

Nieprawdaż, że kobieta chce być Panią w domu?

Jedną rzecz sobie na zawsze waruję:

To jest, aby rozkazy me były pełnione.

Słuchaj więc co ci teraz rozkazuję:

Otwieraj oczy, i patrz na twą żonę.“

Robert oczy otwiera: widzi blask niezmierny,
 I światła w kryształowych lustrach gorejące,
 Wspaniałe pałace, kędy był domek mizerny,
 Łóżko muślinem, perły nad śnieg się bielące,
 Na niem kobietę, którą ni dłuż Praxitela
 Naśladowałyby nie mógł, ni pędzel Apela;
 Taką właśnie, jaką się Wenus okazała,
 Gdy śnieżną dłonią długie włosy podnosząca,
 Luba tysięcznym wdziękiem i woniami tehnąca,
 Dzielnego Marsa czekała;
 Lub taką, jakieś widział świat podbić gotowe,
 Julię, Kossowską i Alexandrową¹⁾.
 „Wszystko jest twoje, rzekła, co tylko zoczyłeś,
 Pałac, bogactwa, ja nawet nieśmiała;
 Gdy szpetnością nie wzgardziłeś,
 Wart jesteś, aby piękność cię kochała.“ —
 Wiem, że nie jeden z słuchaczy zapyta,
 Kto była owa piękność znakomita,
 Co Robertowi łask tyle udziela?
 Powiem więc: była to wróżka Urgela,
 Grzeczna, dowcipna, i co czasu swego
 Wiele rycerzom świadczyła dobrego.
 Tu koniec mej powieści: nie próżnom się trudził,
 Jeźlim was państwo nie znudził;
 Lecz czemu innem mogłem was zabawiać?

¹⁾ Julia z Lubomirskich Potocka, Barbara z Bielińskich Kossowska, Rozalia z Chodkiewiczów Alexandrowa Lubomirska; wszystkie trzy współczesne, pięknością, grzecznym dowcipem i ujmującym obcowaniem, równie znakomite: wszystkie w kwiecie młodości zniknęły.

Dzieje prawdziwe aż nadto są smutne,
 Nadto żalosne, okrutne,
 I niebezpieczno prawdę jest wyjawiać.
 Pewniejsze bajki, bajek więc słuchajmy,
 I lepszych czasów czekajmy.

RÓŻNE WIERSZE.

Wiejski pleban.

(Z angielskiego).

Gdzie był ów ogród, gdzie się lipy wznoszą szczytnie,
I gdzie jeszcze niejeden kwiat zdziczały kwitnie,
Gdzie pełna róża świeci niezerwana,
Stało niegdyś mieszkanie wiejskiego plebana.

Był to mąż bogobojny, z postacią nieśmiałą,
Słowem był to duchowny, jakich dzisiaj mało.
Los mu szczupło udzielił, lecz on przestał na tym,
I z tysiąc złotych na rok, sądził się bogatym.
Umiął on swą spokojność, swoją mierność cenić,
Nigdy miejsca nie zmienił, ni żądał odmienić,
Skromny, nieśmiały, obcym był mu układ chytry,
Niewiedział, jak pochlebstwy wzbijać się do mitry,
Nie znał co to jest urząd, co o łaski prosić,
Wolał wspierać ubogich, niż sam siebie wznosić;
Potrzebny bez bojaźni drzwi jego otwierał,
Umiął karcieć próżniaków, ale nędzę wspierał,
Miłym gościem był starzec do jego gospody,
Co okrywał pierś zeschłą pasmem siwej brody.
I marnotrawca ciężką biedą poprawiony,
Kiedy spojrzzał litośnie, nie był odrzucony:
Mile przyjęty żołnierz, co siły postradał,

Siedząc z nim przy kominku, noc całą przegadał,
Opowiadał swe rany, trudy i gonitwy,
I szczudłem pokazywał, jak się toczą bitwy:
Uśmiechał się mąż dobry, nad jego zapały,
Bo w cierpieniach bojaka, przestępstwa znikają.
Tak w progach, w których znaną nie była obfitość,
Wprzód dobroć dała, niż się odezwała litość.
Niedość na tylu cnotach: poślubiony Panu,
Wiernym był powinnościom wybranego stanu,
Nauką swoją wszystkim pociechę przynosił,
Za wszystkich czuł, i płakał, modlił się i prosił.
Tak jak biedna ptaszyna, płód pierzem okryty,
Wabi każdym sposobem, na powietrzne szczyty.
Tak on, owieczek swoich gromadkę ubogą,
Ciągnąc do lepszych światów, szedł pierwszy tą drogą.
Przy łożu, gdy człowieka, siły już omdleją,
A boleść, żal i trwoga, dręczą go koleją,
Stawał szanowny pleban: na głos jego boski,
Ucieka czarna rozpacz, i bojaźń, i troski.
Słodka nadzieja w duszę strapioną wstępuje,
I gasnącym już oczom niebo ukazuje.

W kościele, gdy do Boga wznosi święte pienie,
Jakże te siwy włosy, te słodkie spojrzenie,
Część wzbudzały: ach nieraz kiedy upominał,
Ten co przychodził śmiać się, modlić się zaczynał.
Po modlitwie, gdy schodził, wraz rzesza zebrana,
Z uszanowaniem swego otacza kapłana,
Maleńkich nawet dzieci, poczet szczebietliwy,
Ciągnie go za sutannę, by wzrok jego tkliwy,
Lub słodki uśmiech ściągnąć: on pełen wesela,
Jak czuły ojciec słodkich pieszczot im udziela:
On ich zachęca, wspiera, troski ich uśmierza....

Ale surowszą myślą zawsze w niebo zmierza,
Tak skała, wzbijająca, w niebo szczyt wysoki,
Lubo, w średnicy swojej zostawia obłoki,
Lubo łoskot piorunów wewnątrz jej przenika,
Wiecznych słońca promieni czołem swem dotyka.

Medytacje nad starą miotłą.

(Naśl. z angielskiego).

Tę miotłę, co w tym kąciku,
Niedbale widzisz rzuconą,
Niedawno w naszym gaiku,
Pełną soków, i zieloną
Widziałem na własne oczy,
A dziś robactwo ją toczy!
Naprawdę człowiek, choć przeczy natura,
Chce ją naprawić, pycha się zaślepią,
I do starego kostura,
Ten brudny wiecheć przyczepia;
Niestety! miotła zwiędniała,
Nie będzie czém wprzód bywała;
I owszem całkiem zmieniła figurę,
Wierzch jej na ziemi, korzeń sterczy w górę.
Cała usługa, cała jej zaleta,
Że nią czerwone dziewczysko
Pokoje, nieraz ognisko,
Lub sień zbroconą zamieci.
A zamiatając i mruczając pod nosem,
Nie wie stworzenie ubogie,
Że niezbędnym jest jej losom,
Gdy pełni posługę nudną,

Czego się dotknie, to robić chędogie,
A samej wiecznie być brudną.
Ale już pono, i do tej usługi,
Nie będzie miotła braną przez czas długi,
Dobrze zszarżana pójdzie na wierzch śmieci,
Albo nią kucharz ognisko podmieci....
Tak, długo w miotłę mając wryte oko,
Przejęty żalością tkliwą,
Rzekłem westchnawszy głęboko:
Zaprawdę, człowiek jest miotłą prawdziwą.
Przychodzi na świat zielony,
Ale dobrze ukształcony,
Ma włosy, jak ma liście gałązka brzeziny,
Gdyż włosy, są liśćmi rozsądnej krzewiny,
Ale wkrótce je traci, przez zbytki, mozoły,
A gdy łysy, kiedy łeb jak dynia już goły,
Do pomocy wzywa sztukę,
I jak ów kostur wiecheć, on bierze perukę,
Kładzie puder, pomadę na tupet wyniosły,
Choć na nim nigdy nie rosty!
Pytam dzisiaj bezstronnego,
Gdyby miotła z wiechecia swego,
Tak się chlubiła, jak człowiek z peruki,
Jakby się śmiano z tak niezgrabnej sztuki.
Ale już słyszę, ktoś mi z boku powie:
„Miotła jest tylko drzewem, co stoi na głowie.“
Lecz i my ludzie, czyż tak nie stoimy?
Czyliż na głowach często nie chodzimy?
Czyż niejeden przed władzą, w koperczakach zwinny,
Nie ma tam głowy, kędy pięty być powinny?
Z tyła jednak słabości, chociaż nieraz chybi,
Do czegoż się człek nie wścibi?

Wszystko poprawia, wszystko wiedzieć żąda,
I w każdy kątek natury zagląda.
A ztamtąd wymiatając rozmaite brudy,
Kiedy w mniemaniu, że wynalazł cudy,
Dumny, przed światem odkrycia swe głosi,
Jak miotła, tuman kurzawy podnosi!

Jeżeli ten kostur, wiecheć zaszargany,
Jest przez dziewczkę tak szarżany,
Ach! w każdej kobiety rękę,
A często nawet bez wdzięku,
Czémże jest człowiek? ach! co z nim wyrabia,
Płocha lekkość, lub złość babia.
Nie mówmy dalej, obu meta niedaleka,
I ten sam koniec miotły, co człowieka.
Gdy mało szczęścia, wiele dozna złego,
Gdy się przez chwilę pośmiej, posmuci,
W starości, już niezdatego,
Ktoś jak ten wiecheć na śmiecie wyrzuci.

Oda do przeciwności.

(Z angielskiego przez Gray).

Córko Jowisza, władzo nieugięta,
Uśmierzycielko burzliwych,
Twój bicz żelazny, twa chłosta zawzięta,
Zasmuca dobrych, przeraża złośliwych.
W dyamentowe ujęty okowy,
Czujeć moczur purpurowy,
Ten co go własna nie zastraszy wina,
Pod twem ciężkiem ramieniem dumny kark ugina.

Gdy cię twój ojciec zesłał na tę ziemię,
Cnocie powierzył twoje wychowanie,
Rozkazał, by to boskie jego plemię,
Poznało wcześniej, co prześladowanie;
Surowa ochmistrzynio! twe obejście srogie,
Z pokorą dziecko znosiło ubogie:
Co jest niedola, tyś jej poznać dała,
A ona znając własną, cudzą czuć umiała.

Na wzrok surowy, na spojrzenie twoje,
Pierzcha pustota, płochość i uciechy,
Próżne zabawy, lekkomyślne śmiechy,
Znikają przyjaciół roje,
Co jak nikiemnych owadów zarody,
Kręcą się tylko w dniu jasnej pogody,
Przyjaciół, co cię pochlebstwy uwodzą,
Lecą za szczęściem, ze szczęściem uchodzą.

Cóż ci zostanie w twojem opuszczeniu?
Cnota, znosząca srogich ciosów brzemień,
Smetność, co w słodkiem swoim zamyśleniu,
Ciężką żrenicę lubi zniżyć w ziemię,
Pokój czystego sumienia,
I czułość tkliwa na bliźnich cierpienia,
I litość, co na widok żałosnej przygody,
Roni łzę cichą na blade jagody.

Na głowę, co się ugina w pokorze,
Ach! spuszcza lekko rękę twą karzącą,
Nie przychodź w strasznym Gorgony ubiorze,
Przez bicz jej krwawy, i węże świszczące,
Bezbożnik, zdrajca, co sprzedał swych braci,
Niech cię w tej strasznej ogląda postaci,

Przeznacz bogini dla takiej niecnoty,
Ciężkie rozpacz, niewczesne zgryzoty.

Lecz dla mnie przybierz postać łagodniejszą,
Czarna mię jeszcze nie splamiła kaźni,
Niech się przez wpływ twój wady moje zmniejszą,
Niech się me serce łagodzi, nie, drażni,
Zgasłej iskierce daj się znów zajmować,
Ucz mię jak kochać, naucz jak darować.
Niech surowy dla siebie, z zachodzącym wiekiem,
Czuając jakimi drudzy, sam się znam człowiekiem.

Pieśń.

Raz patrząc na mą Zosię,
Gdy skronie wieńczyła kwiatem,
Tyś jest rzekłem moim światem,
Ty stanowisz o mym losie!
Wzrok twój czuły lub okrutny,
Jam szczęśliwy albo smutny.

Gdyby mi wybierać dano,
Czyli wolę skarby złote,
Czyli mą Zosię kochaną
I jej wdzięki, i jej cnotę:
Rzekłbym: weź złoto, kamienie,
Ja wolę Zosi spojrzenie.

Róża, co dzień tylko żyje,
Jednak z Zefirem omdlewa;
Słownik co się w liściach kryje,
Przez wiosnę swej żoncy śpiewa;

Ty Zosiu w młodości kwiecie,
Cheesze żyć sama na świecie?

Nie ta pasterka szczęśliwa,
Której zaletą ozdoba,
Ni co się wielu podoba;
Ale ta co żyje tkliwa,
Co powiedzieć może: wierzę,
Jest ktoś co mnie kocha szczerze.

Ach! jest, co dla Zosi żyje,
Co ją nadewszystko ceni!
Miłość on swą wiernie kryje,
Niech się Zosia nie rumieni;
Lecz choć usta nie mówiły,
Przecież go oczy zdradziły.

Uwagi nad nędzami życia ludzkiego.
(Z angielskiego).

Ach! jak mało pamięta zgraja rozpuszczona,
Uciechy, rozkoszami, zbytkiem otoczona,
Co przy stołach, biesiadach, i nocej ochocie
Trwoni bezmyślne życie w szalonym zawrocie;
Nie pomni, gdy do skocznych tańców się zabiera,
Wiele na łożu nędzy nieszczęsnych umiera?
Wiele, losu próbując kolei odmiennych,
Tonie z rozpaczą w pośród bałwanów bezdennych?
Wiele z dziećmi, majątkiem, wśród pożarów ginie?
Wiele tysięcy ludzi krew na wojnach płynie?
Jak niejeden z współziomków ciągle nieszczęśliwych,
Od domu i przyjaciół oderwany tkliwych,

Nie za zbrodnie, lecz dla cnót, nie wszystkim przyjemnych
Żywcem w grobach zamknięty, pośród więzień ciemnych;
Tam łzami twarde łoże bezsenny obléwa,
Spełnia kielich goryczy, chleb czarny pożywa?
Nie wie ten, co go światół grzeje szereg mnogi,
Jak w liehej chatce z mrozu drży nędznik ubogi?
Wielu szaleństwo, wina i zgryzot katusze,
Okropnemi mękami udრეczają dusze?
Nawet i w tych schronieniach, w tej lubej dolinie,
Gdzie w pokoju, przyjaźni, słodko życie płynie,
Nieraz zdrój jego czysty tysiąc smutków męci.
Niewzajemnem kochaniem, zazdrością przejęci,
Tracą sen i spokojność: idą płakać skrycie,
Zatrute piołunami, niezdolne im życie;
Nie pomną rozpustnicy, czas pędząc wesoło,
Wielu, łoże śmiertelne otaczając w koło,
Patrzy jak ten przyjaciel, co wiek spędził z nami,
Pasuje się z ciężkimi konania mękami?
Ach! gdyby lekkomyślny chciał rozważyć kiedy,
Te nędze, te zgryzoty, nieszczęścia i biedy,
Te troski, których człowiek tysiącami liczy,
Co życie pasmem czynią ustawnej goryczy;
Stanąłby w zapędzie swoim chuci zdrożne,
Postrzegłby lekkomyślny rozkosze swe próżne,
Myśliłby się nauczył: bliźniego cierpienie
Łzę by mu wycisnęło, wzbudziło westchnienie:
I poznałby tę prawdę, co nam życie słodzi
Że człowiek w szczęściu drugich, swe szczęście znachodzi.

Oda do muzyki w dzień św. Cecylji.

(Z angielskiego A. Pope ').

I.

Zstąpcie dziewice! zstąpcie i śpiewajcie!
Brzmiące naczynia, stróny naciągnięte
Rozlicznym głosem wzbudzajcie!

Niech dłoń waszą lutnie poruszone

Wydają pienia miłosne,

I cytry, skargi żałosne.

Niech huczne trąby uderzą;

Sklepienia drżące

I echa brzmiące,

Huk ten niech szerzą.

Podczas, gdy co pełniejsze, niższe tony trzyma,

Wspaniały, uroczysty organ się nadyma.

Słuchaj, jak w słodkiej i czystej nucie

Lube w sercu wzbudza czucie;

Znów głośniejszy, i głośniejszy jeszcze

Szerzy Bogów rymy wieszczę,

¹⁾ O odzie tej, jednej z najpiękniejszych poezji Popa, nie należy z przełożenia sądzić. Naśladowanie mocy, harmonji, i sztuki w niej rymotwórczej byłoby każdemu trudnem, a mnie niepodobnem stało się. Pierwsza strofa wyraża różne tony, i takta iż tak rzekę muzyki. Druga, moc jej nad namietnościami człowieka. Trzecia przywodzi użycie jej ku wzbudzeniu heroicznego zapału. Czwarta, piąta i szоста władzę jej nad całą naturą, w przytoczeniu podróży Orfeja do piekieł. Przytoczenie to wypływa z wspomnienia w trzeciej strofie tegoż bohatera, zapalającego bohaterów przez muzykę do wyprawy Argonautów. Siódma strofa dowodzi pierwszeństw muzyki świętej nad muzyką światową.

Zwycięstw pienia wspaniałe śmielsze tony głoszą,

Wzbudzają radość, trwożą, łagodzą,

Aż stopniami słodziej płynie,

Głos ciszej mdleje,

Coraz wolniej,

Tłumi się, tłumi, i ginie.

II.

Muzyka sercem ludzkim umie władać,
Broni mu zbyt się wznosić, nie daje upadać.

Ślepej radości, gdy się człek powierza,

Ona go słodkim głosem swym uśmierza;

Lub duszę ciężar gdy tłoczy strapienia,

Niesie jej ulgę przez łagodne pienia.

Ona zapala ogniem wojowników,

Leje balsamy w rany miłośników:

Kiedy słodkie pienia głosi

Smutek głowę swą podnosi,

Morfeusz łożę porzuca,

Zawiśe zjadłę węże rzucea;

Ustają wnętrzne rozsterki i zwada,

I oręż z ręku morderczych wypada.

III.

Lecz kiedy za ojczyznę walczyć nam przychodzi,

Jaki zapał trąb wrzawa w sercach naszych rodzi?

Tak, gdy pierwszy raz w Argos, w niewidzianym wzorze

Śmiały okręt spuszczano na bezdenne morze,

I drzewa w Pelionu wierzchołkach zrodzone

Pławiąc się, z zadziwieniem piły wody słone;

Gdy się gęsta wznosi fala,

Za pierwszym wiatrów wzruszeniem,

Orfeusz wojennem pieniem
Do boju wodzów zapala:
Rycerze tarcze ogromne podnoszą,
Błyszcza oręż w zapalczywej dłoni,
Morza i skały głos w koło roznoszą:
Do broni, do broni!

IV.

Cóż kiedy przez zapory, piekielne, wieczyste,
Przez wrzące Flegetonu nurty płomieniste,
Zawiodła wieszczka moc silna kochania
W blade, okropne umarłych mieszkania?
Jakie przekleństwa okrutne,
Co za widowiska smutne,
Zastał na brzegach strapiionych!
Okropne męki,
Cierpiących jęki,
Huk ogni wrzących,
Wrzawa bluźniących,
Rozpacz i łkania,
Płacz, narzekania
I głosy duchów męczonych.
Lecz słuchaj: trąca lutni stróny drżące;
Patrz: oddychają już duchy cierpiące;
Patrz jak cienie się zbliżają;
Syzyf z potu otarł czoło,
Iksion wstrzymuje swe koło,
I blade widma słuchają;
Jędze na łożu żelaznem usiadły,
I z głów ich węże rozwinięte spadły.

V.

Przez cicho-płynne strumienie,
Przez wonne Zefirów teńnienie,
Wpółśród Elizejskich kwiatów,
Jaśminów i róż szkarłatów;
Przez śnieżne ptaki Wenery,
Jęczące w gajach Cytery,
Przez młodzież, co dla kochania
Wzgardziwszy śmiercią, ranami,
Błądzi pomiędzy mirtami;
Przez jej skargi i wzdychania;
Powróćcie Eurydyce, dobro utracone,
Zabierzcie męża albo wróćcie żonę!
Śpiewał: a piekło co głos ten zgromadza,
Na prośby wieszczka przystaje;
Już Prozerpina czoło wypogadza,
I lubą stratę oddaje.
Tyle on przemógł pieniami
Nad śmiercią i nad piekłami:
Dzieło trudne, lecz ileż chwalebne dla męża!
Napróżno ją przykuły przedwieczne wyroki,
I Styx dziewięćkroć swemi oblał ją zatoki;
Wszystko to pienie i miłość zwycięża.

VI.

Lecz zbyt wczesnie mąż oczy obraca, otwiera,
Ona znowu pada, znowu umiera, umiera.
Jak teraz wzruszysz piekła zbyt nielitościwe?
Byłóż to zbrodnia, żeś miał serce nazbyt tkliwe?
To wśród pustyń skał wiszących,
Kędy smutny Hebrus płynie,

Kędy głos słyhać jedynie
Nocnych ptaków śmierć wrózących;
Samotny, zdaleka
Od ludzi ucieka,
Jęczy, narzeka,

Wzywa swojej ulubionej,
Na zawsze, zawsze straconej!
Znów duchem Furynów wzruszony,
Drżący, strapiiony,
Włosy mu wstają,
Oczy pałają;

Patrz: jak wśród gór okrytych śniegiem,
Jak szalony wyśiega wiatry lotnym biegiem!
Słuchaj: już krzyk Bachantek powietrze rozdziera,
Ach! patrz, umiera!

Lecz nawet Eurydyce, gdy usta omdlały,
Eurydyce powtarzał język już zdrętwiały,
Eurydyce liści drzenie,
Eurydyce wód mruczenie,
Eurydyce roznoszą i góry i skały.

VII.

Muzyki rzewne i lube nucenia,
Najśłodsze sercu przywodzą wspomnienia;
Na głos jej, sroga boleść mniej dolega
I rozpacz nawet nadzieję postrzega.
Ona tu rozkosz zwiększając człowieka,
Odkrywa wcześniej tę która go czeka:
Przez nią boska Cecylia, przez modły swe czyste,
Osiadła Niebios mieszkania gwiazdziste;
Bo gdy serce i oczy podniósłszy do góry,
Z pełnem brzmieniem organów słodkie łączy chóry,

Modły jej z lubym w niebo podnoszą się tonem.
Nieśmiertelne mocarstwa przed zastępów tronem,
Anioły i Cheruby słodyczą przejęte,
Z pniem jednej śmiertelnej hymny łączą święte.
Dłużej więc nam Orfeę uwielbiać nie trzeba,
Głos Cecylię więcej wstawił:
On pniem swoim cień z pieków wybawił,
Ta, duszę wzniosła do nieba.

Myśl o szczęściu.

Szczęśliwość się kryje w cieniu,
Bliżej człeka niż rozumie;
Podział tego, co życzeniu
Założył granice umię:

Każdy jednak ślepo goni
Za obłudą, co ucieka,
A tymczasem szczęście trwoni,
Które jest w ręku człowieka.

Drogo się nędza kupuje,
Drogo zgryzota opłaca,
Chęć lepszego dobro psuje,
I to szczęście co niewraca.

Niech fortuna sprzyjająca
Okrywa cię skarbem drogim;
Gdy twa checiwość niema końca,
Ty zawsze będziesz ubogim.

Komu wiele dały nieba,
Więcej jeszcze sobie życzy;

I tak zbytek, jak potrzeba,
Zarównie z nędzą graniczy.

Wszystko swoim struła jadem,
Niespokojna chęć człowieka;
Szczęście jego idzie śladem,
A on przed niem sam ucieka.

Tak niezwrotny w swoim biegu,
Gaje, łączki, choć im sprzyja,
Niespokojny strumyk mija,
By na dzikim ginął brzegu.

Żale Temiry.

Zdarta już z oczu zasłona,
Nieszczęsna błąd mój poznaje,
W słodkich czuciach omylona,
Smutek mi tylko zostaje.
Dotąd szczęśliwie żyłam,
Ach czemuż błąd mój odkryłam!

Przyjaźń twa dla mnie, mówiłeś,
Nie jest jak miłość, burzliwa;
Ale nieraz zapewniłeś,
Ze jak miłość, była tkliwa;
Ja nieszczęsna uwierzyłam,
Ach czemuż błąd mój odkryłam!

W tobie mą ufność pokładać,
Tobie poświęcać me życie,
Twe szczęście nad me przekładać,
I przykrości znosić skrycie;

Taką ja dla ciebie byłam,
Ach czemuż błąd mój odkryłam!

Lecz kto słodczy nie czuje,
Kiedy się widzi kochanym,
Ten i męki nie pojmuje
Tego, co przezeń stroskanym;
Krótko szczęśliwa żyłam,
Ach czemuż błąd mój odkryłam!

Tysiąc cię dziś wdzięków drażni,
Próżno w nich szczęścia szuka się,
Nie znajdziesz w nich mej przyjaźni,
I powiesz może powczasie:
Z nią ja szczęśliwy byłem,
Czemuż jej serce straciłem?

Własny kominek.

(Naśl. z angielskiego).

Kochana żonko! gdy pusta gromada
Swywolnie płasa lub do gry zasiada,
Wzdęta próżnością i pychą;
Choć to przez wielu będzie naganionym,
My ich zostawim w zawrocie szalonym,
I wyniesiemy się cicho.

Gdy nam niemiłe światowe rozkosze,
Gdy nad ich wrzawę ty i ja przenoszę
Pokój i ogień domowy;
Pójdźmy do siebie, gdzie ani dłużnicy,
Ani sąsiedzi, ani natrętnicy,
Nie przerwą naszej rozmowy.

Rzetelne szczęście kto umie szacować,
W własnem go sereu powinien znajdować,
W enotliwym życia sposobie.
Ten co go błędna uwodzi nauka,
W dalekich krajach niechaj szczęścia szuka,
My go znajdujem przy sobie.

Z Arki Noego gołąb niecierpliwy
Puszcza się lotem, sądzi się szczęśliwy
Gdy korab z oczu utracą;
Lecz wkrótce w swoich nadziejach zwiedziony,
Próżnem lataniem daremnie znużony,
Znów na maszt łodzi powraca.

Rozpustni, związki ślubnemi wzgardzają;
Lecz ci co dobrze słodycze ich znają,
Wiedzą przykłady własnemi,
Że dla sere świętym złączonych obrządkiem,
Wspólną miłością, cnotą i rozsądkiem,
Małżeństwo rajem na ziemi.

A gdy kochane obsiedą nas dzieci,
Jak słodko każda godzina uleci,
Wpółród ich zabaw dziecinnych!
Z czułem staraniem będziemy je chować,
Kształcić umysły, serca ich prostować,
Tworzyć ludzi dobroczynnych.

My im nauki będziemy udzielać,
Oni nam naszą młodość rozweselać,
I wspierać lata schylone.
Pod okiem naszym rosnące ich enoty,
I postać ciała, i duszy przymioty,
Nagrodzą prace łżone.

Nie wiele nam się majątku dostało,
Ale też sami potrzebujem mało,
I brać mogąc wolim dawać;
Wszak cała sztuka na tem się gruntuje,
Nie żadać więcej jak człek potrzebuje,
I umieć na tem przestawać.

Piąć się nie będziem wyżej naszej doli,
Lecz każdej chwili co niebo pozwoli,
Użyjemy jak najlepiej;
Małe nam troski nie zasepią czoła,
Przeciwność w rozpacz wprawić nas nie zdoła,
Ani pomyślność zaślepi.

Niech się bieg życia nad kres nie przewleka,
Rzadko jest słodkim schyłek dni człowieka;
Więc gdy się zakończą gody,
Każde od stołu z wdzięcznem sercem wstanie,
Nie zajrzając, że to co po nas zostanie,
Zabierze następcą młody.

Tak nierozdzielnie z żoną mą kochaną,
Smutku, wesela, ścieżkę przeplataną
Przejdziem kroki ostrożnemi;
Porzucim świata zwodnicze koleje;
Bez trwogi, żalu i pełni nadzieje
Złączym się z ojcy naszymi.

Gdy śmierć nad nami roztoczy swe cienie,
Anioł pokoju i czyste sumienie
Wstręt osłódzą chwil straszliwych;
Śmiertelne tutaj zostawując zwłoki,
Nad niedościgłe wzniośszy się obłoki,
Wnijdziem w mieszkanie szczęśliwych.

Gałązka.

W polu szerokiem i czystym
 Dąb panował okazały,
 Na wierzchu jego gestym, rozłożystym,
 Obrął siedlisko swoje orzeł biały.
 Nadeszła burza, nawałnica, grady
 Z okropnym wichrem i grzmotem;
 Wstrzęsły się świata całego posady,
 Dąb strasznym runął łoskotem.
 Orzeł wśród piorunów bicia,
 Okopcony i zezerniony,
 Upadł na ziemię bez życia;
 Pień na szmaty rozszczepiony,
 A tęgość burzy, i wichry zażarte
 Od drzewa gałęzie zdarte,
 Poroznosiły w wszystkie świata strony.
 Jedna gałązka najmniejsza,
 A może i najbiedniejsza;
 Przez góry, lasy i grody,
 Przez bezdenne morza wody,
 Niesiona długo wiatry szalonemi,
 Upadła na dalekiej, zbyt dalekiej ziemi!
 Tam na roli uprawnej ręką właściciela,
 W drobnym krzewie, obok siebie
 Napotkawszy przyjaciela,
 Który ją w smutnej pocieszał potrzebie;
 Przyjęła się, odżyła, i przez czas niejaki
 Choć smutna, rosła z poziomemi krzaki:
 Lecz trudno przemódz naturę pierwotną.
 Gałązka pomna na dawne swe losy,

Acz w towarzystwie, czuła się samotną;
 Inne ją napawały i deszcze i rosy,
 Nie te co własne sączyły obłoki;
 Inne świeciły nieba, inne w ziemi soki:
 Wszystko co nie ojczyste w niesmak się obraca.
 Naprzód więc listek po listku utracą,
 Potem się marszczy, nakoniec zwiędniała
 Usycha cała,
 I drobne krzewu swojego popioły,
 Z obcemi miesza żywioły.

Dumanie w wieczór.

Lampa Hesperu po cienistym borze,
 Słodką swą jasność rozlewa,
 Słońce w zachodzie gdy coraz omdlewa,
 Gasi swe ognie w spokojnem jeziorze.
 Głęboka cichość; chyba, że lecenie
 Nocnego ptaka przerwie to milczenie.
 Gdy smutny dumam, aż jak przez mgłę ciemną
 Powietrzne widma stawają przedemną,
 Drogie postacie osób ulubionych....
 Dziś już oddawna w mogiłach złożonych....
 Budzi się we mnie jakaś rzewność tkliwa,
 I łza tęsknej rozkoszy po licach mych spływa.
 O święte cienie! ni wiosną, ni w lecie,
 Już się nie zejdziem więcej na tym świecie.
 Wołam sam jeden. — Na ten głos wzniesiony
 Nikt się nie ozwał, świat cały uśpiony,

I tylko wierzby co nad wodą stały
Same smutnie zaszumiwały.

Wygnaniec.

(Naśl. z angielskiego).

Zegnam cię o ojezyzno! zegnam cię na wieki!
Smutne przecucie w piersiach odzywa się tkliwych,
Że te oczy, te łzami zroszone powieki,
Już więcej nie zobaczają twych brzegów szczęśliwych.

Uciechła sroga burza, i żagiel rozpięty
Lekko naprzód posuwa niezmarszczona fala:
We mnie niknie odwaga, i żalem ściśnięty
Przeklinam wiatr, który mnie od ciebie oddala.

Jeszcze cię widzę za tym niebieskim obłokiem,
Domy i wieże ostre swe szczyty wywodzą;
Z pagórków, co przed chciwem zniżają się okiem,
Głosy mowy ojczystej jeszcze mnie dochodzą.

Na skale, co ją w koło gęsty mech okrywa,
Rybak zmoczone sieci przed słońcem rozpina;
A piosnka którą tonem rozkwilonym śpiewa,
Pamięć znikłych rozkoszy smutnie przypomina.

Jak szczęśliwszy odemnie! już czeka godziny
Gdy wieczór szarym mrokiem obłoki powleka,
Wtenczas ochoczy wraca do skromnej dziedziny,
Gdzie go dziatwa i żona z utęsknieniem czeka.

Już się spieszy, i skoro niskie przejdzie progi,
Spotyka wszędzie uśmiech, słodkie uściskania;

Nie trują rozkosz jego przyszłych strapien trwogi,
Nie znają oczy płaczu, ni piersi wzdychania.

Człeku stokroć szczęśliwy! do późnej siwizny
Znać będziesz słodycz życia w stanie swym ubogim;
A ja smutny wygnaniec z domu i ojczyzny,
Rzucać muszę co tylko jest mi w świecie drogim!

Już mnie matka do swego nie przytuli łona,
Już nie ujrzę przyjaciół, ni braci kochanych;
Próżno drogie wspomnienia wraca myśl strapiona,
Spieszę do parnych niebios, i krain nieznanych.

Idę, gdzie słońce skwarą upałem się żarzy,
Gdzie się pładzą tygrysy i węże zjadliwe,
Gdzie żółtą febrą tknięty, wbrew sztuce lekarzy,
Człek zionie w ciężkich mękach życie nieszczęśliwe.

Lecz ani jad, co wnętrza zaczyna pożerać,
Ni krew, co się po żyłach w czarny węgiel spieka,
Ani żal, w kwiecie życia gwałtownie umierać,
Nazwać można najtkliwszą męką dla człowieka.

Sroższem jest życie pędzić w ustawnej tęsknocie,
Nie mieć komu się z ciężkiem powierzyć strapieniem,
W smutnym, na upłynione szczęście, myśli zwrocie,
Truć każdy dzień obecny przeszłości wspomnieniem.

Ileżkroć gdy po pracach i strudzeniach srogich
Noc niespokojna zawrze powieki znużone,
Sny wystawiać mi będą przyjaciół zbyt drogich,
Miejsca i chwile z nimi tak słodko spędzone.

Mieszkania rodu mego starożytne mury!
Kędym igrał w dzieciństwie, wy błonia, potoki,

I ty świątynio z wieżą wybiegłą do góry,
Gdzie drogie przodków moich spoczywają zwłoki!

Wszędzie myśl udręczona przenosić się będzie:
Lecz patrz: już się horyzont szarym kryje mrokiem,
Już gmachy, domy, brzegi, drzewa, w ciągłym rzędzie
Raz się okażą, i znów nikną przed mem okiem.

Uciszcie się o wiatry! nie wzdymajcie morza,
Niech spokojna ma nawa w milczeniu spoczywa;
Niechaj gdy jutro świetna okaże się zorza,
Wzrok mój brzegi ojczyste raz jeszcze odkrywa!

Próżne są prośby moje! wiatr się w żagle ciśnie,
I wzniesione bałwany szumna warzy piana;
Nie ujrzę tylko wody gdy słońce zabłyśnie.....
Żegnaj cię raz ostatni ojczyzno kochana!

Na morzu 1804.

Elegia na śmierć brata mego,

Jana Ursin Niemcewicza.

Cóż są te pienia żałobne,
Te blade światła z wiatrem się chylące,
Te mary smutnie ozdobne,
Cóż są te ciężkich dzwonów głucho dźwięki,
Ten płacz, te jęki?

Nie pytaj, wstrzymaj kroki popędliwe,
Czoto twe zinnem okryje się potem,
Wiesz ta nieszczęsna, wskrósź śmiertelnym grotem,
Przeszyje serce twoje tkliwe,
W tej trumnie, co ją kir czarny okrywa,
Brat twój spoczywa!

Zamknął mąż prawy dni swoje na wieki,
Mąż, co się Pańskiej zawsze trzymał drogi,
Przez niego sąsiad, ni kmiolek ubogi,
Nie zrosił łzami powieki.
Legł obywatel, ojciec i brat tkliwy,
Usnął, usnął sprawiedliwy.

Już rydwan stanął, już pienia ustają,
Zdejmują trumnę przyjaciele wiernie,
I wieko grobu podnosząc niezmiernie,
W podziemne lochy spuszczaają,
Krzyk się rozchodzi, serce żalem przejętych,
Po gmachach świętych.

Niemasz cię więcej bracie mój kochany,
Nie tobie było pierwszemu umierać,
Tyś kraj, tyś synów mógł radami wspierać,
A ja na troski skazany,
Ja co igrzyskiem ciężkich przygód byłem,
Ciebie przeżyłem.

Sprzeczne miało nami przeznaczenie,
W ojczystych cieniach tyś pędził dni twoje,
A mnie los cisnął na walki, na znoje,
Na Oceanu przestrzenie....
Próżno los dzielił — umysł, serca wolne,
Były nam wspólne.

Jużes więc stanął w umarłych dziedzinie,
Gdzie rzędem stoją zwłoki spokrewnione,
Gdzie ojciec, krewni, siostry ulubione,
Gdzie matka leży przy synie,
Jeszcze i dla mnie, pełniąc liczbę całą,
Miejsce zostało.

Ach jakże ujrzę te ojcyste włosci,
Te miejsca lube kędym się urodził,
Te gaje, błonia, kędym z tobą chodził,

Już wszystko źródłem żałości,
Każde ustronie myśl moja płacziwa,
Kirem okrywa.

Wszystko zatrute przez tę ciężką zgubę,
Z tobą zniknęły, lat tak chyżo płynnych,
Smutków, powodzeń i zabaw dziecinnych,

Pamiętki lube.

W zmierzchu dni moich, w tylu trosków tłumie,
Któż mię rozumie?

Nad grobem co twe popioły zawiera,
Noc smętna, słodką cichość rozpościera,
Migają ognie w niskich chatach kmieci,
Rozkwitła lipa woń przyjemną nieci,
Lecz te zapachy, te światła na niebie,
Już nie dla ciebie.

Jak zwidłe liście w ponurej jesieni,
Z szelestem pędzi wiatr w padół ciemne,
Tak śmierć, tysiące ludzkich pokoleni,
Spycha w mieszkania podziemne;

I ja niedługo z mą ciężką żałobą,
Pójdę za tobą.

Już w mej pamięci trzeecie pokolenie,
Zstępuje cicho w głuche śmierci cienie,
Nadchodzi czwarte: spraw o Boże wielki,
Niechaj żyje bez skazy, i bez winy wszelkiej,
Niech jeszcze wleje w kielich mych goryczy,
Kroplę słodyczy.

Elegia pisana na cmentarzu wiejskim.

(Z angielskiego przez Gray).

Schyłek dnia dzwon oznacza, ustaje już praca,
Zwolna rycząca trzoda błoniem postępuje,
Rolnik dumając ścieżką do domu powraca,
A świat cały ciemności i mię zostawuje.

Już szarym okolica mrokiem się okrywa,
Powietrze uroczyste napełnia mleczenie,
Chyba brzęk lecącego chrząszcza je przerywa,
Lub błędnej jałowicy dalekie dzwonicie.

Na wieży mehem i bluszczem oddawna okrytej,
Nadęta sowa hukiem żałobnym przeraża
Tego, co po miesiącu w przechadzee swej skrytej,
Święte państw jej siedliska klócić się odważa.

Za temi świerki, za tym jaworem ogromnym,
Gdzie szereg mogił z darni wznosi się daleki,
Spoczywają przodkowie wsi tej snem niepomnym:
Każdy w ciasnej swej trumnie zamknięty na wieki.

Świeży powiew tehnącego woniami poranku,
Szczebiotliwość jaskółki co się gniazdem trzodzi,
Pienie koguta, odgłos trąb w rycerskim szranku,
Z głębokiego ich łoża więcej nie obudzi.

Już dla nich na ognisku płomień się nie wznieci,
Ani krzątać się będzie pracowita żona;
Nie będą wracających witać lube dzieci,
Ni piąć się po kolanach do ojców swych łona.

Często pod ich sierpami schylały się zniwa,
Często pługi ich twarde rozbijały bryły;
Nieraz ciągnięta przez nich szła łódź uporeczywa,
Nieraz pod ich toporem dęby się waliły.

Niech się duma nie śmieje z wyniosłością hardą
Z ich prac, niskich przeznaczeń i zatrudnień mnogich;
Niech okazała wielkość nie służyła pogardą
Krótkich i prostych dziejów rolników ubogich.

Piękność, potęga, dawność pradziadów daleka,
Ten co bogaty, ten co żyje bez sposobu,
Nieuchronnej godziny wszystko równie czeka;
I nawet ścieżka chwały prowadzi do grobu.

W dawnych świątyniach, kędy światło walczy z cieniem,
Pamiętek ich nie świadczą rzeźby marmurowe;
Nie drżą ściany hymnami i organów brzmieniem,
Ani pochwał kazania głoszą pogrzebowe.

Mogąż napisy, albo biusta życiem tętnące,
Duch znikomy do swego mieszkania powrócić?
Mogąż pochwały wskrzesić popioły milczące,
Lub zimne ucho śmierci pochlebstwa ocucić?

Może pod tą mogiłą, na tem miejscu skromnem,
Spoczywa serce niegdyś pełne uczuć dzielnych,
Ręce co mogły władać mocarstwem ogromnem,
Albo lutnie do pieniów wzbudzać nieśmiertelnych.

Lecz nauka łupami czasu zubożona,
Nie otworzyła dla nich księgi swej szerokiej;
Myśl tak szlachetna była niewolą stępiona,
I zimna nędza ściegła dowiecipu potoki.

Wieleż drogich kamieni i pysznych szkarłatów,
Oceanu przepaści zawierają ciemne?
Lub wiele się rozwija niewidzialnych kwiatów,
I w dzikich puszczech trwoni zapachy przyjemne?

Może który z tej prostej rolniczej młodzieży,
Jak nasz Rejtan z najeżdżącą swą wioską się spierał;
Może nieznanym jaki Kopernik tu leży,
Lub Żółkiewski, co mężnie za kraj swój umierał!

Mocą dzielnej wymowy władać umysłami,
Gardzić groźby, losów się nie lękać zawodu,
Bogaci kraje handlem, zdobić je sztukami,
Czytać swe dzieje w oczach wdzięcznego narodu.

Tych dzieł, tych świetnych darów, losy im zajrzały;
Ale razem zmniejszyły ciężkie niepokoje:
Nie kazały po trupach wdzierać się do chwały,
Ni przed nędzą zamykać ludzkości podwoje.

Zaden z nich prawdy fałszem nie umiał okrywać,
Ni na twarzy niewinne tłumić zapłonienie;
Hołd oddając bogactwu, nie znał co nabywać
Często nikczemnych zysków za sprzedane pienię.

Niepowściągnięte chuci, szalone życzenia,
Z rozsądkiem w wiecznej u nich nie były wojnie;
Cichym trybem, błędnego nieznaną zboczenia,
Ustronną życia ścieżkę przebyli spokojnie.

Lecz i kości ubogich, nieforemnym głazem
Ochronione od czasu i od obrażenia,
Napisem z prostych rymów, pobożnym wyrazem,
Proszą przechodzącego o tklive westchnienia.

Imię, wiek i dzień zgonu, ręka nieraz wnuka
Miasto herbów, dostojęństw, nieuczenie ryje;
Przy nich wyjęta z pisma świętego nauka
Uczy, jak ma umierać kto pocziwie żyje.

Któż konający, gdy go czeka wieczność głucha,
Zemdlonego wejrzenia nie rzuci za sobą;
Komu natenczas nie jest słodką ta otucha,
Że ktoś po nim zapłaczę i uczci żałobą!

Ty coś kreśląc rolników bieg życia cnotliwy,
Zemściłeś rymy twemi znieważone cienie;
Jeśli zapyta człowiek równie tobie tkliwy,
Jaki był zgon twój własny, jakie przeznaczenie?

Odpowie może starzec ze śnieżnymi włosy:
„Widzieliśmy go nieraz, skoro zeszyły zorze,
„Jak spiesznym krokiem strząsał czyste łak tych rosy,
„By stanąć równo z słońcem na pobliskiej górze.

„Tam pod wiazem, co szczyt swój kołysze wspaniale,
„I wiję kręty korzeń z ziemi odstający,
„Nieraz spoczywał w parnym południa upale,
„Oczy mając wlepione w zdrój pod nim ciekący.

„Nieraz w czarnej rozpacz i gryząc swe wargi,
„Błakał się w ciszy lasu, zwiedzał jego szranki,
„Znów płakał, i żalosne rozwodził swe skargi,
„Jak miłośnik co lubej postradał kochanki.....

„Raz go z rana szukałem na wzgórkach zwyczajnym,
„Pod drzewem co w około bluszczem się okryło;
„I drugi ranek przyszedł: ni w zaciszu tajnym,
„Nad źródłem, ni na łące, nigdzie go nie było.

„Nazajutrz, wolnym krokiem, z smutnymi pieniami,
„Widziałem jak na cmentarz nieśli go w żałobie;
„Przybliży się ku tym cierniom, i czytaj z łzami
„Słowa, które na jego napisano grobie:“

N A D G R O B E K.

Tu leży w łonie ziemi, pod prostym kamieniem,
Człowiek, co nie znał szczęścia, ni sławą zabłysnął;
Lecz mądrość nie wzgardziła niskim urodzeniem,
I słodki smutek znamię swe na nim wycisnął.

Miał on serce, dobroci pełne i miłości,
Źródło bardziej frasunków niżeli wesela;
Oddawał nędzy wszystko co miał: łzę litości.
Nieba mu, czego żądał, dały:.... przyjaciela.

Niech oko twe przymiotów dalszych nie odkrywa,
Ni śledząc błędy jego za grób się zacieka;
Wszystko już razem w drżącej nadziei spoczywa,
I Przedwiecznego w strasznym dniu wyroków czeka.

Oda pisana rzucając Anglią.

Już wiatr z gór śnieżnych kędy mieszka zima,
Wznosi bałwany i wiatry nadyma,
Rwie kotwę kupiec ładowny towarem,
Morze pod lotnym zgina się ciężarem,
I z chciwych oczu w niezwróconym biegu,
Porywa widok zbyt lubego brzegu.

Anglio! celniejsza nad wszystkie narody,
Kraju równości, szczęścia i swobody!

Nim mię uniosą rozhukane fale,
Nim się na zawsze od ciebie oddalę;
Niech ci głos nuci Polaka życzliwy,
Co bywał jak ty wolny i szczęśliwy.

Kiedy Król świata i mocarz niebianów,
Z łona zburzonych wyniósł cię bałwanów;
By wzór dobrego widzieli ziemianie,
W tobie wolności naznaczył mieszkanie:
Szczęśliwa wyspa zakwitła wesoło,
I umajone wieńcem wzniosła czoło.

Powstały zewsząd niebotyczne grody,
Po zielonych się smugach pasą trzody,
W złotych podwojach, czy w zagrodzie polnej,
Wszędzie mieszkańców znajdziesz ziemi wolnej,
Wszędzie na równych synów jednej matki,
Obfitość leje rogiem swym dostatki.

Zazdrosny sąsiad sił twoich i zgody,
Zbyt stąby liczne podnieca narody.
Okryły morza już spiknione żagle,
I świat powszechnym gromem zadrżał nagle.
Niezgoda trząsąc żmije z swych warkoczy,
Łądy i morza krwawą rzezią broczy.

Nieprzelekniony wśród burz naród mężny,
Sam przeciw wszystkim, bez wsparcia potężny;
Wszystkie swe walki zwycięstwami znaczy.
Jak Rzym co nie znał twógi, ni rozpaczy,
W wojnach z Kartagą, z Cymbry, z Mitridatem,
Stał niewzruszony i walczył ze światem.

Jeżli twój oręż straszny podczas boju,
Czyny twe słyną mądrością w pokoju.
Newton wzbiewszy się w pola lazuruowe,
Gwiazdom i światłu daje prawa nowe.
Drak ¹⁾ pierwszy walcząc wiatry w wątlej łodzi,
Podobny słońcu, świat w koło obchodzi.

Twoim przemysłem z drugiej świata osi,
Pysznać Tamiza bogactwa przynosi.
Czarny mieszkaniiec Afrykiej krainy,
Niesie ci złoto i drogie rubiny,
Persowie perły, Golkonda kamienie:
Cóż ci dać może człek wolny? — życzenie.

Oda do Kaszperka,

pieska Starościny Małogoskiej.

O ty! którego piękność i przymioty
Wzbudzają zazdrość, albo zadziwienie,
Cny Starościecu, Pani twej pieczętoty,
Pozwól nieśmiałe wzniesić do siebie pienie.

¹⁾ Franciszek Drake jeden z najslawniejszych admirałów angielskich, objechał kulę ziemską w roku 1567. Z Hiszpanów wiele zwycięstw i łupów odniósł. Powracając z Porto Bello zakończył bieg życia 28 stycznia. Ciało jego podług zwyczaju marynarzów zatopiono w morzu, co powód dało do następującego nadgrobkku:

*Quem timuit saevius etiam Neptunus in undis,
Et rediit toto victor ab Oceano,
Faedifragos pellens pelagro prostravit Iberos,
Drakius: huic tumulus aequoris unda fuit.*

Wiem, że najmiłsza dla ciebie poduszka;
Ale na chwilę zostaw ją na stronie,
Zakręć ogonkiem, chciej nadstawić uszka,
Rzeszy niemieckiej przezaeny baronie!

Wśród twarzy, którą utworzyły wdzięki,
Oczy rzesista powieka okrywa;
Oczy co tyle zadały już męki,
Na które patrząc niejedna omdléwa.

Lećz umysł silny nad sercem panuje,
Lotnym powabom uwieść się nie dałeś,
A namiętności rozum twój hamuje;
Jak drugi Scipio miłość zwojowałeś.

Bieżysz za sławą w dni twoich poranku
Jak ów Maltańczyk waleczący z Turkami,
W śmiałej postaci stojący na ganku,
Ogromnym głosem wojujesz z żydami.

I gdyby druty i żelazna krata
Nie wstrzymywały ciosów twych niezmiernych,
Zgładziłbyś pewnie wszystkich tego świata,
Wielki Kaszperku, pogromie niewiernych!

Wieczorem kiedy gasnąć mają zorze,
Ty się po Saskim przechodzisz ogrodzie,
Kasasz będących w politycznym sporze,
Albo rozmyślasz siadłszy w miłym chłodzie.

Często naturę w skrytościach jej śledzisz,
Niema drzew, ziółek, fijołków niewinnych,
Których ty noskiem swoim nie odwiedzisz,
Szukając chorym soków dobroczynnych.

Takie jest twoich talentów użycie:
Lecz gdy cię podróż morduje daleka,
Wracasz do domu w angielskiej karycie,
Gdzie już pieczone kurczę na cię czeka.

Wesół spoczywasz, a słodkich snów roje
Kwiecieiste maki sypią na cię hojnie,
Nie znasz co troski, co są niepokoje?
Zawsze enotliwy zasypia spokojnie.

Żyć eny Kaszperku, a dobrej swej pani
Od chorób, smutków, chciej wiernie pilnować,
My wszyscy do niej szczerze przywiązani,
Będziemy za to w łapkę cię całować.

Super flumina Babylonis.

Niewolnicy! obcemu hołdujący Panu,
Oblewaliśmy łzami smutną życia przedzę;
A wspomnienie ojczyzny i brzegów Jordanu,
Patrząc na Eufrat, naszą powiększało nędzę.

Na wierzbach, które jego otaczały wody,
Zawiesiliśmy już nam niepotrzebne lutnie;
Wtenczas kiedy wydziercy miłej nam swobody,
Uragali się naszym nieszczęściom okrutnie.

Śpiewajcie! pysznie do nas tyrani wołali,
Hymny przygotowane ku świętym obchodom:
Śpiewajcie, niech zwyciężycy co wam jarzmo dali,
Syońskiego dowcipu zdziwiają się płodm.

Przebóg! pienia zwyczajne w świątyniach twych Pań-
skich,

Nucić Boże zastępów! czy będzie się godzić;
Możemyż pośród obcych narodów pogańskich,
Szczęśliwych dni Syonu pamiątkę obchodzić?

Naddziadów naszych grodzie okazały!
Jeżeli cię zapomnę, Jeruzalem święta;
Jeżeli nadzieją twego powstania i chwały
Do śmierci dusza moja nie będzie zajęta:

Próżnym usiłowaniom lutni uporczywa,
Niech zamilknie na wieki w zdrętwiałych mych ręku;
Niech mi głos odejmując rozpacz nieszczęśliwa,
Żałosnym myślom więcej nie używa dźwięku.

**Fragment ody do wojska stojącego obozem nad
Dniestrem ¹⁾.**

Wiek zszedł, jak między Podola skałami
Huk trąb i kotłów bitw krwawych nie głoślił,
Jak nad świetnemi rycerzów hufcami,
Wiatr lekki orłów polskich nie unosił.
Tylu klęskami Ojczyzna zgębiona,
Z czołem zbroczonem z rozwalin powstała,
A widząc wodza i męża, zdziwiona,
Ze łzami dawnych synów swych poznała.

¹⁾ Oda której tylko kładzie się ułomek, pisana była w r. 1787, gdy za ogłoszeniem jakoby Turcy wpaść mieli na Podole, kilka tysięcy wojska polskiego zebrało się nad Dniestrem.

Poznała męstwo i dzielną ochotę,
Choć siły straty srogimi zwątały,
Poznała w wodzu gorliwość i cnotę,
Którą ene dusze Polaków pałały,
Kiedy na groty nieprzyjaciół srogie
Zdrowie i życie mężnie narażali;
A zasłaniając zagrody zbyt drogie,
Ginęli z sławą, albo zwyciężali.

Długo sąsiadów niewiarą zwodzony,
Potężny naród z siedlisk swych powstawa,
Azyi, Europy, szle lud zjednoczony;
I tych co Eufrat swym nurtem napawa,
I w stal, i w konie Arabów zamożnych,
I co nad Nilu brzegami mieszkają,
I dzikich Seytów co wśród puszczy bezdrożnych
W jadliwych źródłach strzały swe maczają.

Póki wódz dzielny strzeże naszych losów
Zostanie pokój w strwożonej krainie,
Ani poganin wśród okropnych ciosów
Targnąć się waży na Bogów świątynie.
Bezpieczne niwy i trzody szczęśliwe,
I brzegi twojej pieczy poruczone,
Ni zadrży matki serce zbyt trwożliwe
O dziecię piersi własnymi uśpione.

Patrzcie, krwią przodków nabyte granice
Najejdnik dziki zewsząd opanował,
A barbarzyniec hańbiąc praw świątynie
Szanownych mężów więzami krępował.
A jeśli Turczyn w zbyt zuchwałym czynie
Spienione Dniestru przejść się waży zwroty,

Wspomnijcie jaka krew w was jeszcze płynie,
Zeście dziedzice wielkich męzów cnoty.

Do Stanisława Potockiego,
posyłając podróże pani de Guébriant, która odwoziła
Marję Ludwikę.

Ty co nad brzegiem Sekwany
Otoczon wdzięków orszakiem,
Choć ich rozkoszom oddany,
Pamiętasz, żeś jest Polakiem;
Przyjm dzieło wdzięczne twej myśli,
Gdzie płci swej poseł nadobny
Obraz przodków naszych krésli,
Niegdyś wierny, dziś ozdobny.
Hoże panny w liczne gronie
Z Maryą rzucając te kraje,
Sądziły, że w śnieżnej stronie,
Scytów zastaną zwyczaje.
Lecz wkrótce błąd swój poznały,
Zdziwił je naród potężny,
Równie grzeczny jak wspaniały,
Równie odważny jak męzny.
Czas który bystrym polotem
Rzym i Ateny obalił,
I Persy lśniące się złotem;
Polski naszej nie ocalił.
Zginęła: dawnej wielkości
Kto sobie pamięć przywozi,
Nie rozpacza o przyszłości
I nadzieją klęskę słodzi.
Inni błędy nasze liczą,

Ja cnoty tylko wynoszę,
Ni spokojność niewolniczą
Nad słodką wolność przenoszę.
Ciężka nas gnębi potrzeba,
Stały tylko znieść ją umie,
Zniewieściały, w rozkosz tłumie
Pod obce uchodzi nieba.
Nad wszystkie w świecie narody,
Mnie nad wszystko Polska miła,
Tam spędziłem wiek mój młody,
Tam się ma Zosia rodziła;
Tam miłość, rozkosz i męki
Jej mi dało znać spojrzenie,
Ach! nad wszystkie bóstw tych wdzięki,
Wolę jej słodkie wspomnienie.
Te piękności co w swej sile
Ządze nie miłość niecą,
Jak młodości naszej chwile
Na skrzydłach czasu ulecą:
Zniknie Paryż ulubiony,
I te lekkich grotów blizny,
A człęk ze snu obudzony
Westchnie do miłej Ojczyzny.
Innym tak lube siedliska
My bez żałości porzucim:
Czuła nas ręka uściska
Gdy się do domów powrócim;
Tam usiadłszy nad strumieniem,
Pod dawnego buku cieniem,
Nucić będziem na multance,
O przyjaźni i kochance.

Przy ofiarowaniu ks. Czartoryskiej widoku Bielan.

Nie rozkoszne Włoch widoki,
 Nie pyszne Rzymu ruiny,
 Ni tej skały grzbiet wysoki,
 Z której źródł spada w doliny;
 Aniś szlę Szwajcarów góry,
 Gdzie pod sobą człek zdumiał
 Widzi pioruny i chmury,
 I gdzie *Saint-Preux* zagorzały,
 Tłumiąc płomienie swe żywe,
 Trawił wieczory i ranki,
 Patrząc przez perspektywę,
 Na domek swojej kochanki.
 Obraz, któryś Księżno daje,
 Nie wyraża miejsc tych sławnych;
 Są to wdzięczne Bielan gaje,
 Z dębów i jaworów dawnych.
 Wszędzie tam natura miła,
 W łąkach, kwiatkach i gałązkach;
 Tyś ją tylko zwyciężyła
 W twoich nadobnych Powązkach.
 Jedne atoli odmiany
 Chciałbym w tym uczynić lesie.
 Widzisz te posępne ściany,
 Smutny w nich zakon kryje się:
 Tam brodaty Kameduła
 Płci się twej musi wyrzekać,
 Tam dusza jego nieczuła
 Przysięga przed wdzięki uciekać;
 I gdy dla was kwiat pachnący
 Ścielą młodzianów gromady,

Oni ponuro mruczający
 Zacierają wasze ślady.
 Na tak obrządki niegrzeczne
 Słusznie muszę gniew wywierać,
 Bo przysięgłszy cześć wam wieczną,
 Żyć chce dla was i umierać.
 Idźcie więc kapłany smutne
 Na miejsca bardziej pokutne,
 Między góry, między sosny;
 Zostawcie ten gaj miłosny
 Przyzwoitszemu użyciu.
 Tu w tem ciemnych lip ukryciu
 Stawiajmy kościół ozdobny,
 Temu co w Knidos podobny:
 A w nim roboty misternej
 Składając posąg Temiry,
 Znajdziem w nim twój obraz wierny.
 Tam ci hołd przynosząc szczéry
 Oddamy kwiaty za dary,
 Wszystkie serca za ofiary;
 A zaś w pysznym kolumn rzedzie,
 Niech ten krótki napis będzie
 W drogiem wyrzuty złocie:
 „Wdziękom, przymiotom i enocie.“

Biedny student.

Świat srogi, świat przewrotny,
 Wszystko na opak idzie:
 Kto nie wart, pan stokrotny,
 A człek pocziwy w biedzie.

Lecz rozum górę bierze,
Tym sobie życie słodzę;
I ja porosnę w pierze,
Choć dziś bez butów chodzę.

Na górze mieszka sława,
A szczęście jeszcze wyżej;
Lecz gdy chęć nie ustawa,
Wnet się człek do nich zbliży.

Nie mądry, kto wśród drogi
Z przestrachu traci męstwo;
Im sroższe ciernia, głogi,
Tém miłsze jest zwycięstwo.

Im srożej nas los nęka,
Tém mężniej stać mu trzeba:
Kto podło przed nim klęka,
Ten nie wart względów nieba.

Mnie chociaż głód dojmuje,
Lecz duszy mej nie szkodzi;
Spiewaniem będę truję,
Wesołość troski słodzi.

Wiersz napisany z powodu sadzenia przez autora
ziarnka jabłoni w jego zagrodzie Ursynów nazwanej.

Ziemo wszech tworów i matko i grobie,
To ziarno kędy ledwie życie tleje
Przyszłych owoców i cienia nadzieje
Powierzam tobie.

Przyjm je w twe łono, pielęgnuj troskliwie,
Niech żyzne soki pogody niezmienne
Dają ci pokarm, rozwiną szczęśliwie
Listki nasienne.

O wąż płonko, jakież cię przygody,
Jakie czekają zburzenia w naturze,
Wichry i mrozy i wezbrane wody,
Gromy i burze.

A choć się wzniesiesz w zarodach wątpliwych,
Rozwiniesz listki gdy wiosna zawita,
Zgniota cię może wrogów zapalczywych
Końskie kopyta.

Dajmy, że los mych nadziei nie zdradzi,
I że zakwitniesz, dasz owoc obfity,
Już go nie zerwie ten co ciebie sadzi
Ziemią przykryty.

Leśni bogowie! kiedy mnie nie stanie
Miejcie w swej pieczy te zagrody moje,
Szczupłą pasiekę, to skromne mieszkanie
I czyste zdroje.

Bodajby dziedzic święcąc dzień godowy
Cieszył się miejsc tych owocem i cieniem,
A bielący się kamień mój grobowy
Uczcił westchnieniem.

**Naśladowanie pieśni Mojżesza po przejściu suchą nogą
Morza Czerwonego.**

LUD CAŁY.

Śpiewajmy Panu; śpiewajmy,
Wielmożność Jego niech będzie wzniesioną,
On naszą chwałą i naszą obroną,
Śpiewajmy Panu, śpiewajmy.

MOJŻESZ.

On jest mym Bogiem, Bogiem ojców moich,
On mię w ucisku ośmielił,
On tonie morskie na dnie rozdzielił,
Tehnieniem ust swoich.
Na Boga mego święte rozkazanie
Stanęły wody, jak ściany ciekące
Osiadły w głębi bezdenne otchłanie,
I fale wrzące.
Będę je gonił, rzekł Faraon śmiejąc,
Miecz krwawy w rękę pochwyć,
Wytnę ich hordy, łupy ich podzielię,
W pośród zwyciężkich okrzyków,
Spragnione dusze moich wojowników,
Krwia ich nasycę.
Ale ty Panie, w gniewie twym straszliwym,
Wionąłeś z nagła wiatrem popędliwym,
Powstały burze — wraz nieznanym cudem
I Faraona z niezliczonym ludem,
I wozy jego wysokie,
Pokruszone hełmy, bronie,

I zbrojne jeźdźce i waleczne konie,
Połknęły fale głębokie.
Jak ciężki kamień albo otów zsiadły,
W dno ciemne morza upadły.
Boże przedwieczny! tyś jeden prawdziwy!
Któż w gniewie swoim jako Ty straszliwy?
Sędzio czarnych nieprawości,
Potężny, dzielny, wszechmożny,
Puściłeś ogień twej zapaleczywości!
Huknął piorun, błysły gromy,
A jak stopy wielkiej słomy
Spłonął bezbożny.
Nie tu koniec wielkich cudów,
Ach! ileż jeszcze do zniesienia trudów!
Widzę przed sobą puszcze, zewsząd kraj skalisty,
Próżno, boś odjął od serc naszych trwogę,
W dzień obłok ciemny, w nocy słup ognisty
Wskaże nam drogę.
Święte z twym ludem zawarłeś przymierze,
Gdzie skwarnych piasków potopy,
Gdzie cześć odwieczna, kędy żadne zwierze,
Nie wycisnęło swej stopy.
Ty nas powiedzisz przez szlaki niemyłne,
Ty zsyłać będziesz pokarmy posilne,
Uderzysz w skałę, a z twardej opoki
Wytrysną źródła potoki.
Czas przyjdzie, gdzie odejmiesz naszych trudów brzemień,
Zajdziemy z tobą w obiecaną ziemię,
Usłyszą o nas potężne narody,
Moab, Edom i silne ich grody.
Strach ciężki padnie na możne książęta,
Ziemia bojaźnią przejęta,

Dumny Filistyn umilkną ze drzeniem

Przed twem ramieniem.

Wtenczas o Panie na górze Syonu,

Dziedzictwa twego latorośl posadzisz,

I dasz nam ziemię obfitego plonu,

I wrogi nasze wygładzisz.

Wtenczas się korząc przed twym świętym progiem,

Śpiewać ci będziem, boś ty naszym Bogiem!

Bo łaski twoje niezmiennie,

Bo twoja Boże prawica wzniesiona,

Jeźdźce i konie, wozy Faraona,

Gdy wrzuca w nurty bezdenne,

Dla ludu twego morze się rozdziela,

Fale cofają się wstecznie,

I dno przepaści, hufce Izraela

Przeszły bezpiecznie.

LUD CAŁY.

Śpiewajmy Panu, śpiewajmy,

Wielmożność Jego niech będzie wzniesioną,

On naszą chwałą i naszą obroną,

Śpiewajmy Panu, śpiewajmy.

Cztery pory życia ludzkiego¹⁾.

(*Ułomki*).

Dzieciństwo.

Krótki dni naszych przeciąg smutku i wesela,

Chwilę co urodzenia od śmierci przedziela,

¹⁾ Poema to około 4000 wierszy zawierac mające, pisał autor w czasie pobytu swego w Ameryce.

Wiek dziecinny, wiek młody, czerstwą wieku porę,

I ciebie cna starości, nucić przedsiębiorę.

O ty! co w krótkich chwilach powodzeń ojezystych,

Wzbudzałaś rym mój, dałaś czerpać w źródłach czystych,

Muzo Słowiańska! i dziś użycz twej pomocy.

Ach! gdy jestestwo Polski wieczna kryje noc,

Kiedym ja przymuszony przez zburzone fale,

Nieść skołatane życie, i ciężkie me zale,

W nowe świata krainy: Muzo! twe natchnienia,

Niech słodzą me tęsknoty i ciężkie strapienia.

Ty chciej opuszczonego towarzysząc wiernie,

Kręślić życia ludzkiego i kwiaty i ciernie,

Przygód i uczuć naszych rozliczne koleje,

Rzetelne umartwienia i błędne nadzieje.

Człowiek którego Twórcy dobroć niepojęta,

Tak znakomicie wzniosła nad wszystkie zwierzęta,

Rzewnem czuciem, umysłem obdarzyła dzielnym,

Człek ten pyszny, jak słaby jest w swoim początku!

Odwiec z pierworodnego wywinięty wątku,

Pierwszem słabiuchne piersi wznosi odetchnieniem,

Gdy już świat ten napętnia żalosnem kwileniem;

Rzekłbyś, że świadom jaki los go później czeka,

Dziecina oplakuje niedolę człowieka.

Lube niemowlę! gdy dziś nagie i płaczące,

Leżysz na łonie matki: a w koło stojące,

Ciesz się przyjaciele z twego urodzenia,

Zyj tak, by kiedy dojdiesz dni twych dopełnienia,

I z pogodnym uśmiechem legniesz w przodków grobie,

Stojący na około płakali po tobie.

O wy coście przytomni jego urodzeniu!

Przybliżcie się do małej kołyski w milczeniu.

Z zmrużonemi powieki zaledwie ruchome
 Żyje wątłe stworzenie, życia nieświadome,
 I gdyby nie płacz, którym często się odzywa,
 Rzekłbyś, że niejestestwa ciemność go okrywa,
 Dźwięk głosu o słuch jego próżno się obija,
 Próżno światło słoneczne przed oczyma mija.
 W martwych zmysłach nie jeszcze nie czyni wrażenia,
 Jedno zna tylko czucie bólu i cierpienia.

Od chwili w której światło dla ciebie zabłyśło,
 Całe jestestwo twoje od matki zawisło.
 Ona zrosiwszy łzami bólu i radości,
 Strzeże cię wiernie w twojej niemocy, słabości:
 Śnieżne jej piersi słodkie sączą ci strumienie,
 Zgaduje każdy ruch twój, płacz i uśmiechnienie.
 Nieraz po dziennych trudach, gdy słodko spoczywa,
 Obudzona twym głosem, z łóża się porывa,
 Nóżką kolebkę wolnem wahając ruszeniem,
 Ucisza twoje płacze dawnej nóty pieniem;
 Ty spisz, a ona w ciebie ma wlepione oczy;
 O tkliwa matko! słusznie miłość twa jednoczy,
 Twą chlubę, twą ozdobę, two przyszłe nadzieje,
 W twym wątłym tworze, co się jeszcze z życiem chwieje,
 Nieba może wielkiego człeka duszę wlały,
 Nieba w dzieciństwie Zbawcę narodów wskazały:
 Jak dziś ciebie, wprzód matka cisnęła do łona,
 Cezara, Alexandra i Napoleona.

Lecz próżna piecza Bogów, jeżeli two starania
 Uchybią rozsądnego z młodu wychowania,
 Do ciebie, coś w wnętrznościach twoich płód ten drogi,
 Nosila pełna słodkiej nadziei i trwogi,

O matko, straż należy twojego dziecięcia,
 Świt życia jego, pierwsze umysłu pojęcia;
 Niechaj inni gdy przyjdzie do dojrzalszej doby,
 Udzielają mu nauk, kształtu i ozdoby:
 Ty pielęgnuj dzieciństwo, i w staraniach dziennych,
 Sposób młoda latorośl do owoców plennych;
 Jak miłe zatrudnienie z wstętem jednak tajnym,
 Powierzone jest nieraz rękom zaprzędnym,
 Jakże drugiej ustąpisz tej lubej słodyczy,
 Kiedy dziecię two kilka miesięcy już liczy:
 Kiedy rączkami śnieżnymi piersi twoje trzyma,
 A z łagodnym uśmiechem szukając oczyma,
 Pierwszy raz rzewnem matki woła cię imieniem;
 Kiedy później nieśmiało z bojaźliwym drżeniem,
 Zdziwione wahając się na obadwa boki,
 Spiesząc do łona twego wątłe stawia kroki:
 Ta, która patrząc na to łzą powiek nie zrosi,
 Nędzna, imienia matki niech nigdy nie nosi.

Natura przezornością w czynach swych niemyślną,
 Wlała w serca żyjących dzieci miłość silną.
 I nie jest to ludzkiego działem tylko rodu,
 Patrz, jaka zwierząt tliwość dla małego płodu:
 Drobną ptaszyną, co ją ledwie oko ściga,
 Kiedy się szparkim lotem, tu i owdzie miga;
 Co gdy szyja jej złotem i szmaragdy błyska,
 Rzekłbyś, że drogi kamień w powietrzach się ciska¹⁾,
 Hamuje żywość: w lubem zatrudniona dziele
 Uplecione gniazdeczko miękkim puchem ściele.

¹⁾ Ptasek Kolibris zwany, wielkości bąka, piórka jego
 lśnią się złotem, lazurem i purpurą

Przyszłe nadzieje piersi własnymi ogrzewa,
 I kiedy się płód drobny z skorupki dobywa,
 Ssie dla nich wszystkie kwiaty, żer częsty przynosi,
 Lub siadłszy na gałązce, radość swoją głosi.
 Trwoży ją szelest liścia, niech pasterz swe dłonie,
 Ściągnie do małych piskląt, ginie w ich obronie.
 Co mówią w onych krajach, gdzie tygrzyca dzika,
 Okropnem wyciem puszcze hyrkańskie przenika,
 I ta tkliwa dla dzieci wypada z leżyska,
 Łamie zawadne łoży, gęstą pianą pryska;
 Rozdziera w ostrych szponach struchlałe zwierzęta,
 I wracając gdzie srogie czekają kocięta,
 Liże je, krwawą paszczą przygarnia do łona,
 I zgłodniałym nabrzmiałe podaje wymiona.
 Inne czucia świat nieci, daje wykształcenie,
 Leez miłość dzieci samo wlewa przyrodzenie.
 Widziałem ja w okropnych puszczech Ameryki,
 Obfédnych Indyanów ród srogi i dziki,
 Obcemi u nich były słodkie rozrównienia,
 Ale gniew, czarna zemsta, wściekłe uniesienia,
 Szarpały twarde dusze; płci u nas kochana,
 U nich na ciężkie prace, obelgi skazana,
 W cierpieniach swoich innej nie znała stodyczy
 Jak tę, co w sercu matki, najpierwszą się liczy.
 Nieraz mąż idzie lekko, gdy się żona kłoni,
 Pod ciężarem Sajdaków, i zbójckiej broni,
 I gdy już zmordowana potem zlewa ziemię,
 Kładnie na wierzch swe dzieci, i lekkim jest brzemię.

Młodość.

Jakiż nam zwodny obraz wiek ten okazuje!
 Młodzieniec na nieznanym stawając zawodzie,
 Krewki, żywy w uczuciach, nadobny w urodzie,
 Niepowściągnięty w żądach, w przedsięwzięciach śmiały,
 Popędliwy w swych chuciach, i razem niestały;
 Na młodych zmysłach każde przedmiotów zaczenie,
 Zachwyca go i silne sprawuje wrażenie,
 Co powabami łodzi, albo blaskiem świeci,
 Za tem, skutków niebaczny, zaślepiony leci.
 W ucztach, tłumie, zabawach, rozkosz swą zakłada:
 Na widok wiatronogich biegunów przepada,
 Drży w nim serce ogarów gdy usłyszy granie,
 Lubi w zielonych lasach dziarskie gonić łanie,
 W gronie piękności każdej uczucia swe udzielać,
 I za małą urazę z rywalem się strzelać.
 Chlubny ilekroć może swe okazać męstwo,
 Zuchwały, bo nie poznał co niebezpieczeństwo:
 Łatwowierny we wszystkim, prędki z powierzeniem,
 Bo jeszcze nieoświecon długiemi doświadczeniem,
 Smutnemi zawodami dotychczas niezgięty,
 Głuchy na głos przyjaźni, i w błędach zacięty.
 Damon mniemając dochód swój niewyczerpany,
 Dobrocią serca, częściej próżnością łechtany,
 Wzięcia marnotrawnemi szukając wydatki,
 Trwoni swoje, i ciągłych pokoleń dostatki,
 Olbrzymi sługa w hafty przyodziany złote,
 Dźwiga krocie, rolników, żywność i robotę,
 Sto rumaków wędzidła poztociste zuje,
 I niekiedy użyte pasąc się próżnuje:
 Gną się stoły pod srebra i potraw ciężarem,

Kiedy młody gospodarz z ogromnym puharem,
 Wina dostałe wieku całego obrotem,
 I co pradziad herbownym naznaczył klejnotem,
 Strumieniami wylewa: w napełnionej sali,
 Zgiełk serdecznych przyjaciół i kocha i chwali.
 Krótki zawrót, majątek już przenoszą długi,
 I lichwiarz dobroczynnej odmawia usługi:
 Tłum przyjaciół zmniejsza się, przeraża i znika,
 Ten co w zbytkach pochlebiał w niedoli unika.
 Szczęśliwy doświadczeniem gdy błąd swój opłaci,
 Jeżeli pracą odzyska, co szaleństwem straci.

Inni niesworni w chuciach, niecierpiąc przestrogi,
 Trują późniejsze lata wczesnemi nałogi.
 Próznowaniu i świata ponętom oddani,
 Wichrem szalonych chuci ze wszech stron miotani,
 Niebaczni lecą w przepaść: tego krasne lice
 Wiednieją przy najętej za złoto podwice;
 Ów na ucztach wśród głośnych oklasków i śmiechów,
 Szuka stawy z wielości spełnionych kielichów,
 I rozumie, że mężny, gdy burdy wyrządza.
 Na widok kupy złota, już chciwości żądzą
 Pożera graczy w koło stolika zasiadłych,
 W twarzach ich raz ognistych, drugi raz wybladłych,
 Trwoga w nadzieję, radość w rozpacz się zamienia,
 I serce bije podług karty pociągnięcia.
 Noc bezsenna i światło gdy zorza przywodzi,
 Ten co usiadł bogaczem, ubogim odchodzi.
 Niewczesne zale z zdrowia, i chwil drogiej strata,
 Nędzna starość niebacznej młodości zapłata.

Ale kiedy płci męzka w miłości zapale,
 Burzy się, gardzi radą i czyni zuchwale,

Miło na słodszy widok obrócić źrenicę,
 Na tę w pierwotnym kwiecie niewinną dziewicę:
 Jak róża z barwą łzami jutrenki zroszoną,
 Gdy przed słońca światłością otwiera swe łono,
 A nieśmiała za każdym Zefira dotknięciem,
 Pali liście, i żywszem zachodzi spłonieniem,
 Tak się w dziewicy lube rozwijają wdzięki,
 I czucia źródło przyszłych rozkoszy i męki.
 Patrz jak włosy przez lekkiej ręki utrefienie,
 Na białe czoło w gęste spadają pierścienie,
 Pod długimi rzęsami wzrok pełen pieszczoty,
 Niechcący może, sieje już niechybne groty:
 Czy z uśmiechem rozsunie usta koralowe,
 I ukaże twym oczom dwa rzędy perłowe,
 Czyli śnieżnych pagórków postrzeże wzruszenia,
 I wstydną szczerzej na pierś bukiet rozprzestrzenia;
 Czyli hoża krok stawi źrenicę znużoną,
 Wszędy jej lubych wdzięków towarzyszy grono:
 Niewinne jej są myśli, niewinne i czyny,
 W użytecznych zabawach uchodzą godziny.
 Znając swe przeznaczenie, wolna od przesądu,
 Naucza się od matki domowego rządu,
 I pomaga jej w pracach; częstokroć wieczorem
 Tę różę co jej hożej postaci jest wzorem,
 Skrapia rześistą wodą, lub białe lilije,
 Narcyzy i gwoździki, i bluszczy co się wije,
 Pielęgnując przyjemną napawa się wonią:
 Nieraz ujawszy igłę, bielszą nad śnieg dłonią,
 Oszczędna gardząc ręki najemnej wytwory,
 Sama kształci swe wstęgi, i skromne ubiory.
 Albo też z książką w ręku pod lipowym cieniem,
 Unosi się nad wieszczyków nieśmiertelnem pieniem,

Nie czyta ona dzieł tych, gdzie cnoty morderce,
 Obląkiewając rozum, zarażają serce,
 Ale to przekładając, co wzorów udziela,
 Rozrzuca się z Klaryssą, lub z biedną Pamelą.
 Przy niej równa w postaci z lat jeszcze dziecinnych
 Jedyna powiernica tajemnie niewinnych,
 Pędzi dni swoich wiosną przyjaciółka młoda,
 W obu też same myśli, taż sama uroda.
 Nieraz widzisz schylone nad małą krosienką,
 Wyszywające jeden kwiatek wspólną ręką,
 Siedzą około siebie, a wśród prac osnowy,
 Śpiewanie, lube śmiechy, ustawne rozmowy;
 Tak nigdy nierozdzielne z sobą przyjaciółki,
 Jak drzewo jedno spodem, kiedy swe wierzchołki
 Dwoi w równe gałęzie, albo jak dobrane,
 Na jednymże pęciku dwie wiśnie rumiane.
 W takich to zatrudnieniach uchodzą godziny,
 Na spokojnych rozkoszach, zabawach bez winy,
 Miłe jej są rozrywki, wiekowi właściwe,
 Kiedy usłyszy granie, i skoczne i żywe;
 Krokiem, którego szybkość ledwie możesz zoczyć,
 Zażywiona wesołym tańcem lubi toczyć,
 Ale tych tłumnych biesiad starannie się strzeże,
 Kiedy w bezczynnych nocach wędzną lice świeże.
 Gdzie pod dzikiem przebraniem, pod zwodniczą maską,
 Nieprzystojnemi żarty, wesołością płaską,
 Śmie obrażać niewinność rozpusta zuchwała,
 Raz je ujrzy, nie będzie więcej o nie dbała.
 Milszą zabawę niesie domowe schronienie,
 Gdy się zniżą na ziemię, pokój i milczenie,
 A księżyc bijąc blaskiem po szklanej powodzi,
 Nad ustronną dolinę okrąg swój zawodzi.

W pośród wonnych jaśminów, gdzie się strumień sący,
 Z żałosnym jękiem lutni, słodkie pienia łączy,
 Ujęte lubym głosem i wieczorną ciszą,
 Zefiry się na krzakach różowych kołyszą.
 Ustaje szelest liści, wszędzie cichość głucha,
 Słownik czasem z nią śpiewa, znów milczy i słucha.
 Może wtenczas kędy ten jawor okazały,
 Ukryty patrzy na nią kochanek nieśmiały.

O podróżach bogatych dla przyjemności i biednych z potrzeby.

Bogaci znają tylko rozkosze podróży,
 Lecz trudy przeciwności a niebezpieczeństwa,
 Udziałem niedostatku i czynnego męstwa.
 Patrz, młodzieniec co w stanie zrodzony nieświecym,
 Ale z gorącą duszą, z umysłem szlachetnym,
 Gdy mu kraj własny wszelkich sposobów odmawia,
 A przyszłość, nędzę smutną, podległość wystawia,
 Chciwy zawistnych losów polepszyć koleje,
 W pracy rąk własnych mieszcząc wszystkie swe nadzieje;
 Idzie w dalekie kraje, i osady nowe,
 Rzucając z płaczem krewnych, i bogi domowe,
 I tę, co swą pięknoscią i spojzeniem tklivem,
 Zająta duszę jego ogniem nieszczęśliwym:
 Próżno czułe ich serca wierna miłość spaja,
 Co skłonność połączyła, ubóstwo rozdwa.
 Dla niej więc, by z nią kiedyś liczył dni szczęśliwe,
 Naraża się na trudy i morza burzliwe.
 Już wiatr powstaje, już się głos majtki odzywa,
 Żeglarz zarytą kotwę z głębi wód dobywa,
 Przyszedł żałosny moment ciężkiego rozstania,

Kiedy ściśnionem sercem wśród płaczu i łkania,
 Żegna krewnych, przyjaciół i lube siedliska,
 Raz ostatni kochankę do łona przyciska:
 Ta z włosem rozpuszczonym wpół martwa i blada,
 Jęk rozpaczy wydając na brzegach upada;
 I gdy żal ciężki serce młodzieńca napawa,
 Tegim pędzona wiehrem oddala się nawa.
 Nazajutrz ledwie z czarnych świt powstaje cieni,
 W pośród tła niebios, i wód niezmiernej przestrzeni,
 Słabo miga się jeszcze strapiionemu oku,
 Szczyt lubych siedlisk, w szarym niknący obłoku,
 Wkrótce z całym go światem stłone dzielą fale:
 Szybki okręt po wodach raz buja wspaniale,
 I znowu silnym wiehrem natężona burza,
 Płytką sztabę w bezdennych przepaściach zanurza,
 Między okropną śmiercią i człekiem zuchwałym,
 Spojonych kilka deszczek jedynym przedziałem.
 Komu przebywać morza nadał los zbyt srogi,
 Zna początków żeglugi przykrości i trwogi,
 Gdy się natura wzdryga na żywioł nieznany,
 Gdy człęk w ciasnem zamknięciu ze wszech stron miotany,
 Czuje niesmak, tęsknotę, i ten stan niemiły,
 W którym zemdlone cierpią, i umysł i siły.
 Lecz w żegludze jak w życiu nie zawsze dni ciemne,
 Znajdziesz na morzu nawet zdarzenia przyjemne,
 W jednostajności ważnym każdy przedmiot nowy.
 Tu olbrzymi wieloryb wzniesion do połowy,
 Ogromną postać w pośród fal spienionych ciska,
 Nurza się, wznosi, szumne potoki wypryska:
 Bliżej oko postrzega wskróś wód przeźroczystych,
 Jak blaskiem farb tysiącznych i skrzeli złocistych,
 Lśniący się Delfin pędzi za rybką skrzydlatą,

Biedna, szparkości jego stać się ma zapłatą,
 Aż gdy żarłocznik już już paszczę na nią godzi,
 Rozwija mokre skrzydła i lotem uchodzi.
 Lecz bardziej żaden widok nie jest pożądanym,
 Jak gdy długo samotnie po morzach miotany,
 W niezmiernej odległości zagiel się zabieli,
 Sami wśród oceanu co ich z światem dzieli,
 Zbliżają się nawzajem, ach co za przyjęcie!
 W sereach żeglarzy; mileżą, wiatrów tylko dęcie
 Uroczyście przeraża, gdy trąba chrapliwa,
 Z bliskiej nawy stłumionym głosem się odzywa,
 Pyta, uczy, zkad płynie, w które strony zmierza,
 A głos ten ludzki mile stęsknionych uderza.
 Tymczasem gdzie ku morzu tło się niebios zniża,
 Słońce wspaniałym tokiem zachód swój przybliża,
 I powoli zstępując w wód kryształę czyste,
 Miota na wszystkie strony strzały płomieniste;
 Morze, obłoki wolnym unoszone lotem,
 Rumienia się purpurą albo błyszczą złotem.
 Wkrótce żywioł jasnego słabiejąc potoku,
 Gubi się w słodkich cieniach wieczornego mroku,
 Cicha spokojność: wtenczas nim się noc przybliży,
 Słyszysz jęczące brzmienie uderzonej spiży,
 Co do zwykłej modlitwy zwołuje żeglarzy,
 Niemasz świątyni, niemasz tam Pańskich ołtarzy,
 Ale sędziwy kapłan z głębi Oceanu,
 Niebios, ziemi i wichrów wszechmocnemu Panu
 Modli się: „O ty, rzecze, co dzielną prawicą,
 „Władasz zhukanem morzem, i chmur błyskawicą,
 „Co wśród grzmotu na skrzydłach wiatrów wyuzdanych,
 „Otoczon nocą latasz górą wód wezbranych,
 „Na tę garstkę żeglarzy, na tę wątlą nawę,

„Z ciemnych zastępów twoich spuść oczy łaskawe,
 „Prowadź ją wpośród wirów, i wśród skał zdradliwych,
 „Strzeż od srogich nawałnic i rozbić straszliwych;
 „Niechaj niesiona wiatrem co jej ciągle sprzyja,
 „Do pożądaných łądów szczęśliwie zawija.

Rzekł, jak woń całopaleń z ołtarza świętego,
 Wznoszą się czyste modły, przed tron Najwyższego.
 Tymczasem noc nad światem swe roztacza cienie,
 Czuwa żeglarz u steru smętne nucąc pienie,
 Czuwa młodzian, ale w nim ta spokojność cicha,
 Powiew wiatru co okręt łagodnie popycha,
 Ten tłum światła w lazurze niebios rozsypany,
 Lekki szmer w koło sztaby iskrzącej się piany,
 I uroczystej nocy wspaniałe milezenie,
 Upłynionych chwil rzewne przywodzi wspomnienie.
 Z tej to nawy, z ostatnich szranków może świata,
 Przenosząc się nieścisłym torem myśl skrzydlata,
 W zacisze domowego stawia go siedliska,
 Kędy sędziwa matka w około ogniska,
 Wspomina go, gdzie słysząc to kochanka tkliwa,
 Rumieni się, i wzdycha i łyzy swe ukrywa.
 Takim dumaniem kiedy słodko się uwodzi,
 Bezsenne poranna jutrenka znachodzi.
 Ufniejszy majtek z słońcem na niebie wzniesionym,
 Podaje wszystkie zagłę wiatrom natężonym.
 Ale nieraz w tym biegu wiatr raptem omdlewa,
 Nieruchoma się cisza po wodach rozlewa,
 I każdy wiew Zefiru usypia i koi,
 W szklanej równinie morze błyszczące się stoi:
 Jak ogniem roztopione kiedy srebro płynie,
 Lub marmurowy pomost w gotyckiej świątyni,
 Ta głucha ciszy, niebo co się zwolna chmurzy,

Okropną są oznaką nadchodzącej burzy.
 Czy słyszysz, jak się wichur z srogim szumem zrywa,
 I świat czarnych obłoków kłębam okrywa?
 Huczą pioruny, burza tęgość swą wywiera,
 Ślad krwawej błyskawicy ciemnotę przedziera,
 Wznoszą się wały, krytym wirum nawet dręczą,
 Skrzypią maszty i reje natężone jęczą.
 Okropny zgieleń i wrzawa, majtek strachem zdjęty,
 Pnąc się po linach żagiel związuje rozpięty,
 Przykro patrzeć, na słabej jak się żerdzi chwieje,
 Jeden krok śliski, lub gdy szturm tęgo zawieje,
 Zrzuca go na łeb w przepaść rozhukanej fali;
 Za nim maszt z przykrem jękiem łamie się i wali.
 Schylona nawa wagą, która ją obciąża,
 Zalewa się falami, i w głębi pogrąża,
 Albo na ostrych skałach w poprzek się rozpada.
 W tym okropnym momencie strach i rozpacz błada,
 Sroga śmierć i grób w morskich potworów paszczęce,
 Przerazają nieszczęśliwych, mdłe podnosząc ręce,
 Toną w słonych bałwanach: a w zaćmionej myśli,
 Obraz lubej ojezyny raz się jeszcze kręśli.
 Gina, nad smutnym zgonem nikt łyzy nie wylewa,
 Morze ciało ich długo miotając wyziewa
 Na brzeg obey, gdzie twardej mieszkancie opoki,
 Przykrywa garstką ziemi obnażone zwłoki.
 Nie usłyszą już o nim rodzice ni krewny;
 Taka niedola człeka, los jego niepewny!
 Jak szczęśliwa ta chwila, lecz jak szybko leci,
 Gdzie pod skrzydłem rodziców rosną lube dzieci.
 Wkrótce duch wszechmoconego wyroki swojemi,
 Rozdmuchnie ich szeroko po przestrzeniach ziemi.
 Ledwie dzień razem żyje nieszczęsną rodzina,

Ledwie syn ojca, córka matkę przypomina.
Dąb widzi, jak się przy nim liczny żołądz wznasza,
Niestale plemię czteka wszędy się rozprasza.

.

Do Temiry.

Noc była cicha, wiatry ukojone
Z lekka wzdymają zagle rozwinione,
Księżyc oświeca niebieskie sklepienie,
I słodkie czyni cichość i milezenie;
Innych sny lube skleją powieki,
Ja w mych wspomnieniach spoczynku daleki.

Piękna Temiro w każdej życia dobie,
Nucę mą miłość i myślę o tobie.

Widzisz tę górę, której dym, płomienie,
Miotają w koło śmierć i spustoszenie,
Wczoraj chodziłem na wierzch jej wysoki,
Podemną wrzały ogniste potoki;
Okropna ciemność i przepaści srogie,
Jeżeli wzbudziły w sercu jaką trwogę,
To chyba żebym zginawszy w tej dobie,
Luba Temiro zginął nie przy tobie.

Nieraz na brzegach odległego morza,
Gdy uwieńczona kwiaty wschodzi zorza,
Gdy wdzięczne wonie Zefiry roznoszą,
I gdy natura cała tchnie rozkoszą;
Między gajami, wśród wód tych mruczenia,
Temiro moje wołając westchnienia!

Tutaj daleki świata, w miłej dobie
Świat mój i szczęście znalazłbym przy tobie.

Wśród ruin, gdzie dziś pasterz strzeże trzody,
A wprzód pyszne Greków stały grody;
W ostatkach świątyni kędy wonne dary,
Palono bóstwu wdzięków na ofiary;
Temiro ciebie widzieć mi się zdaje,
Tobie me serce hołd i cześć oddaje.

Gdyby dziś bóstwo czczono w ludzkiej dobie,
Matkę miłości wielbionoby w tobie.

Lecz już odkrywam nieszczęsnej Messyny
Błyszczące światła pomiędzy ruiny,
Żal wzbudza widok przepaści i zguby.
Temiro jeźlim nie jest tobie luby,
Jeżeli wzgardzisz czucia moje tkliwe,
Pójdę wśród reszty gmachów tych płacziwe,
Pójdę w tak wielu nieszczęśliwych grobie
Zginąć, gdy miłym nie mogę być tobie.

Na morzu 1784.

Przy ofiarowaniu portretów ks. Czartoryskiej wystawiających sławnych Polaków.

Walecznych bohaterów drogie nader cienie,
I sławy i cnót dawnych Polaków wspomnienie,
Tobie szlę Pani; tobie co nad wszystko mili,
Ci co krajowi swemu gorliwie służyli.
Znajdziesz tu królów, mężów, orszak znakomity,
I co świetnem bywało w Rzeczypospolitej;
Ten ścierał uporczywe Krzyżaków szeregi,
Ten broczył krwią turecką ostre Dniestra brzegi,

Ten nareszcie, jak ciężko przypomnieć różnicę!
 Zdobywał Ruskie kraje i palił stolice.
 Ach nie chcę tu przywozić czyny ich tak głośne,
 W niedoli, szczęścia nawet wspomnienia żałośnie!
 My wstyd znajduję w każdym cnót tych dawnych wzorze;
 Ale ci co jaśniejsze ujrzą może zorze,
 Te młode krzewy, co tu przodków swoich liczą,
 Co zacni Księstwo waszą krew z enotą dziedziczą,
 Których muzy i wdzięki razem wychowują;
 Niech się w tych wielkich mężów obrazy wpatrują.
 Tym je pokazuj księżno: niech za ich przykłady
 Zatrą krwią własną, hańby kraju swego ślady.
 Tak gdy Rzym, który enotą, światem długo władał,
 Pod skażeniem i bronią Wandalów upadał,
 Gdy pośród owych gmachów, wśród świątyń zwałonych,
 Cne Rzymianki płakały zwycięstw upłynionych,
 Nie jedna we łzach tuląc synów swych do łona,
 Wskazywała im bóstwa Fabiów i Katona.

W tem ja to sławnem mieście, gdzie wielkie wspomnienia
 Smutne i słodkie w sercach rodzą rozrzewnienia,
 Gdzieś podobna Kornelia żyła matką Graków,
 Zbierałem te obrazy odważnych Polaków.
 Wiele inne mi miejsca, inne dały kraje;
 Te sławny w światła, sztuki, rozkosze, zwyczaj,
 Zamykał w sobie Paryż; te miał naród dumny,
 Cnotliwy w obyczajach, w wolności rozumny:
 Te, zysków bardziej cheiwi niż uciech i sławy,
 W twardej miedzi wyróżnili przemysłne Batawy:
 Tak każdym, pamięć sobie miejsc nowych przynoszę,
 I wdzięczność temu, co mi dał znać te rozkosze.
 Tobie księżno, rycerzów wziętych już wśród bogi

Składam, gorliwej Polsce zbiór zapewne drogi.
 W czyichże przyzwocieci powinien być ręką
 Jako pod strażą enoty, przymiotów i wdzięku?

**Do Ludwika Gutakowskiego w dzień jego imienin,
 posyłając mu kopersztych Janusza Radziwiła.**

W takich wyrazach, Janusza
 Tehnęła bohaterska dusza;
 Ten to któregoś wspominał,
 W głosie wymownym i tkliwym,
 Jak sobie dzielnie poczynął,
 Jak choć Kalwin, był enotliwym:
 I chociaż się nie spowiadał,
 Nad wszystko kraj swój przekładał.
 Niech cię dar błahy nie gorszy,
 Mój ty zacny pośle z Orszy,
 Ty co posiadasz tę sztukę,
 Że się tłómaczysz gładko,
 Łączysz z skromnością naukę,
 I mówisz dobrze i rzadko.

Czy w wrzawach miasta, czyli w wiejskim cieniu,
 Nikt ci tego nie odejmie:
 Miłyś w każdym posiedzeniu,
 I przy wisku i na sejmie.
 Ach! gdybym szczęśliwym losem,
 Mógł graniczyć z Kapinosem,
 I często w domu twym witał;
 Szczerzebym ciebie zapytał:
 Przez jakie czary, przez jakie sposoby,
 Szczęśliwej zawsze doznawałeś doby?
 Jak ciągle hożej urody,

Zawsze czerstwy, zawsze młody,
 Jesteś od kobiet kochanym,
 I od mężczyzn szacowanym?
 Przez jakiej sztuki użycia,
 Rozszerzając twe podbiecia,
 I tając zamysły skryte
 Przeszedłeś Alpy śniegami okryte?
 I aż w Florencji, kiedy panował
 I sztuki i pokój zgodnie,
 Tyś niósł kochanku niestały,
 Srogiej miłości pochodnie;
 I zadałeś raz niezmierny,
 W sercu niebogi Skacerny?
 Jak kres potem położyłeś
 Niestałym twoim zalotom,
 I myrt w Hymena pochodnie zmieniłeś,
 Hołd niosąc wdziękowi i enotom?
 Jak dopełniając życzenia już wszelkie,
 Utworzyłeś Gabrielkę?
 Owoc i drogi i rzadki;
 Wszak to słowa samej matki:
 Że w biegu życia całego,
 Nie nie znała podobnego.

Ułomek z P. Bonnard.

Związki nad które czełk więcej nie życzę,
 Luba ojczyzno! naturo! przyjaźni!
 Ten co was zelży, lub co was rozdrażni,
 Niech waszych nigdy nie dozna słodczy.
 Władajcie każdem uczuciem mojej duszy!

Niech z społeczeństwa zostanie wyklęty
 Samolub, który sam sobą zajęty,
 Niezem się nigdy nie wzruszy;
 Ten który wspomni imię lubej matki,
 I swoją żonę i dziatki,
 Bez przejęcia i wesela;
 Co suchem okiem wita przyjaciela;
 I po długim rozstaniu wrócony szczęśliwie,
 Na widok własnej chatki nie zapłaczę tkliwie!

Do Stanisławy z Lubomirskich Potockiej w dzień jej imienin.

W biegu dni naszych rzadki dzień swobodny,
 W każdym coś serce zasmuca lub drażni;
 Ten tylko miły, ten dzień jest pogodny,
 Co się poświęca przyjaźni.

Ręką zyczliwą gałązki splecione,
 Przyjm choć bez ozdób i sztucznej roboty;
 Gałązki trwałe, niezem niezmiennione,
 Jak nasze serca, twe cnoty.

We wszystkich czynach uprzejma i szczerą,
 Świadczysz tajemnie, choć myślisz otwarcie;
 Każdy w twym domu gościnność odbiera,
 Nędzny pociechę i wsparcie.

Już się na ziemi naszej laur nie zrodzi,
 Przerwały losy dni świętych osnowę;
 Niechaj przynajmniej uwielbiać się godzi,
 Szczęście i cnoty domowe.

Okropne klęski i stratę niezmierną,
 Na zasepionem każdy nosi czoło,
 Cóż nam zostaje? jak przyjaźnią wierną,
 Powszechną słodzić niedolę.

Sonet Filikaja.

O Auzonio, Auzonio, ty któraś w udziale,
 Wzięta dar wdzięków smutny, lubo pożądany;
 Źródło okropnych klęsek i niejednej rany,
 Z której krew czarna dotąd płynie na twem czele;
 Obyś była mniej piękną, albo bardziej dzielną!
 By cię się więcej lękał, albo mniej pożądał
 Najeźdnik, co z przejęciem na ciebie poglądał,
 A przecież cię na walkę wyzywał śmiertelną:
 Wtenczas z wierchołka Alpów, wśród okropnych krzyków,
 Nie widziałbym zbrojnych szyków
 Zstępujących na twe niwy,
 Ani by piły barbarzyńców trzody
 Krwią zmęczone Tybru wody,
 I stałyby świata dziwy.
 Obecnie żelazem dzisiaj uzbrojona,
 Bronisz już nie twej ziemi:
 Walczym pod znaki obcemi
 By służyć, czy zwyciężysz, czyliś zwyciężona!

Sonet Frugoni.

Kiedy waleczny Scipio z ziemi, gdzie się rodził,
 I co mu dawszy życie zwłok jego nie miała,

Znakomity wygnaniec spokojny wychodził,
 Jak mąż którego zawiść zniżyć nie zdołała.

Ci co Rzymskie mocarstwa wznieśli swą odwagą,
 I walcząc obok niego polegli wśród boju:
 Bohaterowie wojny i stróże pokoju,
 Na niewdzięczność współziomków patrzyli z zniewagą.

I widziano jak cienie bohaterów sławne,
 I Brutus i Scewola szły z surowym wzrokiem;
 Szły za nim pierwszych wieków cnoty starodawne,
 Na przestrzeń wiekuistym zasuniętą mrokiem.

Wtenczas na brzegach Styxu cień ów wojownika ¹⁾,
 Co pierwszy przeszedł Alpów wierzech w niebo wniesiony,
 Podniósł czarną przyłbicę, ujrzał przeciwnika,
 I śmiejąc się złośliwie, rzekł: „jestem zemszczony.“

Wiersze napisane na brzegu morskim przy Agrygencie w Sycylii.

Na tym samotnym brzegu odległego morza,
 Egle! ze łzami piszę imię twe kochane:
 Lecz nim zejdzie różami uwieńczona zorza,
 Zetrą je w swym zapędzie wody rozhukane.
 Pisałem je na piasku, pisałem na drzewie,
 Te mech zakrył, tamte wiatr zdmuchnął w swym po-
 wiewie.

Egle! te tylko znaki nigdy nie nie wzruszy,
 Któres ognistym grotem wyrzyła w mej duszy.

¹⁾ Annibal.

Strofa z ody Pompignana, na śmierć J. B. Rousseau.

Na brzegach Nilu spalonych
 Srogię Maury złością technące,
 Lżyły w swych wrzaskach szalonych
 Gwiazdę niebios pałającą;
 Prózna zajadłość i krzyki!
 Podczas kiedy tłok ten dziki
 Miotał obelgi daremne,
 Słońce pędząc przez obłoki,
 Rzucało światła potoki
 Na te bluźnierce nikiemne.

Wiersze na wierchołku góry Etny pisane.

Z śnieżnych Sarmacyi krajów mieszkanię daleki,
 Przyszedłem widzieć miejsca spustoszeń i trwogi,
 I straszną paszczę Etny równoczesną z wieki,
 Na której mieszkał niegdyś ród Cyklopów srogi.
 Tam z płomienistych brzegów, z po nad bram piekielnych,
 Widziałem pod popiołem miasta wprzód kwitnące;
 Tam słońce podnosząc się wśród promieni dzielnych,
 Odkryło mi obrazy myśli zajmujące.
 Wzniesiony nad obłoki, kraje, miasta, morza,
 Pod nogi memi został okrąg ziemi niski;
 Podemną zeszła kwiaty uwieńczona zorza,
 I świetnych mieszkań Bogów sądziłem się bliski.

Życzenia w samotności.

Szczęśliwy kto samotnem ciesząc się schronieniem,
 Dzieli swe chwile, mądrym znaną tylko sztuką,
 Między lubą nadzieją i tkliwem wspomnieniem,
 Między spoczynkiem, nauką.

Szczęśliwy kto zasypia z wolną trosków głową,
 Ani co jutro będzie, tem się we snach trzusi;
 Którego nudnik ciężką nie usypia mową,
 Ani też natręt przebudzi.

**Do Józefa Szymanowskiego, posyłając mu statwę
 Kupidynka.**

Ten co dni nasze truje lub słodzi,
 Któregoś nucił wdzięki pieszczone,
 Do ciebie z złotą lutnią przychodzi
 Zdjąwszy z swych oczu zasłonę.

Dotąd szczydziło dziecko zdradliwe,
 Gdy kochankowie jęczeli strapieni,
 Dziś usłyszawszy pienia twe tklive,
 Dawnych się złości rumieni.

Miej o Knidyjskim chłopcu staranie,
 Wiążą was wspólnie prawa wdzięczności,
 On cię nauczył co jest kochanie,
 A ty go naucz wierności.

Do Teresy Kickiej,
grającej Nadzieję 19. Marca 1803.

Piękne wszystkie Boginie, wszystkie oczy ludzą,
I wszystkim tkliwe czucia w młodych piersiach budzą:
Ale ja com otrzymał w smutnym mym udziale,
Bardzo mało posiadać, spodziewać się wiele;
Czy na siebie, czy spojrzę co się u nas dzieje?
Nad wszystkie bóstwa lubą przekładam nadzieję.

Dziecię na ręku starca.

Zeszyły już starzec gdy na ręku trzyma
Dziewczę ledwie trzech miesięczną,
Już się śmiejącą, z piękniemi oczyma,
Świeżą i ładną i wdzięczną;
Matka widząc z słodką chlubą
W objęciu starca dziecinę swą lubą,
Zawoła: „Gdy się w ten obraz wpatruję,
„Zda mi się że Noc, Jutrzenkę piastuje.“



SPIS RZECZY.

Strona.

I. Powieści poetyczne.

Sultan i wezyr	1
Rząd suty	3
Panna Guzdralska	4
Nadzieja karmiąca chimere	14
Kupidyn i szaleństwo	15
Miłość i rozum	20
Olimp i ziemia	22
Trzewiki	29
Miłość i wabność	31
Wyrok Jowisza	34
Miłość przebrana	38
Samice Ptasząt w poselstwie do Jowisza	42
Nowy sąd Parysa	45
Spór o pierwszeństwo	47
Poselstwo osłów do Jowisza	51
Duma o niedźwiedziu	55
Miłość zabawna	58
Moje przeznaczenie	61
Powódź	63
Uczta Aleksandra	64
Zakonnik	72
Sen Marysi	75
Malwina	76

	Strona.
Cień Eweliny	84
Zamek Jazłowiecki	87
Bądź zdrowa	93
Okropna puszcza	95
Molodec	96
Allegro czyli wesoly z Milтона	98
Il Pensoroso czyli zadumany z Milтона	103
✓ Alondzo i Helena	107
Edwin i Aniela	110
Dzieci w lesie	115
Jest nas siedmioro	120
Czas i skargi na niego	123
Zima	125

II. Pukiel włosów ucięty.

Posłanie do Tadeusza Mostowskiego	127
Do Pani Fermor	128
Pieśń I.	130
Pieśń II.	135
Pieśń III.	139
Pieśń IV.	145
Pieśń V.	151

III. Co się damom podoba

157

IV. Różne wiersze.

Wiejski pleban	175
Medytacje nad starą miotłą	177
Oda do przeciwności	179
Pieśń	181
Uwagi nad nędzami życia ludzkiego	182
Oda do muzyki w dzień św. Cecylii	184
Myśl o szczęściu	189
Zale Temiry	190
Własny kominek	191
Gałązka	194
Dumanie w wieczór	195

	Strona.
Wygnaniec	196
Elegia na śmierć brata mego J. U. Niemcewicza	198
Elegia pisana na cmentarzu wiejskim	201
Oda pisana rzucając Anglią	205
Oda do Kaszperka	207
Super flumina Babylonis	209
Fragment ody do wojska stojącego obozem nad Dniestrem	210
Do Stanisława Potockiego	212
Przy ofiarowaniu ks. Czartoryskiej widoku Bielan	214
Biedny student	215
Wiersz napisany z powodu sadzenia przez autora ziarnka jabłoni w jego zagrodzie Ursynów nazwanej	216
Naśladowanie pieśni Mojżesza po przejściu suchą nogą Mo- rza Czerwonego	218
Cztery pory życia ludzkiego	220
Do Temiry	234
Przy ofiarowaniu portretów ks. Czartoryskiej wystawiają- cych sławnych Polaków	235
Do Ludwika Gutakowskiego w dzień jego imienin, posyła- jąc mu kopiersztych Janusza Radziwiłła	237
Ułomek z P. Bonnard	238
Do Stanisł. z Lubomirskich Potockiej w dzień jej imienin	239
Sonet Filikaja	240
Sonet Frugoni	240
Wiersze napisane na brzegu moskim przy Agrygencie w Sycylii	241
Strofa z ody Pompignana na śmierć J. B. Rousseau	242
Wiersze na wierzchołku góry Etny pisane	242
Życzenia w samotności	243
Do Józefa Szymanowskiego, posyłając mu statuetkę Kupidyńka	243
Do Teresy Kickiej	244
Dziecię na rękę starca	244